

Alfred Bester

**Gwiazdy – moje
przeznaczenie**

(The Stars My Destination)

Przełożył: Jacek Manicki

Alfred BESTER

– urodził się w 1913 roku w Nowym Jorku. Ukończył studia na wydziałach: nauk ścisłych i sztuk pięknych na University of Pennsylvania. Zawodowo zajął się pisarstwem po zdobyciu pierwszej nagrody za opowiadanie „*The Broken Axion*” w konkursie ogłoszonym przez magazyn „*Thrilling Wonder Stories*” w roku 1939.

Dorobek literacki Alfreda Bestera nie jest wielki, ale co najmniej dwie powieści: „*The Demolished Man*” (1953) oraz publikowana tu „*The Stars My Destination*” (1957) weszły na stałe do skarbnicy literackich arcydzieł SF.

Miłośnicy talentu Alfreda Bestera musieli czekać aż osiemnaście lat na pojawienie się następnej po „*The Stars...*” powieści. Była to „*Extro*” (1974), która opowiada o jednym z nielicznych Nieśmiertelnych w Układzie Słonecznym, usiłującym przejąć kontrolę nad głównym komputerem nadzorującym ziemską technologię. Uderzającą cechą pisarstwa Bestera jest niespotykana maestria warsztatowa, bardzo plastyczny styl, doskonałe wycucie języka. Wszystko to tworzy niezapomniany, jedyny nastrój na długo pozostawiający w pamięci przeczytane utwory.

Opowiadania pisarza zebrane zostały w trzech tomach: „*Starburst*” (1958), „*The Dark Side of the Earth*” (1964) i „*Starlight*” (1976).

Za powieść „*The Demolished Man*” Alfred Bester otrzymał pierwszą w historii SF nagrodę HUGO.

Część I

Prolog

Był to Złoty Wiek – czas wspaniałej przygody, barwnego życia i trudnego umierania... ale nikt tak nie myślał. Były to lata przyszłości, bogactwa i złodziejstwa, rabunku i grabieży, kultury i występku... ale nikt tego nie przyznawał. Był to wiek skrajności, fascynujące stulecie niezwykłych wydarzeń... ale nikt za nim nie przepadał.

Wszystkie nadające się do zasiedlenia światy układu słonecznego były już skolonizowane. W stuleciu tym, zaliczanym do najbardziej ekscytujących, na trzech planetach i ośmiu satelitach kłębiło się jedenaście miliardów ludzi, jednak umysły, jak zawsze, tęskniły ciągle za innymi czasami. Układ słoneczny kipiał aktywnością... toczyła się wojna, trwała batalia o zażegnanie kryzysu żywnościowego, rodziły się dzieci, opracowywano nowe technologie, które wypierały stare, tuż przed doprowadzeniem tych ostatnich do perfekcji, przygotowywano się do pierwszej galaktycznej wyprawy badawczej ku odległym gwiazdom, ale...

„Gdzież są nowe granice poznania?” – wołali Romantycy, nie wiedząc, że oto na przełomie dwudziestego trzeciego i dwudziestego czwartego wieku w laboratorium na Callisto przed umysłem ludzkim otworzyły się nowe horyzonty. Uczony nazwiskiem Jaunte zaprószywszy (niechcący) ogień na swym stole laboratoryjnym sam stanął w płomieniach i wzywając pomocy wydał okrzyk adresowany głównie do gaśnicy przeciwpożarowej. Jakież było zdziwienie samego Jaunte i jego kolegów, kiedy znalazł się on przy wspomnianej gaśnicy, przeniesiony na odległość siedemnastu stóp od swego stołu.

Ugaszono czym prędzej nieszczęsnego Jaunte i przystąpiono do wyjaśniania okoliczności jego momentalnej, siedemnastostopowej podróży. Zjawisko teleportacji – przenoszenia się w przestrzeni wysiłkiem samego umysłu – było już od dawna pojęciem teoretycznym i istniało nawet kilkaset niejasno udokumentowanych relacji, iż zdarzało się w przeszłości. Obecnie po raz pierwszy miało miejsce na oczach profesjonalnych obserwatorów.

Badano Jauntego bezlitośnie. Zjawisko to miało zbyt przełomowy charakter, aby zabierać się do niego w rękawiczkach, a i sam Jaunte zdawał sobie sprawę, że może swe nazwisko uczynić nieśmiertelnym. Spisał ostatnią wolę i pożegnał się z przyjaciółmi. Wiedział przecież, że idzie na śmierć, gdyż jego koledzy po fachu w razie potrzeby zdecydowani byli go zabić. Co do tego nie było żadnych wątpliwości.

Powołano dwunastoosobowy zespół obserwacyjny, w którego skład wchodziła psycholog, parapsycholog i neurometryści. Eksperymentatorzy zamknęli Jauntego w szczelnym zbiorniku z nietłukącego się kryształu. Odkręcili kran, przez który zbiornik napełniany był wodą i na oczach Jauntego zmiażdżyli kurek. Otwarcie zbiornika było niemożliwe; niemożliwe było zamknięcie przepływu wody.

Koncepcja eksperymentu sprowadzała się do tego, że jeśli za pierwszym razem do teleportowania się sprowokował Jauntego głównie strach przed śmiercią, to znowu trzeba śmiertelnie go nastraszyć. Zbiornik napełniał się szybko. Obserwatorzy zbierali dane z napiętą precyzją kamerzystów rejestrujących zaćmienie słońca. Jaunte zaczął się topić. W następnej chwili, ociekając wodą i zanosząc się kaszlem, był już na zewnątrz zbiornika. Teleportował się ponownie.

Ekspert przebadali go i zarzucili pytaniami. Studiowali wykresy i zdjęcia rentgenowskie, stan układu nerwowego i narządów wewnętrznych. Zaczęli się powoli domyślać, w jaki sposób Jaunte się teleportował. Pocztą pantoflową (sprawę trzeba było utrzymać w tajemnicy) rozesłano apel do samobójców—ochotników. Ciągle jeszcze znajdowano się na prymitywnym etapie badań nad teleportacją: jedynym bodźcem do niej, jaki znano, była zagładająca w oczy śmierć.

Ochotników dokładnie przeszkolono. Sam Jaunte prowadził z nimi wykłady o tym, co zrobił i jak, według niego, do tego doszło. Następnie przystąpiono do mordowania nieszczęśliwców. Topiono ich, wieszano, palono żywcem, wynaleziono nowe sposoby zadawania powolnej i kontrolowanej śmierci. Żaden z poddawanych eksperymentom osobników nie miał nigdy najmniejszej wątpliwości, że stawką jest tu jego życie.

Osiemdziesiąt procent ochotników wyzionęło ducha, a męczarnie, w jakich konali i wyrzuty sumienia dręczące ich morderców złożyłyby się na fascynujące i straszliwe w swej treści studium. Sprawa ta nie mieści się jednak w ramach niniejszej relacji, a fakty przytacza się jedynie gwoli podkreślenia potworności tamtych czasów. Osiemdziesiąt procent ochotników poniosło śmierć, ale dwadzieścia procent jauntowało się (nazwisko to stało się niemal natychmiast synonimem teleportacji).

„Wróćmy do czasów romantyzmu” – błagali Romantycy – „kiedy to ludzie mogli ryzykować swym życiem w imię wielkiej przygody”.

Bagaż wiedzy rósł gwałtownie. W przeciągu pierwszej dekady dwudziestego czwartego wieku ustalono zasady jauntingu, a sam Charles Fort Jaunte, wtedy już pięćdziesięciosiedmioletni, unieśmiertelniony i wstydzący się przyznać, że nigdy więcej nie odważył się jauntować, otworzył pierwszą szkołę jauntingu. Prymitywne czasy były już jednak przeszłością. Teraz nie trzeba było straszyć człowieka śmiercią, aby pobudzić go do teleportacji. Wiedziano już jak nauczyć człowieka rozpoznawać, wykształcić w sobie i wykorzystać inne jeszcze możliwości swego nie znającego granic umysłu.

Jak właściwie teleportował się człowiek? Jednego z najmniej satysfakcjonujących wyjaśnień udzielił w wywiadzie prasowym rzecznik Szkoły Jauntego – Spencer Thompson.

THOMPSON: Jaunting jest jak zmysł wzroku; to naturalne uzdolnienie każdego niemal organizmu ludzkiego, ale można je rozwinąć tylko w drodze treningu i zbierania doświadczeń:

REPORTER: Chce pan przez to powiedzieć, że nie widzielibyśmy gdyby nie praktyka?

THOMPSON: Na pewno jest pan albo kawalerem, albo nie ma pan dzieci... najprawdopodobniej i jedno, i drugie.

(Śmiech)

REPORTER: Nie rozumiem.

THOMPSON: Zrozumiałby to każdy, kto obserwował noworodka uczącego się korzystać ze swych oczu.

REPORTER: Ale czym jest teleportacja?

THOMPSON: Teleportacja to przeniesienie się z jednego miejsca do drugiego wysiłkiem samego tylko umysłu.

REPORTER: Chce pan przez to powiedzieć, że możemy przemyśleć się z... powiedzmy... Nowego Jorku do Chicago?

THOMPSON: O to właśnie chodzi; pod warunkiem, że będziemy sobie zdawali jasno sprawę z jednej rzeczy. Dokonując jauntingu z Nowego Jorku do Chicago, teleportująca się osoba musi dokładnie wiedzieć gdzie się znajduje startując oraz dokąd zamierza się udać.

REPORTER: Jak to?

THOMPSON: Jeśli znajdowałby się pan w ciemnym pokoju i nie wiedział gdzie jest, bezpieczny jaunting do jakiegokolwiek miejsca przeznaczenia nie byłby możliwy. Natomiast jeżeli zdawałby pan sobie sprawę ze swego miejsca pobytu, ale zamierzał jauntować się do miejsca, którego nigdy przedtem nie widział, nie dotarłby pan tam żywy. Nie można jauntować się z nieznanego punktu wyjścia do nieznanego miejsca przeznaczenia. Jedno i drugie musi być znane, zapamiętane i plastycznie wyobrażone.

REPORTER: Jeśli jednak wiemy gdzie się znajdujemy i dokąd zamierzamy się udać...

THOMPSON: Wtedy możemy być pewni, że zdołamy się jauntować i przybyć na miejsce przeznaczenia.

REPORTER: Czy przybędziemy nadzy?

THOMPSON: Jeśli wystartujecie państwo nago.

(Śmiech)

REPORTER: Chodziło mi o to, czy nasze ubrania teleportują się razem z nami?

THOMPSON: Gdy ludzie teleportują się, teleportują się również ubrania, które mają na sobie i wszystko co zdołają unieść. Nie chciałbym pana rozczarować, ale ubrania pań przybywają na miejsce przeznaczenia razem z nimi.

(Śmiech)

REPORTER: Ale jak to robimy?

THOMPSON: A jak pan myśli?

REPORTER: Za sprawą naszych umysłów.

THOMPSON: A jak myśli umysł? Czym jest proces myślenia? W jaki właściwie sposób zapamiętujemy, wyobrażamy sobie, dedukujemy, tworzymy? Jak działają komórki naszego mózgu?

REPORTER: Nie wiem. Nikt tego nie wie.

THOMPSON: I nikt na dobrą sprawę nie wie, w jaki sposób się teleportujemy, wiemy natomiast, że potrafimy to robić – tak samo jak wiemy, że potrafimy myśleć. Słyszał pan kiedyś o Kartezjuszu? Powiedział on: Cogito ergo sum – Myślę, więc jestem. My mówimy: Cogito ergo jaunteo – Myślę, więc jauntuję.

Jeśli ktoś uzna wyjaśnienia Thompsona za irytujące, niech zapozna się z raportem dotyczącym mechanizmu jauntingu, przedłożonym przed Royal Society przez Sir Johna Kelvina:

„Ustaliliśmy, iż zdolność do teleportacji związana jest z ciałkami Nissla, czyli Substancją Tigroidalną występującą w komórkach nerwowych. Substancję Tigroidalną wydziela się najprościej za pomocą metody Nissla, stosując w tym celu 3,75 grama błękitu metylenowego i 1,75 grama mydła weneckiego, rozpuszczonych w 1000 cm³ wody. Tam gdzie nie pojawia się Substancja Tigroidalna, jaunting jest niemożliwy. Teleportacja jest funkcją Tigroidalną”.

Każdy człowiek był zdolny do jauntowania pod warunkiem, że rozwinął w sobie dwie cechy: pamięć wzrokową i zdolność do koncentracji. Musiał przecież precyzyjnie i ze wszystkimi szczegółami wyobrazić sobie miejsce, do którego chciał się teleportować; a żeby się tam dostać, musiał skoncentrować całą utajoną energię swego umysłu w pojedynczy udar

woli. Przede wszystkim jednak musiał wierzyć... wierzyć, że Charles Fort Jaunte na zawsze zachował zdolność do jauntingu. Musiał wierzyć, że jaunting się powiedzie. Najmniejsza wątpliwość zablokowałaby niezbędny przy teleportacji impuls napędowy umysłu.

Wady, z którymi rodzi się każdy człowiek ograniczały zdolność do jauntowania. Jedni potrafili świetnie wyobrazić sobie miejsce, do którego zamierzali się udać i precyzyjnie ustalać jego współrzędne, ale brakowało im siły woli, która by ich tam przeniosła. Inni posiadali tę siłę, ale nie potrafili, jak gdyby, „zobaczyć” dokąd się jauntują. Ostatnie natomiast ograniczenie nakładała przestrzeń, bowiem żaden człowiek nie jauntował się nigdy dalej jak tysiąc mil. Mógł podróżować skokami lądem i wodą z Nome do Meksyku, ale żaden skok nie mógł przekroczyć tysiąca mil.

W roku 2420 w powszechnym użyciu znalazł się zamieszczony poniżej wzór blankietu-podania o zatrudnienie:

Miejsce zarezerwowane na znak
identyfikacyjny dla czytelnika
optotronicznego

IMIĘ I NAZWISKO (dużymi literami):

I imię (II imię) nazwisko

MIEJSCE ZAMIESZKANIA (stałe):

Kontynent – Kraj – Okręg

KLASA JAUNTINGU (kategorie oficjalne; zakreślić jedną):

M (1000 mil): L (50 mil):

D (500 mil): X (10 mil):

C (100 mil): V (5 mil):

Dawny Urząd Rejestracji Pojazdów Silnikowych przejął na siebie nowe obowiązki i regularnie testował i klasyfikował adeptów jauntingu, natomiast stary Amerykański Związek Motorowy zmienił swe inicjały na AZJ.

Mimo dokładnych starań, żaden człowiek nie jauntował się nigdy poprzez próżnię kosmosu, choć próbowało tego wielu, zarówno ekspertów, jak i głupców. Pierwszym był Helmut Grant, który spędził miesiąc na zapamiętywaniu współrzędnych jauntrampy na

Księżycu i potrafił wyobrazić sobie plastycznie każdą milę z czterdziestu tysięcy dwustu mil trajektorii z Times Square do Kepler City. Grant jauntował się i znikł. Nigdy go nie odnaleziono. Nigdy nie odnaleziono Enzio Dandridga, członka sekty rewiwalistów z Los Angeles, który wybrał się na poszukiwanie Nieba; Jacoba Marii Freundlicha, parafizyka, który powinien być rozsądniejszy i nie jauntować się w przestrzeń galaktyczną w poszukiwaniu metawymiarów; Shipwrecka Cogana, profesjonalnego poszukiwacza rozgłosu; i setek innych – fanatyków, neurotyków, zbiegów i samobójców. Kosmos był dla teleportacji zamknięty. Jaunting ograniczał się tylko do powierzchni planet układu słonecznego.

Ale nim przeminęły trzy generacje, jauntował już cały układ słoneczny. Było to o wiele efekowniejsze przejście niż przesiadka, czterysta lat wcześniej, z zaprzężonej w konia bryczki do napędzanego benzyną automobilu. Na trzech planetach i ośmiu satelitach runęły w gruzy dotychczasowe struktury społeczne, prawne i ekonomiczne, a w ich miejsce, jak grzyby po deszczu, wyrosły nowe obyczaje i prawa zgodne z duchem uniwersalnego jauntingu.

Dochodziło do ekscesów na wsiach, kiedy jauntujący nędzarze opuszczali slumsy, aby osiedlić się na równinach i w lasach, a przy okazji grabili zwierzęta domowe i trzebili dziczyznę. Rewolucja wkroczyła do budynków mieszkalnych i biurowych: aby zapobiec bezprawnemu do nich wtargnięciu jauntujących się intruzów, musiano wprowadzić labirynty i urządzenia maskujące. Bankructwa przedjauntowskich gałęzi przemysłu pociągały za sobą krachy gospodarcze, paniki na giełdach, strajki protestacyjne i głód.

Szerzyły się epidemie i pandemie, bowiem jauntujący włóczędzy przynosili choroby i robactwo do nieuodpornionych na nie krajów. Malaria, żółta febra i słoniowacizna dotarły na północ, aż do Grenlandii; po trzechsetletniej nieobecności powróciła do Anglii wścieklizna; żuk japoński, zaraza kasztanowa i wiertacz wiązowy rozprzestrzeniły się po całym świecie, a z jednego z zapomnianych i uważanych za dawno wygasłe siedlisk zarazy na Borneo wyklął się trąd.

Planety i satelity zalała fala zbrodni, gdyż dzięki jauntingowi noc trwała dla światka przestępczego okrągłą dobę. Zdarzały się akty przemocy, ponieważ policja tępiła złoczyńców bez litości. Nastąpił ohydny powrót do najgorszej pruderii właściwej epoce wiktoriańskiej, gdyż społeczeństwo walczyło z zagrożeniami natury seksualnej i moralnej, jakie niósł ze sobą jaunting, ustanawiając zasady prowadzenia się, zachowania tabu. Miedzy Planetami Wewnętrznymi – Wenus, Ziemią i Marsem, a Satelitami Zewnętrznymi wybuchła okrutna i zacięta wojna... wojna wywołana ekonomicznymi i politycznymi presjami teleportacji.

Zanim zaświtał wiek Jauntego, trzy Planety Wewnętrzne (oraz Księżyc) i siedem

zamieszkałych Satelitów Zewnętrznych (Io, Europa, Ganimedes i Callisto – księżyce Jowisza oraz Rhea i Tytan – księżyce Saturna i Lassell – księżyc Neptuna) żyło w delikatnej równowadze ekonomicznej. Zjednoczone Satelity Wewnętrzne dostarczały surowców zakładom przemysłowym Planet Wewnętrznych i stanowiły rynek zbytu dla wyprodukowanych tam wyrobów finalnych. Jaunting zniszczył te równowagę w ciągu jednego dziesięciolecia.

Satelity Zewnętrzne – młode, nierozwinięte jeszcze przemysłowo światy – kupowały siedemdziesiąt procent produkcji środków transportu Planet Wewnętrznych. Jaunting położył temu kres. Kupowały pięćdziesiąt procent produkcji przemysłu telekomunikacyjnego. Temu również jaunting położył kres. W konsekwencji zmalał popyt Planet Wewnętrznych na surowce eksportowane przez Satelity Zewnętrzne.

Przy zniszczonej wymianie handlowej nieuniknione było rychłe przekształcenie wojny ekonomicznej w otwarty konflikt zbrojny. Kartele Planet Wewnętrznych odmawiały wysyłania środków produkcji na Satelity Zewnętrzne, usiłując tym posunięciem zabezpieczyć się przed niepożądaną konkurencją. Satelity Zewnętrzne skonfiskowały działające już u nich urządzenia Planet, łamiąc przepisy patentowe, ignorując ustawowe opłaty na rzecz właścicieli... i wybuchła wojna.

Był to wiek niezwykłych wydarzeń, potworności i groteski. Wszystkie światy zostały zdumiewająco i złośliwie zdeformowane. Klasycy i Romantycy nienawidzący tych czasów nie zdawali sobie sprawy z potencjalnej wielkości dwudziestego piątego wieku. Byli ślepi na zwyczajny fakt ewolucji... ślepi na to, że postęp rodzi się w starciach antagonistycznych skrajności, w mariażu niezwykłych wydarzeń. Klasycy i Romantycy nieświadomi byli również tego, że układ słoneczny drży na krawędzi eksplozji rozumu ludzkiego, która przekształci człowieka i uczyni go panem wszechświata.

Na tym właśnie burzliwym tle dwudziestego piątego wieku rozpoczyna się historia zemsty Gullivera Foyle.

ROZDZIAŁ 1

Umierał już sto siedemdziesiąt dni i jeszcze nie umarł. Walczył o przetrwanie z pasją schwytanego w potrzask zwierzęcia. Majaczył i bredził, zdarzały się jednak chwile, kiedy jego prymitywny umysł, trawiony widmem zagłady, której cudem uniknął, otrząsał się koszmaru, przejawiając przebłyски świadomości. Wznosił wtedy swą otępiałą twarz ku Wieczności i mamrotał: „Co się, kurczę, dzieje? Pomóżcie, przekłęci bogowie! No pomóżcie, kurczę”.

Łatwo przychodziło mu bluźnierstwo: był nim w połowie żargon, którym się posługiwał, było nim całe jego życie. Wychowała go ulica dwudziestego piątego wieku i mówił wyłącznie jej rynsztokowym slangiem. Ze wszystkich lumpów świata zaliczał się do tych, którzy byli najmniej warci, by żyć i mieli największe szanse na przeżycie. Walczył więc i modlił się bluźniąc, ale czasami jego skłębione myśli przeskakiwały i trzydzieści lat wstecz do okresu dzieciństwa, wygrzebując z zakamarków pamięci dziecięcą rymowanekę:

„Gully Foyle me nazwisko
Z Ziemi moje pochodzenie
Czarny kosmos mym mieszkaniem
A śmierć moim przeznaczeniem”.

Był to Gulliver Foyle, pomocnik mechanika trzeciej klasy, lat trzydzieści, prostak i nieokrzesaniec... od stu siedemdziesięciu dni dryfujący przez kosmiczną pustkę. Był to Gulliver Foyle, smarowacz, zamiatacz, tragarz; zbyt beztroski, aby się czymś przejmować, zbyt ociężały, aby się czymś cieszyć, zbyt pusty, aby się z kimś przyjaźnić, zbyt leniwy, aby kogoś kochać. Te letargiczne cechy jego charakteru podkreślono w oficjalnym kwestionariuszu osobowym Marynarki Handlowej:

FOYLE, GULLIVER AS-128/127:006
WYKSZTAŁCENIE: ŻADNE
KWALIFIKACJE: ŻADNE
ZASŁUGI: ŻADNE

REKOMENDACJE: ŻADNE

(UWAGI PERSONALNE)

Człowiek silny fizycznie o potencjale intelektualnym przyhamowanym na skutek całkowitego braku ambicji. Wykazuje się minimalną inicjatywą. Być może rozbudziłby go jakiś nieprzewidziany wstrząs, ale Psycholodzy nie potrafią znaleźć klucza. Awansowanie nie zalecane. Człowiek ten utknął w martwym punkcie.

Statek kosmiczny „Nomad” dryfował w połowie drogi między Marsem a Jowiszem. Obojętne, jaka była wojenna katastrofa, która uczyniła go wrakiem, poszarpała ona lśniąca, stalową rakietę, pozostawiając odarty z poszycia szkielec ze zwisającymi z niego szczątkami kabin, ładowni, pokładów i grodzi. Wielkie dziury w kadłubie buchały oślepiającym światłem od strony zwróconej ku słońcu i skrzyły się lodowatymi krostami gwiazd od strony pograżonej w mroku kosmicznej nocy. S.S. „Nomad” był nieważką pustką oślepiającego słońca i czarnego jak smoła cienia, cichą i ściętą mrozem.

Wrak zagracały unoszące się w próżni zlepki zamrożonego rumowiska, które zawisło we wnętrzu zniszczonego statku niczym migawkowa fotografia eksplozji mającej tu kiedyś miejsce. Znikome siły grawitacji, z którymi oddziaływały na siebie kawałki tego gruzu, zbijały je powoli w grona regularnie roztrącane na wszystkie strony przez przechodzącego między nimi jedyne, pozostałego przy życiu człowieka na pokładzie – Gullivera Foyle, Numer Ewidencyjny AS-128/127:006.

Mieszkał w jedynym, hermetycznym, nienaruszonym pomieszczeniu na wraku – w schowku na narzędzia, nie opodal korytarza pokładu głównego. Schowek miał cztery stopy szerokości, cztery stopy długości i dziewięć stóp wysokości. Był wielkości trumny wielkoluda. Sześćset lat wcześniej uwięzienie człowieka na kilka tygodni w klatce tych rozmiarów uważano za najbardziej wyrafinowaną torturę Wschodu. Foyle wegetował w tej nieoświetlonej trumnie przez pięć miesięcy, dwadzieścia dni i cztery godziny.

* * *

- Kim jesteś?
- Gully Foyle me nazwisko.
- Skąd jesteś?
- Z Ziemi moje pochodzenie.
- Gdzie jesteś teraz?
- Kosmos czarny mym mieszkaniem.

– Dokąd zmierzasz?

– Śmierć jest moim przeznaczeniem.

Foyle odpowiedział na te pytania w sto siedemdziesiątym pierwszym dniu swej walki o przetrwanie i ocknął się. Serce waliło mu jak młotem, gardło płonęło. Namacał w ciemnościach zbiornik powietrza, który dzielił z nim jego trumnę i sprawdził go. Zbiornik był pusty. Trzeba było natychmiast przynieść następny. A więc ten dzień rozpocznie się od dodatkowej utarczki ze śmiercią. Foyle przyjął to z chłodną obojętnością.

Poszperał po omacku po półkach schowka i znalazł tam stary, rozdarty skafander próżniowy. Był to jedyny skafander na pokładzie „Nomada” i Foyle nie pamiętał już skąd go ma. Załatał rozdarcie strugą rozpylanego uszczelnacza awaryjnego, ale nie miał możliwości napełnienia, ani wymiany pustych butli tlenowych przytroczonych na plecach. Wciągnął na siebie skafander mieszczący tyle tylko powietrza ze schowka, że Foyle mógł w nim przebywać w próżni do pięciu minut... nie dłużej. Otworzył drzwi i zanurkował głową naprzód w czarny mróz kosmicznej pustki. W ślad za nim uleciało na zewnątrz powietrze, a przesycająca je wilgoć ścięła się w malutki obłoczek, który odpłynął rozerwanym korytarzem pokładu głównego. Foyle dźwignął w górę opróżniony zbiornik powietrza, wypchnął go przed sobą na korytarz i tam porzucił. Minęła pierwsza minuta.

Odwrócił się i jak mógł najprędzej ruszył przez unoszące się w próżni złomowisko w kierunku luku przedziału balastowego. Nie, nie biegał. Wypracowany przezeń sposób poruszania się był jedynym w swoim rodzaju wykorzystaniem praw swobodnego spadania i nieważkości. Odpychając się stopą, łokciem i dłonią od pokładu, ścian i załomów korytarza, pędził w zwolnionym tempie przez próżnię, przypominając lecącego pod wodą nietoperza. Wpadł przez luk do położonego po zaciemnionej stronie statku przedziału balastowego. Upłynęły dwie minuty.

Tak jak wszystkie statki kosmiczne, „Nomad” wybalastowany był i usztywniony masą swych zbiorników gazu, ułożonych wzdłuż kilu i oblepionych po bokach labiryntem powyginanych rurociągów. Odłączenie zbiornika powietrza zajęło Foylowi minutę. Nie wiedział, czy zbiornik jest pełny, czy też już opróżniony i czy będzie taszczył go z powrotem do swego schowka po to tylko, aby przekonać się, że nie ma w nim powietrza i że jego życie dobiegło kresu. Grał w te kosmiczną ruletkę raz na tydzień.

Huczało mu w uszach; powietrze w skafandrze psuło się w zastraszającym tempie. Szarpnął masywny cylinder, kierując go w stronę luku prowadzącego na korytarz. Zrobił unik, gdy zbiornik przelatywał mu nad głową, po czym odbił się stopą od ściany i poszybował w ślad za nim. Przecisnął swoją zdobycz przez luk. Upłynęły cztery minuty. Wstrząsały nim już drgawki i ciemniało mu w oczach. Przeprowadził zbiornik korytarzem głównego pokładu

i wepchnął go głową do schowka na narzędzia.

Zatrzasnął za sobą drzwi, zaryglował je, znalazł na półce młotek i walnął nim trzy razy w zamrożony zbiornik, aby poluzować zawór. Kręcił zawzięcie gałką, czując, że słabnie. Ostatkiem sił rozhermetyzował hełm, żeby nie udusić się w skafandrze, w czasie, gdy schowek wypełniać będzie życiodajne powietrze... o ile w zbiorniku jest powietrze. Zemdlął, jak to mu się ostatnio często zdarzało, nie wiedząc, czy to już czasem nie śmierć.

* * *

Ocknął się. Nie tracąc czasu na modlitwy i dziękczynienia zajął się dalej sprawą własnego ocalenia. Obmacał w ciemności półki, na których trzymał racje żywnościowe. Pozostało tam tylko kilka paczuszek. Skoro ma już na sobie połatany skafander, może przecież przelecieć się jeszcze raz przez próżnię i uzupełnić swoje zapasy.

Napełnił skafander powietrzem ze zbiornika, uszczelnił z powrotem hełm i wypłynął znowu w mróz i światło. Skręcając się i wijąc przebył korytarz pokładu głównego i po resztkach schodów zszedł na pokład nawigacyjny, który był niczym innym jak zawieszonym w próżni pomostem zaopatrzonego w sufit. Większość ścian uległa zniszczeniu.

Mając słońce po prawej, a gwiazdy po lewej ręce, Foyle pomknął jak strzała w kierunku rufy, gdzie znajdował się magazyn żywnościowy. W połowie korytarza minął kwadratową framugę, tkwiącą jeszcze pomiędzy sufitem, a podłogą. Na zawiasach, na wpół uchylone, wisiało wciąż jedno skrzydło drzwi, drzwi donikąd. Za nimi był tylko kosmos i nieruchome gwiazdy.

Mijając drzwi, Foyle zobaczył swoje odbicie w ich chromowanej lśniącej powierzchni... Gully Foyle, olbrzymi, czarny stwór, brodaty, pokryty skorupą zakrzepłej krwi, wstrętny, wymizerowany, o błędnych, trawionych gorączką oczach... i ścigany zawsze przez strumień nieważkich gratów, śmietnisko, którym zakłócił spokój swoim przejściem i które ciągnęło się za nim przez próżnię niczym ogon owrzodzonej komety.

Foyle skręcił do magazynu żywnościowego i zaczął plądrować z metodyczną rutyną pięciomiesięcznego nawyku. Większość żywności przechowywanej w butelkach zamarzała na kość i eksplodowała. Większość towarów znajdujących się w puszkach straciła swe opakowania, bowiem w panującej w kosmosie temperaturze zera bezwzględnego, blacha cynkowa rozsypuje się w pył. Foyle zebrał paczuszki z racjami, trochę koncentratów i wyłupał parę bryłek lodu z rozerwanego zbiornika na wodę. Wrzucił to wszystko do wielkiego, miedzianego kotła, odwrócił się i wyprysnął z magazynu, unosząc ze sobą swój łup.

Przy drzwiach donikąd, Foyle znowu popatrzył na swoje odbicie w chromowanej tafli obramowanej gwiazdami i nagle zamarł, czując zamęt w głowie. Wpatrywał się w rozsiane za drzwiami gwiazdy, które po pięciu miesiącach stały się już jego dobrymi znajomymi. Wśród nich był intruz: chyba kometa z niewidoczną głową i krótkim, ognistym warkoczem. I nagle Foyle uświadomił sobie, że obserwuje statek kosmiczny, który przyspieszając na kursie ku Słońcu odpala dysze rufowe. Statek, który musi przechodzić tuż obok niego.

– Nie – mruknął. – Nie, kurczę, nie.

Halucynacje dręczyły go od dawna. Odwrócił się, aby podjąć na nowo podróż do swojej trumny, ale zerknął jeszcze raz. To był nadal statek kosmiczny, który przyspieszając na kursie ku Słońcu odpala dysze rufowe. Statek, który musi przechodzić tuż obok niego. Przedyskutował iluzję z Wiecznością.

– To już sześć miesięcy – powiedział. – Mam racje? Słuchajcie, zawszeni bogowie. Zawrzyjmy układ. Patrzę jeszcze raz, świętoszkowie. Jeśli to statek, jestem wasz. Macie mnie. Ale jeśli to kant, kurczę... jeśli to nie statek... rozhermetyzuję się jak tu stoję i wypruwam sobie flaki. Dołączam do waszej kompanii. No, a teraz dajcie znak. Tak, czy nie.

Spojrzał po raz trzeci. Po raz trzeci ujrzał statek, który przyspieszając na kursie ku Słońcu odpala dysze rufowe. Statek, który musi przechodzić tuż obok niego.

To był znak. Uwierzył. Był ocalony.

Odepchnął się nogą od framugi i w szalonych łamańcach pomknął korytarzem pokładu nawigacyjnego w kierunku mostka. Opamiętał się na schodkach prowadzących do sterowni. Nie napelniwszy swojego skafandra powietrzem, stracił za kilka chwil przytomność. Posłał w kierunku zbliżającego się statku jedno błagalne spojrzenie i pomknął jak strzała do schowka na narzędzia, gdzie napompował do pełna swój skafander.

Wspiął się na mostek nawigacyjny. Dostrzegł statek kosmiczny przez iluminator obserwacyjny prawej burty. Dysze rufowe nadal tryskały ogniem i statek najwyraźniej dokonywał radykalnej zmiany kursu, przez co zbliżał się do Foyle'a bardzo wolno.

Na konsoli oznaczonej napisem FLARY, Foyle nacisnął klawisz NIEBEZPIECZEŃSTWO. Nastąpiła trzysekundowa przerwa, podczas której cierpiał katusze. Nagle, jasnym światłem, w trzech potrójnych eksplozjach – dziewięciu modlitwach o ratunek, buchnął sygnał niebezpieczeństwa. Foyle jeszcze dwa razy nacisnął klawisz i dwa razy więcej flar rozerwało się w przestrzeni, a promieniowanie radioaktywne wytwarzane podczas ich wybuchów, rozpętało istną burzę zakłóceń, które musiały zostać zarejestrowane na każdym zakresie fal każdego odbiornika.

Dysze obcego statku zgasły. Zauważono go. Będzie ocalony. Urodził się na nowo.

– Chodź, dziecińko – nucił Foyle. – Pośpiesz się, kurczę. Chodź, dziecińko.

Obcy statek sunął majestatycznie na granicy światła i cienia, zbliżając się powoli niczym widmowa torpeda i obserwując „Nomada”. Przez moment serce Foylea przestało bić. Statek zachowywał się tak ostrożnie, że Foyle pomyślał z rozpaczą, iż może to być wroga jednostka z Satelitów Zewnętrznych. Tracił już nadzieje na uzyskanie odpowiedzi, gdy na burcie obcego dostrzegł sławne, czerwono–niebieskie godło, znak firmowy potężnego klanu przemysłowego Presteigna; Presteign z Ziemi. Potężny, hojny, wspaniały. Teraz wiedział już, że to statek siostrzany, bo „Nomad” również należał do Presteigna. Wiedział już teraz, że to szukający go anioł kosmosu.

– Kochanie – nucił Foyle – aniołku, zabierz mnie do domu.

Siostrzany statek zrównał się z „Nomadem”. Iluminatory ciągnące się wzdłuż jego burty jarzyły się ciepłym światłem. Wyraźnie widać było nazwę i numer rejestracyjny wypisane podświetlonymi literami na kadłubie: „Vorga T:1339”. Statek szedł przez moment burta w burtę z „Nomadem”, po sekundzie minął go, a po trzech sekundach znikł.

Siostra odtrąciła go; anioł go porzucił. Foyle przestał tańczyć i nucić. Gapił się przez chwilę z niedowierzaniem, a potem rzucił się do konsoli sygnalizacyjnej i zaczął walić na oślep w klawisze. Z kadłuba „Nomada”, w szaleństwie białego, czerwonego i zielonego światła, pulsując, błagając, tryskały sygnały niebezpieczeństwa, flary lądowania, startu, kwarantanny..., a „Vorga T:1339” cicho i niewzruszenie przeszła obok, dysze rufowe znowu bluznęły ogniem i statek zaczął przyspieszać.

I tak, w ciągu pięciu minut, Foyle narodził się, żył i umarł. Po trzydziestu latach egzystencji i sześciu miesiącach tortury nie było już Gully Foylea – stereotypowego Przeciętnego Człowieka. W zamku jego duszy przekręcił się klucz i drzwi stanęły otworem. To, co się spoza nich wynurzyło, wymazało na zawsze Przeciętnego Człowieka.

– Minęłaś mnie – wycedził z narastającą powoli furiją. – Zostawiłaś mnie, żebym tu zdechł jak pies. Zostawiłaś mnie, żebym tu szczył, „Vorga”... „Vorga T:1339”. Nie. Wydostanę się stąd, kurczę. Będę cię tropił, „Vorga”. Znajdę cię, „Vorga”. Odplącę ci, kurczę. Zniszczę cię. Zabiję cię, „Vorga”. Zarżnę cię.

Płynął przez niego kwas furii, zzerając tępą cierpliwość i ospałość, które czyniły go – Gully Foylea zerem i przyspieszając łańcuch reakcji, które przekształcały Gully Foylea w maszynę piekielną. Był nawiedzony.

– „Vorga”, zarżnę cię.

* * *

Dokonał tego, czego nie potrafiłoby dokonać zero; uratował się. Przez dwa dni

przecheszywał statek w pięciominutowych wypadach, aż znalazł gdzieś uprzęż, którą mógł sobie założyć na ramiona. Do upręży przytroczył zbiornik powietrza i prowizorycznym węzłem podłączył go do hełmu swojego skafandra próżniowego. Posuwał się wijąc przez próżnię jak mrówka taszcząca kloc drewna, ale dzięki temu miał teraz swobodę poruszania się po „Nomadzie”.

Myślał.

W sterowni, studiując standardowe instrukcje obsługi, porozrzucane po zniszczonej kabine nawigacyjnej, nauczył się korzystać z kilku przyrządów nawigacyjnych, które nie uległy jeszcze uszkodzeniu. Przez dziesięć lat swojej służby w kosmosie nigdy nawet nie marzył o zajmowaniu się czymś takim, chociaż od tego właśnie uzależniony był awans i podwyżka wynagrodzenia; ale teraz nagrodą miała być „Vorga”.

Przeprowadził namiary. „Nomad” dryfował przez kosmos po ekliptyce, trzysta milionów mil od Słońca. Przed nim rozsiane były konstelacje Parseusza, Andromedy i Ryb. Wisząca niemal na pierwszym planie mglista, pomarańczowa plamka to Jowisz. Tarczę planety rozróżnić można było gołym okiem. Przy odrobinie szczęścia mógł skierować statek na Jowisza i uratować się.

Jowisz nie nadawał się i nigdy nie będzie się nadawał do zamieszkania. Tak jak wszystkie planety znajdujące się na zewnątrz orbit asteroidów, stanowił zmrozoną bryłę metanu i amoniaku, ale cztery jego największe księżyce roły się od miast i ludzi pozostających obecnie na stopie wojennej z Planetami Wewnętrznymi. Zostałby jeńcem, ale musiał utrzymać się przy życiu, aby wyrównać rachunki z „Vorgą T:1339”.

Foyle dokonał przeglądu maszynowni „Nomada”. W zbiornikach pozostało jeszcze wysokowydajne paliwo rakietowe, a jeden z czterech rufowych silników odrzutowych był ciągle sprawny. Foyle wygrzebał gdzieś instrukcje obsługi maszynowni i przestudiował je. Naprawił połączenie pomiędzy zbiornikami paliwa a komorą spalania jedyne go nieuszkodzonego silnika. Zbiorniki znajdowały się po nasłonecznionej stronie statku i nagromadzone w nich paliwo, nagrzane do temperatury przekraczającej punkt zamarzania, znajdowało się ciągle w stanie ciekłym, ale spływać do komory nie mogło. W stanie nieważkości panującym na pokładzie „Nomada” nie istniała siła grawitacji, która ściągnęłaby je do rur.

Foyle przestudiował podręcznik astrofizyki i dowiedział się z niego co nieco o teorii grawitacji. Gdyby zdołał nadać „Nomadowi” ruch wirowy, siła reakcji odśrodkowej wytworzyłaby na statku grawitację wystarczającą do ściągnięcia paliwa do komory spalania silnika rakietowego. Gdyby udało mu się zainicjować w tej komorze zapłon, niesymetryczny ciąg jednego silnika nadałby „Nomadowi” ruch obrotowy.

Nie mógł jednak spowodować zapłonu w silniku nie wprowadziwszy uprzednio statku w ruch wirowy, a nie mógł wprowadzić statku w ruch wirowy nie wywoławszy przedtem zapłonu.

Zastanawiał się nad wyjściem z impasu. Był natchniony przez „Vorgę”.

Znalazł jakieś teksty i czytał. Myślał i planował, chociaż często popadał w zwątpienie i bliski był całkowitego załamania. To „Vorga” natchnęła go wielkością.

Foyle przyniósł z magazynów chemicznych srebrzysty kawałek drutu – czysty sód. Wetknął drut przez otwarty zawór. Sód w zetknięciu z wodą zapalił się płomieniem o wysokiej temperaturze. Wytworzone ciepło spowodowało wybuch paliwa raketowego i z zaworu trysnął cieniutki jak igła płomyczek. Foyle zamknął zawór kluczem. Zapłon w komorze spalania trwał nadal i bezgłośnie wibracją, która wstrząsnęła statkiem, buchnęła płomieniem jedyna pozostała dysza.

Niesymetryczny ciąg jedyne go silnika raketowego nadał „Nomadowi” powolny ruch wirowy. Moment obrotowy przywrócił niewielką grawitację. Powróciło ciężenie. Unoszące się do tej pory w próżni rumowisko wypełniające kadłub, spadło na pokłady, ściany i sufity; siła grawitacji podtrzymała podawanie paliwa ze zbiorników do komory spalania.

Foyle nie tracił czasu na zachwyty. Opuścił maszynownię i w desperackim pośpiechu powłókł się z trudem przed siebie, aby przeprowadzić ostatnią i rozstrzygającą obserwację z mostka nawigacyjnego. Na jej podstawie dowie się czy „Nomad” wykonuje dziki skok w otwarty kosmos, czy też położył się na kursie ku Jowiszowi i ocaleniu.

ROZDZIAŁ 2

Miedzy Marsem a Jowiszem rozciąga się szeroki pas asteroidów. Z tysięcy znanych i nie znanych, unikalnym dla tego Niezwykłego Stulecia był Asteroid Sargasso, małeńka planetka sklecona z naturalnej skały i wraków ściągniętych tu na przestrzeni dwustu lat przez jej mieszkańców. Byli ludem dzikim, jedynymi dzikimi dwudziestego piątego stulecia, potomkami zespołu naukowców badaczy, którzy po awarii statku zbłądzili dwa wieki temu w pasie asteroidów i pozostali już tam na zawsze niczym rozbitkowie na bezludnej wyspie. Z czasem, ich potomkowie odkryli na nowo, że potrafią zbudować swój własny świat oraz kulturę i woleli pozostać w kosmosie, łowiąc rozbite statki kosmiczne, łupiąc je i praktykując barbarzyńską parodię zapamiętanego u swych przodków naukowego podejścia do świata. Nazywali siebie Ludźmi Naukowymi. Świat natychmiast o nich zapomniał.

S. S. „Nomad” krążył w przestrzeni kosmicznej nie wszedłszy ani na kurs ku Jowiszowi, ani ku odległym gwiazdom, lecz dryfując przez pas asteroidów powolną spiralą jak zdychające żyjątko. Przeszedł o milę od Asteroidu Sargasso i natychmiast przechwycili go Ludzie Naukowi, by włączyć go do ich małej planetki. Znaleźli Foylea.

Ocknął się dopiero, gdy niesiono go triumfalnie na noszach przez naturalne i sztuczne korytarze śmieciarskiego asteroidu. Zbudowano je z metalu pozyskanego z meteorytów, z kamieni i z płyt poszycia kadłubów statków kosmicznych. Tłum zebrany wokół noszy wył triumfalnie. „W Stos Prop” –wrzeszczano. Żeński chór zaczął zawodzić w ekstazie:

| | |
|------------------------|----------------|
| „Bromek amonowy | 1½ gr. |
| Bromek potasowy | 3 gr. |
| Bromek sodowy | 2 gr. |
| Kwasek cytrynowy | w stos. prop.” |

– W Stos Prop! – wrzasnęli Ludzie Naukowi. – W Stos Prop!

Foyle zemdlął.

* * *

Ocknął się znowu. Wydobyto go już ze skafandra próżniowego. Znajdował się teraz w cieplarni asteroidu, w której uprawiano rośliny produkujące świeży tlen. Salę tworzył długi na sto jardów kadłub starego rudowęgłowca, a jedną ze ścian skonstruowano z wymontowanych z wraków okien: okrągłych bulajów, iluminatorów kwadratowych, pięciokątnych, sześciokątnych... Stosowano do jej budowy iluminatory wszelkiego kształtu i wieku, aż ogromna ściana stała się szalonym zlepkiem szkła i światła.

Wpadały przez nią promienie odległego Słońca: powietrze było gorące i przesycone wilgocią. Foyle rozejrzał się wokół nic nie rozumiejąc. Patrzyła na niego diabelska twarz. Policzki, broda, nos i powieki pokryte były szkaradnym tatuażem, upodabniając ją do starożytnej maski Maorysa. Przez brew biegło wytatuowane słowo JOSEPH. Z boku litery „O” sterczała w górę i nieco w prawo malutka strzałka, przekształcając ją w symbol Marsa, stosowany przez naukowców do oznaczania płci męskiej.

– Jesteśmy Rasą Naukową – oznajmił Joseph. – Ja jestem Joseph; to są moi ludzie.

Zatoczył ręką po sali. Foyle spojrzał półprzymtomnie na uśmiechnięty tłum otaczający jego nosze. Wszystkie twarze wytatuowane były w diabelskie maski. Nad każdą brwią było imię.

– Jak długo dryfowałeś? – spytał Joseph.

– Vorga – wymamrotał Foyle.

– Jesteś pierwszym od pięćdziesięciu lat, który przybył do nas żywy. Jesteś człowiekiem potężnym. Bardzo potężnym. Przybycie najodpowiedniejszego jest doktryną Świętego Darwina. Najnaukowszą doktryną.

–W Stos Prop! – zaryczał tłum.

Joseph ujął Foylea za łokieć w sposób, w jaki czyni to lekarz mierzący puls. Jego diabelskie usta liczyły uroczyście do dziewięćdziesięciu ośmiu.

– Twój puls dziewięćdziesiąt osiem przecinek sześć – oznajmił wreszcie, wyciągając termometr i wstrząsając go z namaszczeniem. – Najnaukowiej.

Wypuszczając kłęb dymu dał znak ręką. Przed Foylem pojawiły się trzy dziewczyny. Ich wytatuowane twarze były szkaradne. Przez brew każdej biegło imię: JOAN, MOIRA i POLLY. Litera „O” w każdym imieniu miała u dołu malutki krzyżyk.

– Wybieraj – powiedział Joseph. – Ludzie Naukowi praktykują Naturalną Selekcję. Bądź w swym wyborze naukowy. Bądź genetyczny.

Foyle zemdlał znowu i jego ręka zsunąwszy się z noszy dotknęła Moiry.

–W Stos Prop!

* * *

Znajdował się w okrągłej sali przykrytej kopułą. Salę wypełniała porzewiała, antyczna aparatura: centryfuga, stół operacyjny, zdezelowany fluoroskop, autoklawy, futerały ze skorodowanymi narzędziami chirurgicznymi.

Majającego i mówiącego coś bez ładu i składu Foylea przypasano do stołu operacyjnego. Nakarmiono go. Ogolono i umyło. Dwóch mężczyzn zaczęło ręcznie obracać starożytną centryfugę. Pobrzękiwała rytmicznie, co przypominało walenie w bęben wojenny. Zebrani zaczęli przestępować z nogi na nogę i nucić.

– Nadaję ci imię Nomad! – zaintonował Joseph.

Wrzawa stała się ogłuszająca. Joseph przechylił nad ciałem Foylea zardzewiałą puszkę. Zaleciało eterem.

Foyle stracił resztkę świadomości i spowiła go ciemność. Raz po raz wynurzała się z niej „Vorga T:1339” przyspieszając na wiodącym przez krew i umysł Foylea kursie ku Słońcu. Nie mógł powstrzymać niemego krzyku o pomstę.

Był ledwo świadom mycia, karmienia, tupania i śpiewnego zawodzenia. Kiedy się w końcu ocknął, leżał w łóżku. U jego boku spoczywała dziewczyna imieniem Moira.

– Coś ty za jedna? – wycharczał Foyle.

– To ja, twoja żona, Nomadzie.

– Że kto?

– Twoja żona. Wybrałeś mnie, Nomadzie. Jesteśmy małżeństwem.

– Że co?

– Jesteśmy naukowo skojarzeni – odparła dumnie Moira. Podciągnęła rękaw nocnej koszuli i pokazała mu swoje ramie. Było zeszpecone czterema paskudnymi szramami. – Zostałam zaszczepiona czymś starym, czymś nowym, czymś pożyczonym i czymś roztrwonionym.

Foyle zwlókł się z łóżka.

– Gdzie jesteśmy?

– W naszym domu.

– W jakim domu?

– W twoim. Jesteś jednym z nas, Nomadzie. Musisz żenić się co miesiąc i płodzić dużo dzieci. To będzie naukowo. Ale ja jestem pierwsza.

Foyle pominął to milczeniem i badał pomieszczenia. Znajdował się w głównej kabynie szalupy raketowej z początku dwudziestego czwartego wieku... kiedyś chyba prywatnego jachtu. Kabinę główną przerobiono na sypialnię.

Słaniając się na nogach podszedł do iluminatora i wyjrzał na zewnątrz. Szalupa była wtopiona w asteroid i połączona z nim korytarzami. Przeszedł na rufę. Dwie mniejsze kabiny

wypełnione były roślinnością dostarczającą tlenu. Maszynownię zamieniono na kuchnię. W zbiornikach znajdowało się jeszcze wysokowydajne paliwo raketowe, ale teraz zasilało ono palniki małego piecyka ustawionego na komorach spalania silników odrzutowych. Foyle poszedł na dziób. Sterownia była teraz salonem, ale urządzenia sterownicze były nadal sprawne.

Myślał.

Wrócił na rufę do kuchni i rozmontował piecyk. Podłączył zbiorniki paliwa na powrót do komór spalania silników odrzutowych. Moira dreptała za nim, przyglądając się ciekawie jego krzątaniu.

– Co robisz, Nomadzie?

– Musze stąd pryskać, mała – mruknął Foyle. – Mam porachunki ze statkiem o nazwie „Vorga”, kapujesz mała? Zamierzam wyrwać stąd na tej łodzi, kurczę.

Moira cofnęła się przestraszona. Foyle dostrzegł wyraz paniki w jej oczach i doskoczył do niej. Po tym wszystkim, przez co ostatnio przeszedł był tak niezdarny, że łatwo mu się wymknęła. Otworzyła usta i wydała przesywający wrzask. W tym samym momencie szalupę wypełnił ogłuszający hałas; to Joseph i jego diaboliccy Ludzie Naukowi bębniłi w metalowy kadłub, odprawiając uświęcony tradycją rytuał naukowej kociej muzyki na cześć młodej pary.

Moira wrzeszczała i wymykała się ścigającemu ją cierpliwie Foylowi. Dopadł ją wreszcie w kącie, zdarł z niej nocną koszulę i za jej pomocą związał i zakneblował dziewczynę. Moira robiła wystarczająco dużo hałasu, aby rozwalić na kawałki asteroid, ale naukowa kocia muzyka była głośniejsza.

Foyle skończył prowizoryczne łatanie maszynowni: był teraz niemal ekspertem. Podniósł wrywającą się Moirę z podłogi i zaciągnął ją do luku głównego.

– Odjeżdżam – wrzasnął jej do ucha. – Startuję. Wyrwam z asteroidu. Cholerna katastrofa. Może wszyscy zginą, kurczę. Wszystko w drobny mak. Nie będzie już powietrza. Nie będzie już asteroidu. Idź im powiedz. Ostrzeż ich. No idź, mała.

Otworzył luk, wypchnął Moirę, zatrzęsął za nią klapę i zaryglował ją. Kocia muzyka urwała się jak nożem uciął.

Foyle był już w maszynowni i naciskał klawisz zapłonu. Zaczęła wyc próżnująca od dziesięcioleci automatyczna syrena startowa. Z głuchym wstrząsem zaskoczyły komory spalania silników odrzutowych. Foyle czekał aż temperatura narosnie do wartości umożliwiającej odpalenie. Czekając – cierpiał. Szalupa była w cementowana w asteroid. Otaczały ją kamień i żelazo. Jej silniki rufowe wpuszczone byty w kadłub innego, wtłoczonego w te bryłę statku. Nie wiedział, co się stanie, kiedy silniki zaczną pracować z pełnym ciągiem, ale do ryzyka pchała go „Vorga”.

Odpalił silnik. Płomieniom bluzgającym z dysz rufowych statku towarzyszyła głucha eksplozja. Szalupa trzęsa się, trzeszczała i nagrzewała. Rozległ się skowyt metalu. Po chwili statek drgnął i ze świdrującym w uszach zgrzytem ruszył naprzód; z początku wolno, rozrywając na kawałki przytrzymującą go konstrukcję z metalu, kamienia i szkła, aż wreszcie wyrwał się z asteroidu w kosmos.

* * *

Marynarka Wojenna Planet Wewnętrznych natknęła się na niego dziewięćdziesiąt tysięcy mil za orbitą Marsa. Po siedmiu miesiącach walk, patrole Planet Wewnętrznych były czujne, ale zarazem zuchwałe. Kiedy szalupa nie reagowała na wezwania i nie podawała swoich znaków rozpoznawczych, należało ją zniszczyć, a pytania zadawać potem, gdy stanie się już wrakiem. Ale szalupa była mała, a załoga krążownika żadna łupu. Zbliżyli się i wzięli stateczek abordażem.

Wewnątrz znaleźli Foyla czołgającego się jak bezgłowy robak przez rozwalony statek kosmiczny wśród połamanych sprzętów gospodarstwa domowego. Znowu krwawił. Miał zaawansowaną, cuchnącą gangrenę i jedną stronę głowy rozbitą na miazgę. Umieszczono go w pokładowym lazarecie i pieczołowicie zasłonięto. Foyle nie był przyjemnym widokiem nawet dla wytrzymałych żołdaków marynarzy z dolnego pokładu. Kontynuując swój rejs patrolowy posztukowali jego tułów w zbiorniku z płynem owodniowym. Gdy dysze krążownika znowu trysnęły ogniem skierowując statek ku Ziemi, Foyle odzyskał przytomność i wybełkotał jakieś słowo zaczynające się na V. Wiedział, że jest ocalony. Wiedział, że tylko czas stoi między nim a zemstą. Dyżurny lazaretu usłyszał dobiegający ze zbiornika jego triumfujący głos i uchylił zasłonę. Spojrzały na niego zamglone oczy Foyla. Dyżurny nie mógł powstrzymać ciekawości.

– Ty, słyszysz mnie? – wyszeptał.

Foyle chrząknął. Dyżurny pochylił się niżej.

– Co ci się przytrafiło? Kto cię tak, u diabła, urządził?

– Jak? – wycharczał Foyle.

– Nie wiesz?

– Czego? O co chodzi, kurczę?

– Poczekaj chwileczkę.

Dyżurny znikł jauntując się do magazynu i w pięć minut później pojawił się znowu przy zbiorniku. Foyle dźwignął się z wysiłkiem z cieczy. Oczy mu błyszczały.

– Wraca, kurczę. Coś jakby wracało. Jauntowanie. Nie umiałem jauntować na

„Nomadzie”, kurczę.

– Co?

– Straciłem głowę.

– Człowieku, tyś nie miał żadnej głowy, którą mógłbyś stracić.

– Nie potrafiłem jauntować. Zapomniałem jak. Wszystko zapomniałem, kurczę. I teraz mało co pamiętam. Ja...

Cofnął się przerażony na widok szkaradnie wytatuowanej twarzy, której fotografię podsunął mu pod nos dyżurny. To była maska Maorysa. Policzki, broda, nos i powieki udekorowane były pasmami i spiralami. Przez brew biegło słowo NOMAD. Foyle patrzył przez chwilę z przerażeniem, a potem krzyknął z rozpaczą. Fotografia była lusterkiem. Twarz była jego własną.

ROZDZIAŁ 3

– Brawo panie Harris! Bardzo dobrze! P–O–P, panowie. Nigdy nie zapominajcie. Położenie. Otoczenie. Podwyższenie. To jedyny sposób gwarantujący wam zapamiętanie swoich współrzędnych jauntowskich. „*Etre entre le marteau et l’enclume. Francuski*”. Proszę jeszcze nie jauntować, panie Peters. Niech pan czeka na swoją kolej. Bądźcie cierpliwi, wkrótce wszyscy znajdziecie się w klasie C. Czy ktoś widział pana Foyla? Brakuje go. „*Och, spójrzcie na tego bajecznie brązowego ptaszka. Posłuchajcie go*”. Ojej, myślę na wszystkie strony... a może mówiłam głośno, panowie?

– Pół na pół, pszepani.

– To trochę nie fair. Półtelepatia to utrapienie. Przepraszam za bombardowanie was moimi myślami.

– Lubimy to, pszepani. Ładnie pani myśli.

– „*Och, jak to miło z pańskiej strony, panie Gorgas*”. Uwaga, klasa: wszyscy z powrotem do szkoły i zaczynamy od początku. Czy pan Foyle już dojauntował? Nigdy nie mogę go upilnować.

Robin Wednesbury prowadziła swoją reedukacyjną klasę jauntingu, wędrując z nią po New York City, a było to dla przypadków mózgowych równie emocjonujące zajęcie, co i dla dzieci z pierwszej klasy, w której Robin też była nauczycielką. Traktowała dorosłych jak dzieci, a im sprawiało to chyba przyjemność. Przez ostatnie miesiące zapamiętywali koordynaty jauntramp na skrzyżowaniach ulic, skandując:

– P–O–P, pszepani. Położenie. Otoczenie. Podwyższenie.

Robin była wysoką, powabną Murzynką, inteligentną i wypielegnowaną, w pewnym jednak sensie upośledzoną. Była mianowicie telenadawczynią – półtelepatką. Mogła swoje myśli wysyłać w świat, ale nie mogła nic odebrać. Wada ta zagroziła jej drogę do bardziej błyskotliwej kariery, nie dyskwalifikowała jej jednak jako nauczycielki. Pomimo swego gorącego temperamentu, Robin Wednesbury była sumiennym i metodycznym instruktorem jauntingu.

Do szkoły jauntingu, zajmującej cały budynek w Hudson Bridge na Czterdziestej Drugiej

Ulicy przywieziono mężczyzn z Głównego Szpitala Wojennego. Wyszli ze szkoły i pomaszerowali parami do ogromnej jauntrampy na Times Square, którą zapamiętali jako pierwszą. Potem wszyscy jauntowali się do szkoły i z powrotem na Times Square. Ustawili się ponownie w pary i pomaszerowali do Columbus Circle, gdzie zapamiętali jego współrzędne. Następnie wszyscy jauntowali się przez Times Square do szkoły i tą samą drogą wrócili do Columbus Circle. Tam znowu utworzyły się pary i pomaszerowali do Grand Army Plaza, celem powtórzenia zapamiętywania i jauntowania.

Robin powtarzała z pacjentami (wszyscy z utratą zdolności do jauntowania w wyniku urazu głowy) przystanki, można by rzec, pospieszne na jauntrampach publicznych. Później zapamiętają przystanki zwykle na skrzyżowaniach ulic. Gdy ich horyzonty poszerzą się (i powróci im zdolność do jauntowania), zapamiętywać będą jauntrampy w coraz to szerszych kręgach, których średnica określona będzie zarówno dochodami, jak i zdolnościami, ponieważ jedno było pewne: aby zapamiętać jakieś miejsce, trzeba je było wpierw zobaczyć na własne oczy, co znaczy, że najpierw trzeba było zapłacić za transport, żeby się tam dostać. Nie pomagały nawet trójwymiarowe fotografie. Wielka Podróż naokoło kontynentu, w którą wybierali się arystokraci celem dopełnienia wykształcenia, nabrała nowego znaczenia dla wyższych sfer.

– Położenie. Otoczenie. Podwyższenie – wykladała Robin Wednesbury i klasa, podążając gorliwie za swoją murzyńską nauczycielką, jauntowała przez przystanki pospieszne z Washington Heights do Hudson Bridge i z powrotem w ćwierćmilowych skokach dla początkujących.

– Jest duży ruch. Wszyscy z rampy. Proszę.

W drodze do domu na południe, po szychcie w lasach na północy, znajdowali się robotnicy w ciężkich roboczych ubraniach, wciąż jeszcze przyprószonych śniegiem. Pięćdziesięciu ubranych na biało pracowników mleczarni udawało się na zachód w kierunku St. Louis. Ścigali poranek przemieszczający się przed nimi ze Wschodniej Strefy Czasowej do Strefy Pacyficznej. A na lunch do Nowego Jorku pędziła tłumnie ze wschodniej Grenlandii, gdzie było już południe, horda urzędników biurowych w zarękwkach.

Po kilku chwilach ruch ustał.

– Uwaga, klasa – zawołała Robin. – Kontynuujemy. O Boże, gdzie jest pan Foyle. Wciąż mi się wydaje, że go brakuje.

– Nie może go pani winić, że się chowa z tą swoją buźką, pszepani. Na oddziale mózgowym wołamy na niego Straszdyło.

– Wygląda przeraźliwie, nieprawdaż, sierżancie Logan? Nie mogą mu usunąć tych blizn?

– Próbuja, panno Robin, ale nie wiedzą jeszcze jak. To się nazywa „tatuaz” i to z tych

dawno zapomnianych.

– W jaki więc sposób pan Foyle dorobił się takiej twarzy?

– Nikt tego nie wie, panno Robin. Jest na oddziale mózgowym, bo stracił pamięć, kurczę. Nic sobie nie przypomina. Mówiąc między nami, gdybym miał taką gębę jak on, też wolałbym nic nie pamiętać.

Foyle przyjauntował na rampę i jak gdyby nigdy nic zszedł z niej odwracając swoją szkaradną twarz.

– Ćwiczyłem, kurczę – mruknął stając na ziemi.

Robin stłumiła w sobie dreszcz odrazy i zbliżyła się do niego z uśmiechem. Wzięła go pod rękę.

– Powinien pan naprawdę więcej przebywać z nami. Wszyscy jesteśmy przyjaciółmi i świetnie się bawimy. Proszę się do nas przyłączyć.

Foyle z uporem unikał jej wzroku. Gdy wreszcie wyrwał jej brutalnie rękę, Robin uświadomiła sobie, że jego rękaw był mokry. Przemoczone było całe jego ubranie.

– „*Wilgoć? Był gdzieś na deszczu. Ale oglądałam przecież poranne prognozy pogody. Na wschód od St. Louis nie przewidywano żadnych opadów. Musiał się więc jauntować za St. Louis. Ale to powinno przekraczać jego możliwości. Miał przecież stracić całkowicie pamięć i zdolność do jauntowania. Symuluje*”.

Foyle doskoczył do niej.

– Zamknij się, kurczę! – wściekłość malująca się na jego twarzy była przerażająca.

– „*A zatem symulujesz*”.

– Ile wiesz?

– „*Tyle, że jesteś głupcem. Przestań robić sceny*”.

– Czy oni ciebie słyszą?

– „*Nie wiem. Odejdź ode mnie.*” – Robin odwróciła się od Foyle’a. – Uwaga, klasa. Kończymy na dzisiaj. Wszyscy z powrotem do szkoły. Autobus szpitalny już czeka. Pan jauntuje pierwszy sierżancie Logan. Proszę pamiętać: P–O–P. Położenie. Otoczenie. Podwyższenie.

– Czego chcesz? – warknął Foyle – Okupu, kurczę?

– „*Uspokój się. Przestań robić sceny*”. Proszę się teraz nie wahać, mechaniku Harris. Wchodzić i jauntować się.

– Chcę z tobą pogadać.

– „*Na pewno nie*”. Proszę czekać na swoją kolej, panie Peters. Niech się pan tak nie spieszy.

– Zamierzasz podkablować mnie w szpitalu?

– „Naturalnie”.

– Chcę z tobą pogadać.

– „Nie”.

– Już ich nie ma, kurczę. Mamy czas. Przyjdę do twojego mieszkania.

– Do mojego mieszkania? – Robin była szczerze wystraszona.

– Do Green Bay w Wisconsin.

– „*To absurd. Nie mamy o czym rozmawiać...*”

– Masz mi sporo do powiedzenia, panno Robin. Możemy porozmawiać o twojej rodzinie.

Foyle uśmiechnął się wyczuwając emanujące z niej przerażenie.

– Spotkamy się w twoim mieszkaniu – powtórzył.

– Niemożliwe, żebyś wiedział gdzie to jest – powiedziała drżącym głosem.

Przecież ci dopiero co powiedziałem, no nie?

– Ty... Ty nie potrafisz jauntować się tak daleko. Ty...

– Nie potrafię? – maska uśmiechnęła się. – Przed chwilą powiedziałaś o mnie, że jestem symu... no, to słowo. Zgadłaś, kurczę. Mamy pół godziny. Spotkamy się tam, gdzie mówię.

Robin Wednesbury zajmowała apartament w masywnej budowli wznoszącej się samotnie nad brzegiem Green Bay. Odnosiło się wrażenie, że jakiś magik przeniósł budynek z mieszkaniowej dzielnicy miasta i porzucił go wśród porastających Wisconsin sosn. Domy takie jak ten były w świecie jauntingu czymś zwyczajnym. Samowystarczalne pod względem ogrzewania i oświetlenia, z jauntingiem rozwiązującym problemy komunikacyjne – domy mieszkalne można było budować nawet na pustyniach, w lasach i w puszczach.

Sam apartament był czteropokojowym mieszkaniem, szczelnie ekranowanym ze względu na telenadawanie Robin, które mogło zakłócić spokój sąsiadom. Pokoje zapchane były książkami, płytami, obrazami i drukami... czysty dowód kulturalnego i samotnego życia tej nieszczęśliwej, źle ukierunkowanej półtelepatki.

Robin wjauntowała się do pokoju gościnnego swego apartamentu w pięć sekund po Foyle, który oczekiwał jej przybycia z dziką niecierpliwością.

– No to teraz wiesz już na pewno – zaczął bez wstępów. Schwycił ją za ramię i ścisnął boleśnie. – Ale w szpitalu nie powiesz o mnie nikomu, panno Robin. Nikomu.

– Odejdź ode mnie! – Robin chlasnęła go w twarz. – „*Bestia! Dzikus! Nie waż się mnie tknąć!*”

Foyle puścił ją i cofnął się o krok. Jej wściekłość zmusiła go do odwrócenia się i ukrycia swej twarzy. Uczynił to ze złością.

– A więc symulowałeś. Wiedziałaś jak jauntować. Jauntowałeś już wtedy, gdy zgłaszałeś się na naukę w pierwszej klasie... robiłeś wielkie skoki naokoło całego kraju, naokoło świata,

o ile się nie mylę.

– Ale!? Chodzę z Times Square do Columbus Circle... okrężną drogą, panno Robin.

– I to dlatego nigdy nie mogę się ciebie doliczyć. Ale dlaczego? Dlaczego? O co ci chodzi?

Na szkaradnej twarzy pojawił się wyraz opętańczej przebiegłości.

– Przywarowałem w Szpitalu Generalnym kurczę. To moja baza wypadowa, kapujesz? Przygotowuję coś, panno Robin. Mam dług do spłacenia, kurczaki. Musiałem odkryć miejsce postojowe jednego statku. Chcę mu się teraz odwdziżyć. Nie dam ci zgnieć, „Vorga”. Zabiję cię, „Vorga”. Zarżnę cię.

Przestał krzyczeć i rzucił jej spojrzenie pełne dzikiego tryumfu. Robin cofnęła się przerażona.

– Na miłość boską, o czym ty mówisz?

– O „Vordze”. „Vorga T:1339”. Nigdy o niej nie słyszałaś, panno Robin? Z rejestru statków Bońesa i Uiga dowiedziałem się gdzie jest teraz. Bońes i Uig mają biuro w San Fran. Wybrałem się tam wtedy, kiedy przerabiałaś z nami jauntrampy średnicowe. Wybrałem się, kurczę, do San Fran. Znalazłem „Vorgę”, kurczę. Stoi w stoczni Vancouver. Należy do Presteigna z Presteignów. Słyszałaś o nim, panno Robin? Presteign to największy człowiek na Ziemi i kropka. Ale mnie nie powstrzyma. Zarżnę „Vorgę”. I ty też mnie nie powstrzymasz, panno Robin. Foyle przysunął swoją twarz blisko twarzy dziewczyny.

– Jestem kryty. Przewiduję każdy słaby punkt w moim planie. Mam coś na każdego, kto może mi przeszkodzić w zabiciu „Vorgi”... na ciebie też coś mam, panno Robin.

– Nie.

– Czyżby? Wyniuchałem gdzie mieszkasz. Wiedzą to w szpitalu. Przyszedłem tu i rozejrzałem się. Czytałem twój pamiętnik. Masz rodzinę na Callisto. Matkę i dwie siostry.

– Na miłość boską!

– A za takie powiązania wędruje się na dywanik do Wywiadu. Kiedy zaczynała się wojna, tobie i całej reszcie dano miesiąc na wyniesienie się z Planet Wewnętrznych i powrót do domów. Wszystkim, którzy nie stali się jeszcze szpiegami w obliczu prawa. – Foyle otworzył dłoń. – Tu cię mam, skarbie. – Zacisnął dłoń w pięść.

– Moja matka i siostry od półtora roku próbują opuścić Callisto. Jesteśmy z Planet Wewnętrznych. My...

– Tu cię mam – powtórzył Foyle. – Wiesz co robią ze szpiegami? Wyciągają z nich informacje. Wywrócą cię na nice, panno Robin. Posiekają na kawałeczki.

Murzynka krzyknęła. Foyle pokiwał radośnie głową i ujął w swe dłonie jej trzęsące się ramiona.

– Mam cię, skarbie, i koniec. Nie możesz nawet ode mnie uciec, bo wystarczy, że doniosę na ciebie Wywiadowi i podam miejsce twojego pobytu. I co ty na to? Nie ma takiej siły, która by mnie powstrzymała; ani ty, ani szpital, ani nawet Święty Potężny Presteign z Presteignów.

– „*Wynoś się stąd ty obrzydliwy, szkaradny... stwórz. Wynoś się!*”

– Nie podoba ci się moja buzia, panno Robin? Tak, czy inaczej nic na to nie poradzisz.

Schwycił ją nagle i przeniósł na rękach do głębokiej kanapy. Rzucił dziewczynę na posłanie.

– Nic – powtórzył.

* * *

Przywiązany do zasady rzucającego się w oczy marnotrawstwa, na której opiera się funkcjonowanie całego społeczeństwa, Presteign z Presteignów wyposażył swój wiktoriański dwór w Central Park w windy, domofony, wyciągi kuchenne i wszystkie inne urządzenia, które ułatwiały kiedyś życie, a które jaunting uczynił zbędnymi. Po tym ogromnym, pretensjonalnym zamczysku wędrowała sumiennie służba otwierając i zamykając drzwi oraz wspinając się i schodząc po schodach.

Presteign z Presteignów wstał z łóżka, ubrał się z pomocą swojego lokaja i fryzjera, zjechał windą do komnaty porannej i zjadł śniadanie w asyście kamerdynera, lokaja i kelnerki. Po opuszczeniu komnaty porannej, udał się do swego gabinetu. W wieku, w którym systemy komunikacyjne wyszły już niemal z użycia, w którym daleko prościej było jauntować się do czyjegoś biura celem przeprowadzenia rozmowy niż telefonować tam czy telegrafować, Presteign nadal trzyma w swoim gabinecie antyczną centralkę telefoniczną obsługiwaną przez operatora.

– Daj mi Dagenhama – powiedział do operatora wchodząc do gabinetu.

Operator zakrzętnął się przy centralce i już po chwili połączył się z Dagenham Couriers, Inc. Była to organizacja zrzeszająca przysięgłych jauntowców o kapitale w wysokości stu milionów kredytu, świadcząca wszelkie jawne i poufne usługi na rzecz każdego zleceniodawcy. Ich stawka wynosiła 1 r za mile. Dagenham gwarantował usługi kuriera zdolnego okrążyć w osiemdziesiąt minut kulę ziemską.

Po osiemdziesięciu sekundach od chwili połączenia rozmowy, na prywatnej jauntrampie przed domem Presteigna zjawił się kurier Dagenhama. Wylegitymowano go i wpuszczono przez jauntoszczelny labirynt, znajdujący się za głównym wejściem. Tak jak każdy członek personelu Dagenhama, był on jauntowcem klasy M, zdolnym do teleportowania się w nieskończoność w tysięcznych skokach i obeznanym z tysiącami współrzędnych

jauntowskich. Był to starszy specjalista od spraw szykanowania i pochlebstw, wyszkolony w ciętej sprawności języka i zuchwalstwie, co charakteryzowało firmę Dagenham Couriers i odzwierciedlało bezwzględność jej założyciela.

– Presteignie? – spytał przybyły nie tracąc czasu na konwenanse.

– Chce zaangażować Dagenhama.

– Do usług, Presteignie.

– Nie ciebie. Chce samego Saula Dagenhama.

– Mr. Dagenham nie świadczy już usług osobiście za mniej jak 100 000 r.

– Suma będzie pięciokrotnie wyższa.

– Zaliczka, czy procent?

– Jedno i drugie. Zaliczki ćwierć miliona i ćwierć miliona wyrównania plus dziesięć procent od całej sumy tytułem ryzyka.

– Zgoda. Sprawa?

– PirE.

– Proszę przeliterować.

– Ta nazwa nic dla ciebie nie znaczy?

– Nie.

– To nic. Dagenham będzie wiedział, o co chodzi. PirE. Duże P, i-r, duże E. Wymawia się pire. Przekaż Dagenhamowi, że ustaliliśmy gdzie znajduje się PirE. Powiedz mu, że jego zadaniem jest zdobycie tego... bez względu na koszt... poprzez człowieka nazwiskiem Foyle. Gullivera Foyle.

Kurier wydobył maleńką, srebrzystą perełkę – mnemopaciorek – powtórzył do niego instrukcje Presteigna i oddalił się bez zbędnych słów. Presteign zwrócił się do operatora centrali.

– Daj mi Regisa Sheffielda – polecił.

W dziesięć minut po połączeniu rozmowy z kancelarią adwokacką Regisa Sheffielda, na prywatnej jauntrampie Presteigna pojawił się młody aplikant. Został wylegitymowany i wpuszczony przez labirynt. Był to żwawy młodzieniec o pospolitej aparycji i fizjonomii zachwyconego królika.

– Wybacz zwłokę, Presteignie – powiedział na wstępie. – Odebraliśmy twój telefon w Chicago, a ja ciągle jestem tylko pięćsetmilowcem klasy D. Podróż zajęła mi trochę czasu.

– Twój szef prowadzi sprawę w Chicago?

– W Chicago, Nowym Jorku i Waszyngtonie. Przez całe rano jauntuje z sądu do sądu. Zastępujemy go, kiedy jest akurat w innym mieście.

– Chcę go zaangażować.

– To wielki zaszczyt, Presteignie, ale pan Sheffield jest bardzo zajęty.

– Dla PirE rzuci wszystko.

– Przepraszam, sir; niezupełnie...

– Wiem, że ty niezupełnie, ale Sheffield będzie rozumiał. Powiedz mu tylko PirE i wymień wysokość jego honorarium.

– Które wyniesie?

– Ćwierć miliona zaliczki i ćwierć miliona wyrównania plus dziesięć procent od całej sumy tytułem ryzyka.

– A jakie jest zadanie pana Sheffielda?

– Ma przygotować wszelkie legalne środki prawne w celu porwania człowieka i ukrycia go przed armią, marynarką i policją.

– Jasne. Ten człowiek?

– Gulliver Foyle.

Aplikant wymruczał szybko kilka słów do swojego mnemopaciorka, wepchnął paciorek do ucha, posłuchał chwilę, kiwnął z zadowoleniem głową i oddalił się. Presteign opuścił gabinet i zszedł wybitymi pluszowym chodnikiem schodami do apartamentu swej córki, aby złożyć jej poranne wyrazy uszanowania.

W zamożnych domach pokoje niewiast były ślepe – bez okien i drzwi – i dostać się do nich mogli, jauntując, tylko członkowie najbliższej rodziny. W ten sposób zachowana była moralność i chroniona cnota. Ale Olivia Presteign była niewidoma w normalnym tego słowa znaczeniu i nie mogła jauntować. Z tej przyczyny do jej apartamentu wchodziło się przez drzwi, ściśle strzeżone przez staroświecką czeladź odzianą w liberie w barwach klanu Presteignów.

Olivia Presteign była przepiękną albinoską. Miała jedwabisto-białe włosy, satynowo-białą skórę oraz koralowe paznokcie, usta i oczy. Była piękna i niewidoma w zadziwiający sposób, ponieważ widziała tylko w podczerwieni, reagując na fale o długości od 7500 angstromów do jednego milimetra. Widziała fale cieplne, pola magnetyczne, fale radiowe, radarowe, ultradźwiękowe oraz pola elektromagnetyczne.

Uroczystych Porannych Audiencji udzielała w salonie swego apartamentu. Siedziała teraz w obitym brokatem fotelu o wywiniętych poręczach, pilnowana przez swą damę do towarzystwa, popijała herbatę ze szklanki i czyniła honory domu, gawędząc z grupą kilkunastu mężczyzn i kobiet zgromadzonych wokół niej w salonie. Wyglądała jak subtelna rzeźba z marmuru i koralu, mrugając oczyma, które patrzyły, ale nie widziały.

Presteign złożył córce wyrazy uszanowania i opuścił swoją rezydencję. Udał się do głównego biura swego klanu na Wall Street 99 powozem zaprzężonym w czwórkę koni

i powożonym przez stangreta, któremu towarzyszył stajenny. Obaj nosili czerwono–czarno–niebieskie barwy handlowe Presteigna. To czarne P na szkarłatno–kobaltowym polu było w hierarchii społecznej jednym z najstarszych i najznakomitszych znaków handlowych, rywalizując z tak sławnymi markami, jak „57” Heinza i „RR” dynastii Rolls–Royce’a.

Widok głowy klanu Presteignów na ulicach miasta nie był niczym niezwykłym dla nowojorskich jauntowców. Szpakowaty, przystojny, dobrze zbudowany, nienagannie ubrany i o staroświeckich manierach, Presteign z Presteignów był idealnym typem człowieka z towarzystwa, a przy tym tak starał się podkreślić swą godność, że zatrudniał stangretów, woźniców, stajennych, masztalerzy, koniuszych i konie do celów, które zwyczajni śmiertelnicy załatwiali jauntingiem.

Presteign wkroczył do uwieńczonej blankami wieży wartowniczej przy Wall Street 99 – Zamku Presteignów. Obsadzona była i strzeżona przez sławną Jaunt–Gwardię Presteigna, odzianą w klanową liberię. Presteign szedł do swego biura statecznym krokiem naczelnika przy akompaniamencie piskliwych dźwięków kobz. Prawdę powiedziawszy, był on kimś więcej niż naczelnikiem, o czym przekonał się ku swemu zmieszaniu pewien natrętny urzędnik państwowy, oczekujący na audiencję. Nieszczęśnik ten wyskoczył z czekającego tłumu i podbiegł do przechodzącego obok Presteigna.

– Panie Presteign – zaczął. – Jestem z Ministerstwa Finansów. Musze dziś rano z panem poroz... – Presteign obrzucił urzędnika lodowatym spojrzeniem, przerywając mu w pół słowa.

– Presteignów są tysiące – wycodził przez zęby. – Do wszystkich zwraca się per „panie”. Ale ja jestem Presteignem z Presteignów, głową domu i klanu, pierwszym w rodzinie, naczelnikiem septy. Do mnie należy zwracać się per Presteignie. Nie „panie” Presteign. Presteignie.

Odwrócił się i wkroczył do swojego biura, gdzie personel przywitał go przytłumionym chórem:

– Dzień dobry, Presteignie.

Presteign skinął łaskawie głową, uśmiechnął się swoim bazyliżkowym uśmiechem i zasiadł za ustawionym na podwyższeniu biurkiem, a Jaunt–Gwardia niestrudzenie popiskiwała na kobzach i bębniła na bębnach. Presteign dał ręką znak do rozpoczęcia audiencji. Spośród zebranych wystąpił Nadworny Koniuszy, dzierżąc w dłoniach rulon papieru. Presteign pogardzał mnemopaciorkami i wszelkiego rodzaju mechanicznymi maszynami biurowymi.

– Raport o stanie finansów przedsiębiorstw Klanu Presteignów – obwieścił Koniuszy. –

Poziom górny 20 $\frac{1}{2}$, poziom dolny 20 $\frac{1}{4}$. Średnie notowania w Nowym Jorku, na Cejlonie, w Tokio...

Presteign machnął ze zniecierpliwieniem ręką. Koniuszy wycofał się ustępując miejsca Czarnemu Drągowi.

– Kolejny pan Presto czeka na przyjęcie w poczet członków klanu, Presteignie.

Presteign stłumił w sobie niecierpliwość i przecierpiał nudną ceremonię zaprzysiężenia czterysta dziewięćdziesiątego siódmego pana Presta w hierarchii Prestów Presteignów, zarządzającego sklepami w dziale handlu detalicznego Presteigna. Do niedawna człowiek ten miał własną twarz i ciało. Teraz, po latach bacznej obserwacji i intensywnej indoktrynacji, dostąpił zaszczytu wstąpienia w szeregi Prestów.

Po sześciu miesiącach wypełnionych operacjami plastycznymi i zajęciami z zakresu psychoprzygotowania, nie różnił się on w niczym od pozostałych czterystu dziewięćdziesięciu sześciu Prestów oraz od wyidealizowanego pana Presta, z portretu wiszącego za podium Presteigna... miłego, prawego mężczyzny, przypominającego nieco Abrahama Lincolna, człowieka, który z miejsca wzbudza sympatię i zaufanie. Na całym świecie klienci wchodzili do identycznego sklepu Presteigna i byli tam witani przez identycznego kierownika – pana Presta. Rywalizowali z nim, lecz bezskutecznie, pan Kwik z Klanu Kodaka i Wuj Monty z Montgomery Ward.

Gdy ceremonia dobiegła końca, Presteign poderwał się gwałtownie z miejsca na znak, że upłynął czas przeznaczony na posłuchanie publiczne. Biuro opróżniono ze wszystkich z wyjątkiem wysokich urzędników. Presteign spacerował tam i z powrotem tłumiąc najwidoczniej rozsadzając go niecierpliwość. Nigdy nie kłął, ale jego powściągliwość straszniejsza była niż przekleństwa.

– Foyle – odezwał się zduszonym głosem. – Zwyczajny majtek. Pylek. Lump. Męt społeczny. I to taki człowiek stoi między mną a...

– Jeśli pozwolisz, Presteignie – wtrącił nieśmiało Czarny Drąg. – Jest godzina jedenasta Czasu Wschodniego, ósma Czasu Pacyficznego.

– Co z tego?

– Jeśli pozwolisz, Presteignie, czy wolno mi będzie ci przypomnieć, że o godzinie dziewiątej Czasu Pacyficznego odbędzie się ceremonia wystrzelenia? Masz jej przewodniczyć w stoczni Vancouver.

– Wystrzelenia?

– Tak, naszego nowego frachtowca, Presteignie. „Księżniczki”. Nawiazanie trójwymiarowej transmisji ze stoczną potrwa jakiś czas, lepiej więc będzie...

– Osobiście wezmę udział w ceremonii.

– Osobiście! – wykrzyknął drżącym głosem Czarny Dług. – Ależ nie sposób dolecieć w godzinę do Vancouver, Presteignie. My...

– Jauntuję się – warknął Presteign z Presteignów. Takie było jego podniecenie.

Zatrwożony personel poczynił pospieszne przygotowania. Przodem jauntowali się kurierzy, aby uprzedzić znajdujące się na trasie biura Presteigna i oczyścić prywatne jauntrampy.

Presteign wszedł na rampę, przywołał z pamięci współrzędne miejsca przeznaczenia w filadelfijskim biurze, mając przed oczyma wyraźny jego obraz i przypominając sobie dokładnie jego położenie. Odprężył się i wyzwolił w kierunku celu jedną, skoncentrowaną wiązkę woli i wiary. Jauntował się. Nastąpił przyprawiający o zawrót głowy moment, kiedy widział to wszystko jak przez mgłę. Kontury rampy nowojorskiej rozmyły się; wyostrzyły się kontury rampy filadelfijskiej. Doznał uczucia spadania, a zaraz potem wznoszenia się. Przybył. Czarny Dług i reszta świty przyjauntowała w podyktowanym szacunkiem odstępem czasu.

I tak, jauntując się po sto i dwieście mil naraz, Presteign przemierzył kontynent i przybył przed główne wejście do doków stoczni Vancouver dokładnie o godzinie dziewiątej rano Czasu Pacyficznego. Nowy Jork opuścił był o godzinie jedenastej rano. Zyskał dwie godziny światła dziennego. To było również rzeczą normalną w świecie jauntingu.

Wchodząc na dziedziniec stoczni Vancouver, Presteign i jego świta mogli dostrzec, który z szybów jest obecnie w użyciu. Z niektórych sterczały dzioby i kadłuby statków kosmicznych, wysunięte za pomocą ekranów grawitacyjnych na ćwierć czy pół długości ponad poziom betonowej płyty. To robotnicy pracujący w głębi szybów przesuwali ich sekcje rurowe na odpowiednie poziomy technologiczne. W pobliżu centrum płyty, częściowo wysunięte, stały trzy transportowce Presteigna klasy V: „Vega”, „Vestal” i „Vorga”, poddawane właśnie operacji zdejmowania i wymiany płyt poszycia, na co wskazywało migotanie cichych błyskawic spawalniczych palników wokół „Vorgi”.

Świta Presteigna zatrzymała się przed betonowym budynkiem oznaczonym napisem WEJŚCIE. Na jego ścianie wisiała tablica głosząca:

WCHODZĄC TU BEZPRAWNIE NARAŻASZ
NA NIEBEZPIECZEŃSTWO SWOJE ŻYCIE.
ZOSTAŁEŚ OSTRZEŻONY!

Delegacji rozdano plakietki gości. Dostał ją nawet Presteign. Przypiął emblemat sumiennie, bowiem dobrze wiedział, jaki byłby skutek wejścia na teren stoczni bez takiej

ochronnej plakietki. Towarzystwo ruszyło dalej i klucząc między szybami dotarło do sektora O-3, w którym wylot szybu udekorowany był flagami w barwach Presteigna, a nad jego krawędzią wznosiła się mała trybuna.

Powitano Presteigna, po czym on sam przywitał się ze swymi podwładnymi. Orkiestra Presteigna zagrała hymn klanowy, skoczny i hałaśliwy i nagle okazało się, że jeden z instrumentów oszalał. Wydał bezwstydną nutę, która grzmiała głośniej i głośniej, aż w końcu zagłuszyła całą orkiestrę i zdziwione okrzyki zebranych. Dopiero wtedy Presteign uświadomił sobie, że to nie dźwięk instrumentu, a wycie stoczniowej syreny alarmowej.

W stoczni znajdował się intruz; ktoś nie noszący plakietki identyfikacyjnej, ani plakietki gościa. Wyzwolone zostało pole radarowe systemu zabezpieczającego i rozległ się alarm. Przez ochryply ryk syreny, Presteign słyszał wielokrotne „cmoknięcia”. To straż stoczniowa jauntowała się z trybuny zajmując pozycje wokół pola o powierzchni mili kwadratowej. Jego przyboczna Jaunt-Gwardia otoczyła go ciasnym kołem, przyjmując postawę czujną i wyczekującą.

Jakiś głos zaczął wrzeszczeć przez megafon, koordynując przebieg akcji obronnej:

„NIEZIDENTYFIKOWANY OBIEKT W STOCZNI, NIEZIDENTYFIKOWANY OBIEKT W STOCZNI W SEKTORZE E JAK EDWARD DZIEWIĘĆ. E JAK EDWARD DZIEWIĘĆ. PORUSZA SIĘ PIESZO NA ZACHÓD”.

– Ktoś tu musiał wtargnąć – krzyknął Czarny Drog.

– Domyślam się – odparł chłodno Presteign.

– Musi być obcy, jeśli się tu nie wjauntował.

– Tego również się domyślam.

„NIEZIDENTYFIKOWANY OBIEKT PORUSZA SIĘ NA POŁUDNIE W KIERUNKU SEKTORA B JAK BAKER TRZY. B JAK BAKER TRZY”.

Presteign spojrział w kierunku sektora B-3. Pojawiła się tam postać pędząca szybko w kierunku szybu, zmieniająca co chwila kierunek, robiąca uniki i zwody ciałem, przedzierająca się coraz bliżej. Był to mężczyzna w niebieskiej, szpitalnej pizamie z rozwichrzoną strzechą czarnych włosów i zniekształconą twarzą, która wyglądała z daleka tak, jakby pomalowano ją jakimiś sinymi barwami. Jego ubranie, przypalane ochronnym polem indukcyjnym systemu zabezpieczającego, migotało jak zimny ogień.

„B JAK BAKER TRZY ALARM. B JAK BAKER TRZY NADCHODZI”.

Dały się słyszeć krzyki i odległy grzechot serii karabinowych oraz pojękiwania pistoletów pneumatycznych. Sześciu robotników w bieli rzuciło się na intruza. Roztrącił ich jak kręgle i pędził dalej w kierunku szybu B-3, z którego wystawał dziób „Vorgi”. Jak piorun przebiegał się przez kordony zagrządzających mu drogę robotników i strażników obracając się jak fryga,

waląc jak maczuga, wwiercając się nieubłaganie naprzód jak świder.

Zatrzymał się nagle, sięgnął za pazuchę swojej jaskrawej kurtki i wydobył stamtąd czarną puszkę. Konwulsyjnym ruchem wijącego się w agonii zwierzęcia odgryzł wieczko puszkii i cisnął ją z rozmachem. Zataczając szeroki łuk poszybowała prosto w kierunku „Vorgi”. W następnej chwili powalono go.

„MATERIAŁ WYBUCHOWY, KRYĆ SIĘ. MATERIAŁ WYBUCHOWY. KRYĆ SIĘ. KRYĆ...”

– Presteignie! – zaskrzeczał Czarny Dąg.

Presteign uciszył go machnięciem ręki i obserwował jak puszkka wzlatuje najpierw łagodnym łukiem w górę, a potem spada wirując wokół własnej osi i migocząc w zimnych promieniach słońca prosto na dziób „Vorgi”. Na krawędzi szybu przechwycona została przez wiązkę antygravitacyjną i wytrysnęła w górę, jakby podbita pstryknięciem paznokcia wielkiego palca niewidzialnego olbrzyma. Wirowała wyżej i wyżej i wyżej, sto stóp, pięćset stóp, tysiąc stóp... Potem nastąpił oślepiający błysk, a w chwili później tytaniczny grzmot, który poraził uszy i wywołał zdrętwienie zębów i kości.

Presteign przyszedł do siebie i zszedł z trybuny na podium, z którego dokonywano operacji inauguracyjnego wystrzeliwania nowo zbudowanych statków kosmicznych. Położył palec na przycisku startowym „Księżniczki” Presteigna.

– Sprowadź mi tego człowieka, jeśli jeszcze żyje – powiedział do Czarnego Dąga. Nacisnął przycisk. – Chrzczę ciebie... „Potęgą” Presteigna – zawołał tryumfalnie.

ROZDZIAŁ 4

Komnata Gwiazdzista w Zamku Presteigna była owalnym pomieszczeniem o witrażowych oknach oraz ścianach wyłożonych boazerią z kości słoniowej i obwieszonych wysokimi lustrami w złotych ramach. Znajdowały się w niej złote organy firmy Tiffany z robotem organistą, biblioteka książek o tłoczonych złotem grzbietach z androidem bibliotekarzem na bibliotecznej drabinie, biurko w stylu Ludwika XV z androidem sekretarzem i ręcznym rejestratorem mnemopaciorkowym, amerykański bar z robotem barmanem. Presteign wolałby tu zatrudnić służbę złożoną z żywych ludzi, ale roboty były dyskretniejsze.

– Proszę usiąść, kapitanie Yeovil – powiedział z kurtuazją Presteign. – To jest pan Regis Sheffield reprezentujący mnie w tej sprawie, a ten młody człowiek to asystent pana Sheffielda.

– Bunny jest moją podręczną biblioteczką prawniczą – odchrząknął Sheffield.

– Mówił pan coś o człowieku nazwiskiem Foyle, kapitanie Yeovil? – zagaił Presteign.

Kapitan Yáng–Yeovil z Centrali Wywiadowczej był w prostej linii potomkiem mędrca Menciusa i należał do Tongu Wywiadowczego Sił Zbrojnych Planet Wewnętrznych. SZPW od dwustu lat powierzały robotę wywiadowczą Chińczykom, którzy mając za sobą pięć tysięcy lat praktyki w podstępach i chytrłości dokonywali na tym polu cudów.

– Kiedy skończycie z Foylem? – spytał od niechcienia.

– Z jakim Foylem? – wtrącił się Sheffield.

– A jakiego Foyla macie?

– Do klanu Presteigna należy trzynastu ludzi o tym nazwisku.

– Interesująca liczba. Czy wie pan, że byłem Mistrzem Zabobonu? Musze panu któregoś dnia pokazać Tajemnicę „Patrz w Lustro i Słuchaj”. Chodzi mi o Foyla zamieszanego w meldowaną dziś rano próbę targnięcia się na życie pana Presteigna.

– Presteigna – sprostował Presteign. – Nie jestem żaden „pan”. Jestem Presteign z Presteignów.

– Były trzy próby zamachu na życie Presteigna – powiedział Sheffield. – Musi pan to

ściślej sprecyzować.

– Czy wszystkie trzy dziś rano? Presteign musiał być bardzo zajęty – westchnął Yáng–Yeovil.

Sheffield dowiedział, że jest przebiegłym przeciwnikiem. Agent spróbował zmienić kierunek natarcia:

– Szkoda, że nasz pan Presto nie był bardziej precyzyjny – powiedział.

– Wasz pan Presto! – wykrzyknął Presteign.

– No tak. Nie wiedziałeś, że jeden z twoich pięciuset Prestów jest naszym agentem? To dziwne. Zakładaliśmy, że to odkryłeś i rozpoczęliśmy już nawet operacje zacierania śladów.

Presteign wyglądał na przerażonego. Yáng–Yeovil założył nogę na nogę i paplał dalej chępliwie:

– To podstawowy mankament rutynowej procedury wywiadowczej: zaczyna się działać przebiegle zanim ta przebiegłość jest w ogóle potrzebna.

– On blefuje – wybuchnął Presteign. – To niemożliwe, żeby któryś z naszych Prestów wiedział coś o Foyle.

– Dziękuję – uśmiechnął się Yáng–Yeovil. – To właśnie ten Foyle, którego poszukuję. Kiedy nam go oddacie?

Sheffield popatrzył spode łba na Presteigna, po czym zwrócił się do Yáng–Yeovila.

– „Wam”, to znaczy komu? – spytał natarczywie.

– Centrali Wywiadowczej.

– Do czego on wam potrzebny?

– Czy kochał się pan już kiedy z kobietą przed zdjęciem ubrania albo po jego nałożeniu?

– To cholernie impertynenckie pytanie.

– I takie też było pańskie. Kiedy oddacie nam Foyla?

– Kiedy zostaną przedstawione podstawy prawne.

– Komu?

– Mnie – Sheffield postukał palcem wskazującym w otwartą dłoń. – To jest sprawa cywilna i dotycząca osób cywilnych. O ile w grę nie wchodzi materiał wojskowy, personel wojskowy lub strategia albo taktyka toczącej się wojny, jurysdykcja cywilna zawsze będzie górą.

– 303 Apelacje Ziemskie 191 – wymamrotał Bunny.

– Na pokładzie „Nomada” znajdował się materiał wojskowy.

– „Nomad” transportował platynowe sztabki do Banku Marsjańskiego – warknął Presteign. Jeśli pieniądze są...

– Ja prowadzę tę dyskusję – przerwał mu Sheffield. Odwrócił się do Yáng–Yeovila. –

Nazwa tego materiału wojskowego?

To otwarte wyzwanie zbito Yáng–Yeovila z tropu. Wiedział, że w sprawie „Nomada” najważniejsze było to, że na jego pokładzie znajdowało się dwadzieścia funtów substancji o nazwie PirE, cały światowy zapas, którego obecnie nie da się już zrekonstruować, bowiem wynalazca tego materiału zniknął. Wiedział, że Sheffield o tym wie, że obaj wiedzą. Zakładał, że Sheffield będzie wolał nie wymieniać nazwy PirE, a jednak wyzwanie do nazwania czegoś, czego nazwy nie można było wymieniać padło.

Zdecydował się odpowiedzieć szczerością na szczerść.

– Dobrze, panowie. Wymienię teraz te nazwę. „Nomad” transportował dwadzieścia funtów substancji o nazwie PirE.

Presteign zerwał się z miejsca; Sheffield uspokoił go.

– Co to jest PirE?

– Zgodnie z naszymi informacjami...

– Uzyskanymi od pana Presto Presteigna?

– Ależ nie, to był blef – roześmiał się Yáng–Yeovil i natychmiast spoważniał. – Zgodnie z posiadanymi przez Wywiad informacjami, PirE opracowany został dla Presteigna przez człowieka, który następnie zniknął. PirE to Metal Wybuchowy – pirofor. To wszystko, co nam wiadomo w tej sprawie. Ale meldunki o nim były niejasne... Niewiarygodne meldunki od agentów, skądinąd cieszących się naszym zaufaniem. Jeśli choć w niewielkim stopniu nasze domysły są prawdą, to PirE mógłby przeważać na naszą korzyść szale zwycięstwa w tej wojnie.

– Bzdura. Żaden materiał wojskowy nigdy w takim stopniu nie zaważył na losach wojny.

– Czyżby? A jeżeli wspomnę bombę atomową z 1945 roku. Przypomnę instalacje antygravitacyjne Zero–G z 2022 roku. Wszechpolowy Fałszujący Ekran Radarowy Talleya. Materiał często może przeważać szale, zwłaszcza gdy istnieje szansa, że nieprzyjaciół będzie go miał pierwszy.

– Teraz nie ma takiej szansy.

– Dziękuję, że potwierdza pan znaczenie PirE.

– Niczego nie potwierdzam. Wszystkiemu zaprzeczam.

– Centrala Wywiadowcza gotowa jest zaproponować panom wymianę. Człowieka za człowieka. Wynalazcę PirE za Gully Foyla.

– Macie go? – spytał Sheffield. – Po co więc dręczycie nas pytaniami o Foyla?

– Ponieważ mamy trupa! – wyrzucił z siebie Yáng–Yeovil. – Dowództwo Satelitów Zewnętrznych trzymało go przez sześć miesięcy na Lassellu, usiłując wyciągnąć odeń informacje. Odbiliśmy go wypadem, który kosztował nas siedemdziesiąt dziewięć procent

strat w ludziach. Ciągłe nie wiemy, czy Satelity Zewnętrzne nie śmiały się do rozpuku z naszego poświęcenia, pozwalając nam odbić ciało. Ciągłe nie wiemy ile się od niego dowiedzieli.

Presteign siedział sztywno, jakby kij połknął. Jego palce bębniły to szybko, to wolno.

– Sheffield, do jasnej cholery! – wybuchnął Yáng–Yeovil. – Czy nie widzisz kryzysu? Balansujemy na linie. Co u licha robisz najlepszego wspierając Presteigna w tej podejranej sprawie? Jesteś przecież liderem Partii Liberalnej... arcypatriotą ziemskim. Politycznym wrogiem numer jeden Presteigna. Puść go kantem, głupcze, zanim on wszystkich nas nie sprzeda.

– Kapitanie Yeovil – przerwał mu Presteign z lodowatym jadem w głosie – nie pozwolę na takie wyrażenia.

– Potrzebujemy PirE i musimy go mieć – ciągnął Yáng–Yeovil. – Musimy zbadać te dwadzieścia funtów PirE, odtworzyć metodę jego syntezy, opracować sposób zastosowania go na polu walki... i zdążyć z tym wszystkim zanim Satelity Zewnętrzne nie wystrychną nas na dudków, o ile już tego nie zrobiły... Ale Presteign wzbrania się od współpracy. Dlaczego? Ponieważ jest w opozycji w stosunku do partii rządzącej. Nie chce żadnych zwycięstw dla liberałów. W imię wielkiej polityki wolałby raczej, żebyśmy przegrali wojnę, bo bogacze w rodzaju Presteigna nigdy nie przegrywają. Opamiętaj się, Sheffield. Zaangażował cię zdrajca. Co ty wyprawiasz, na miłość boską?

Zanim Sheffield zdążył odpowiedzieć, rozległo się dyskretne pukanie do drzwi i do Komnaty Gwiazdzistej wprowadzono Saula Dagenhama. Jeszcze nie tak dawno Dagenham był jednym z najznakomitszych uczonych Planet Wewnętrznych – fizykiem o wrodzonej intuicji, głębokiej wiedzy i z komputerem szóstej generacji zamiast mózgu. Ale kiedyś, na Tycho Sands, wydarzył się wypadek i atomowa eksplozja, która powinna była go zabić nie uczyniła tego. Zamiast umrzeć, stał się niebezpiecznie radioaktywny; stał się „gorący”; przekształcił się w dwudziestoczwartowieczną Zapowietrzoną Mańkę.

Rząd Planet Wewnętrznych wypłacał mu 25 000 r rocznie na kosztą związane z przedsięwzięciem środków ostrożności, które, jak wierzono, zastosuje. Unikał fizycznego kontaktu z jakąkolwiek osobą przez okres dłuższy niż pięć minut dziennie. Nie mógł przebywać przez więcej niż trzydzieści minut dziennie w żadnym pomieszczeniu nie będącym jego własnym mieszkaniem. Opłacany przez Planety Wewnętrzne, które nakazały mu izolację, Dagenham poniechał badań naukowych i stworzył kolosalne Dagenham Couriers, Inc.

Ujrzawszy niskiego żywego trupa o blond włosach i ołowianoszarej cerze wchodzącego z uśmiechem trupiej główki do Sali Gwiazdzistej, Yáng–Yeovil wiedział już, że w spotkaniu

tym doznał porażki. Nic nie wskóra mając przeciw sobie tych trzech mężczyzn kierujących się wspólnym interesem. Wstał od razu.

– Udaję się w sprawie Foyla do Admiralicji – oznajmił. – Co do Wywiadu, negocjacje dobiegły końca. Od teraz rozpoczyna się wojna.

– Kapitan Yáng–Yeovil wychodzi – zawołał Presteign do oficera Jaunt–Gwardii, który wprowadził Dagenhama. – Proszę przeprowadzić go przez labirynt.

Yáng–Yeovil czekał aż oficer podejdzie do niego i zegnie się w ukłonie, po czym, gdy tamten ruszył przodem w stronę drzwi, Yáng–Yeovil spojrzał prosto w oczy Presteignowi, uśmiechnął się ironicznie i znikł z cichutkim cmoknięciem!

– Presteignie! – wykrzyknął Bunny. – On się jauntował. Ta sala nie jest dla niego ślepa. On...

– Najwyraźniej – przerwał mu lodowatym tonem Presteign.

– Przekaż Szambelanowi – poinstruował oszołomionego oficera Gwardii, – że współrzędne Komnaty Gwiazdzistej nie są już tajemnicą. Trzeba je zmienić w ciągu dwudziestu czterech godzin. A teraz, panie Dagenham...

– Chwileczkę – powiedział Dagenham – Admiralicja.

Bez słowa przeprosin, czy chociażby wyjaśnienia znikł także. Presteign uniósł brwi.

– Jeszcze jeden do kompanii obeznaney z tajemnicą Komnaty Gwiazdzistej – mruknął pod nosem. – Ten miał chociaż tyle taktu, że nie dał tego po sobie poznać, zanim sekret się oficjalnie nie wydał.

Dagenham zjawił się ponownie.

– Nie ma sensu tracić czasu na kluczenie po labiryncie – powiedział. – Wydałem rozkazy w Waszyngtonie. Przytrzymają Yeovila. Dwie godziny gwarantowane, trzy godziny prawdopodobne, niewykluczone cztery godziny.

– W jaki sposób go przytrzymają? – spytał Bunny. Dagenham posłał mu swój trupi uśmiech.

– Standardowa operacja firmy Dagenham Couriers – ZFZK. Zabawa, fantazja, zamieszanie, katastrofa... będziemy potrzebowali całych czterech godzin. O, cholera! Rozstroilem twoje kukły, Presteignie. – Roboty zaczęły rzeczywiście płaszać w jakimś lunatycznym tańcu, gdyż twarde promieniowanie emitowane przez Dagenhama zakłóciło działanie ich układów elektronicznych. – No to ja będę leciał.

– Co z Foylem? – spytał Presteign.

– Jeszcze nic. – Dagenham uśmiechnął się swym uśmiechem trupiej główki. – On jest naprawdę wyjątkowy. Próbowalem na nim wszystkich standardowych narkotyków i procedur... Nic. Na zewnątrz jest po prostu zwykłym kosmonautą... jeśli nie brać pod

uwagę tego tatuażu na twarzy... ale wewnątrz jest ze stali. Coś ukrywa, ale trudno to z niego wyciągnąć.

– Co ukrywa? – spytał Sheffield.

– Mam właśnie nadzieje się dowiedzieć.

– W jaki sposób?

– Lepiej nie pytaj; stałbyś się współnikiem. Czy statek gotowy, Presteignie?

Presteign skinął głową.

– Nie gwarantuję, że będzie jakiś „Nomad”, którego moglibyśmy odnaleźć, ale jeśli będzie, przyjdzie nam zmierzyć się z marynarką. Prawo gotowe, Sheffield?

– Gotowe. Mam nadzieję, że nie będziemy musieli z niego korzystać.

– Ja też ją mam; ale wracając do sprawy, niczego nie gwarantuję. No dobrze. Czekać w pogotowiu na instrukcje. Idę rozpracować Foylea.

– Gdzie go trzymasz?

Dagenham potrząsnął głową.

– To pomieszczenie nie jest pewne. – Zniknął.

* * *

Jauntował się trasą Cincinnati – Nowy Orlean – Monterey do Mexico City, gdzie pojawił się w Skrzydle I Psychiatrycznym gigantycznego Szpitala Połączonych Uniwersytetów Ziemi. „Skrzydło” nie było zbyt trafną nazwą dla oddziału, który w metropolii będącej szpitalem zajmował całe śródmieście. Dagenham wjauntował się na czterdzieste trzecie piętro Oddziału Terapii i zajrzał do stojącego w separacie zbiornika, w którym pływał nieprzytomny Foyle. Zerknął na czuwającego przy zbiorniku brodatego, dystyngowanego gentelmana.

– Cześć, Fritz.

– Czołem, Saul.

– A to ci heca. Ordynator Oddziału Psychiatrii pilnuje dla mnie pacjenta.

– Uważam, że jesteśmy ci winni specjalne względy, Saul.

– Ciągłe wspominasz Tycho Sands, Fritz? Ja już nie. Czy nie zapaskudzę twojego skrzydła promieniowaniem?

– Mam wszystko zaekranowane.

– Jesteś gotów do brudnej roboty?

– Chciałbym wiedzieć o co ci chodzi.

– O informacje.

– I żeby je uzyskać, musisz zmieniać mój Oddział Terapii w sale przesłuchań?

- To był dobry pomysł.
- Czemu nie zastosujesz zwykłych narkotyków?
- Już próbowałem. Nic z tego. To nie jest zwykły człowiek.
- Wiesz przecież, że to nielegalne.
- Wiem. Co, rozmyśliłeś się? Chcesz się wycofać? Za ćwierć miliona mogę mieć taki sam sprzęt.
- Nie, Saul. Zawsze będziemy twoimi dłużnikami.
- No to zaczynamy. Najpierw Teatr Koszmaru.

Potoczyli zbiornik korytarzem i wprowadzili go do sali o powierzchni dobrych stu stóp kwadratowych, której ściany, sufit i podłoga wysłane były miękkim materiałem. Przeprowadzano w niej kiedyś jeden z zaniechanych już przez terapeutykę eksperymentów. Teatr Koszmaru stanowił wczesną próbę wstrząsowego ściągania schizofreników z powrotem do realnego świata w drodze przedstawienia świata fantazji, w którym się zamknęli, niemożliwym do zamieszkania. Jednak niszczenie złudzeń i ranienie uczuć pacjentów okazało się zbyt okrutnym i wątpliwym sposobem leczenia.

Przez wzgląd na osobę Dagenhama, ordynator Oddziału Psychiatrii odkurzył trójwymiarowe projektory wizualne i połączył na nowo wszystkie projektory zmysłowe. Dekantowali Foylea ze zbiornika, dali mu zastrzyk ocucający i zostawili na podłodze pośrodku sali. Wytoczyli zbiornik na korytarz, pogasili światła i weszli do zamaskowanej kabiny sterowniczej. Stamtąd włączyli projektory.

Każde dziecko wyobraża sobie, że jego świat fantazji jest sam w sobie niepowtarzalny. Psychiatrzy wiedzą jednak, że rozkosze i lęki wyobraźni osobistej są wspólnym dziedzictwem przypadającym w udziale całemu rodzajowi ludzkiemu. Uczucie strachu, winy, przerażenia i wstydu można ludziom wzajemnie wymieniać i zaden z nich nie dostrzeże różnicy. Oddział Terapii Połączonego Szpitala zarejestrował tysiące taśm emocjonalnych i z uzyskanego w ten sposób materiału powstało jedno skondensowane wszechobejmujące, wszechprzerażające widowisko wystawiane w Teatrze Koszmaru.

Foyle ocknął się zlany potem, z trudem łapiąc oddech, nie zdając sobie nawet sprawy, że już się obudził. Znajdował się w uścisku wężowłosego Eumenidesa o kaprawych ślepiach. Ściągano go, zapędzano w zasadzki, strącano z wysokości, palono na stosie, obdzierano ze skóry, duszono sznurem, rzucano na pożarcie robactwu. Krzyczał. Uciekał. Radarowe Pole Hobbla działające w Teatrze spętało mu nogi i tamując ruchy uczyniło zeń uciekiniera z jakiegoś sennego koszmaru. Przez kakofonię dzikich wrzasków, zgrzytów, jęków, westchnień atakujących jego uszy, grzmiał monotonna jakiś głos:

- Gdzie jest „Nomad”? Gdzie jest „Nomad”? Gdzie jest „Nomad”? Gdzie jest „Nomad”?

Gdzie jest „Nomad”?

– „Vorga” – wycharczał Foyle. – „Vorga”.

Został zaszczepiony swą własną manią. Uodpornił go jego własny koszmar.

– Gdzie jest „Nomad”? Gdzie zostawiłeś „Nomada”? Co się stało z „Nomadem”? Gdzie jest „Nomad”?

– „Vorga” – wrzasnął Foyle. – „Vorga”. „Vorga”. „Vorga”.

Dagenham klął w kabinie sterowniczej. Ordynator Oddziału Psychiatrii zerknął na zegarek.

– Minuta czterdzieści pięć sekund, Saul. Nie wytrzyma dużo dłużej.

– Musi się załamać. Poczęstuj go ostatnim efektem.

Palono Foyla żywcem; z namaszczeniem, bezlitośnie, ohydnie. Opuszczono go w mroczną otchłań i zagrzebano w cuchnącym szlamie, który odciął dopływ światła i powietrza. Dusił się powoli, a głos huczał gdzieś z oddali: „GDZIE JEST NOMAD? GDZIE ZOSTAWIŁEŚ NOMADA? MOŻESZ UCIEC, JEŚLI ODNAJDZIESZ NOMADA, GDZIE JEST NOMAD?”.

Ale Foyle był znowu na pokładzie „Nomada” w swojej pozbawionej światła i powietrza trumnie, unosząc się wygodnie między podłogą a sufitem. Zwinął się w kłębek jak płód w łonie matki i przygotował do snu. Był zadowolony. Ucieknie. Znajdzie „Vorgę”.

– Nieczuły sukinsyn! – zaklął Dagenham. – Czy ktoś przedtem oparł się Teatrowi Koszmaru, Fritz?

– Niewielu. Masz rację. To niezwykły człowiek, Saul.

– Muszę go złamać. Dosyć, cholera. Nie będziemy już tego dalej ciągnąć. Spróbujemy teraz z Megal Nastrojem. Aktorzy gotowi?

– Wszystko gotowe.

– No to zaczynamy.

Istnieje sześć kierunków, w których może rozwinąć się mania wielkości. Megal (skrót od megalomanii) Nastroj był w terapii udramatyzowaną techniką diagnozy, której cel sprowadzał się do ustalenia i wysnucia fabuły szczególnego przypadku przebiegu megalomanii.

Foyle obudził się w luksusowym łożu z baldachimem. Znajdował się w sypialni obwieszanej brokatem i wytapetowanej aksamitem. Rozejrzał się ciekawie po pokoju. Przez witrażowe okno sączyły się ciepłe promienie słońca. W drugim końcu pokoju lokaj układał ubranie, starając się zachować ciszę.

– Hej, ty... – chrząknął Foyle.

Lokaj odwrócił się.

– Dzień dobry, panie Fourmyle – bąknął.

– Co?

– Piękny mamy dziś poranek, sir. Przyniosłem brązowy garnitur i kurdybanowe lakierki, sir.

– Co jest, kurczę?

– Ja... – Lokaj spoglądał na Foyla ciekawie. – Czy coś nie w porządku, panie Fourmyle?

– Jak ty na mnie wołasz, koleś?

– Po nazwisku, sir...

– To ja się nazywam... Fourmyle? – Foyle uniósł się na łokciach. – Nie, to nie moje nazwisko, kurczę. Moje jest Foyle. Gully Foyle. Tak się nazywam.

Lokaj zagryzł wargę.

– Chwileczkę, sir... – wyszedł z pokoju i zawołał kogoś. Potem zza drzwi doszedł Foyla szmer przyciszzonej rozmowy. Do pokoju wbiegła czarująca dziewczyna w bieli i usiadła na krawędzi łoża. Ujęła ręce Foyla w swoje dłonie i spojrzała mu w oczy. Na jej twarzy malował się wyraz zatroskania.

– Kochanie, kochanie, kochanie – wyszeptła. – Nie zaczniesz chyba wszystkiego od początku, prawda? Doktor zaklinał się, że wyszedłeś już z tego.

– Co mam zaczynać od początku?

– Cały ten nonsens z Gulliverem Foyle; że niby jesteś zwykłym marynarzem i...

– Przecież ja jestem Gully Foyle. To moje nazwisko – Gully Foyle.

– Nie jesteś, słoneczko. To urojenie, które prześladowuje cię od kilku tygodni. Przepracowałeś się i zbyt dużo piłeś.

– Całe życie byłem, kurczę, Gully Foyle.

– Tak, wiem kochany. Tak ci się właśnie wydaje, ale nie jesteś Gully Foyle. Jesteś Geoffrey Fourmyle. Geoffrey Fourmyle. Jesteś... Och, nie ma sensu ci mówić, sam się przekonasz. Musisz zejść na dół. W twoim biurze panuje straszny bałagan.

Foyle pozwolił ubrać się lokajowi i szedł oszołomiony na dół po schodach. Podążał za czarującą dziewczyną, która najwyraźniej go adorowała, przez gigantyczną pracownię, zastawioną stołami kreślarskimi, sztalugami i na wpół ukończonymi obrazami. Dziewczyna wprowadziła go do olbrzymiej sali wypełnionej szafkami, automatycznymi telegrafami giełdowymi, urzędnikami, sekretarkami i personelem biurowym. Następnie weszli do wysokiego laboratorium, błyszczącego szkłem laboratoryjnym i chromem. Migotały tam i syczały palniki; bulgotały i pieniały się kolorowe ciecze; w powietrzu rozchodził się przyjemny zapach aromatycznych chemikaliów i dziwnych eksperymentów.

– Co to wszystko znaczy? – spytał Foyle.

Dziewczyna posadziła Foyla na obitym pluszem fotelu, stojącym obok ogromnego biurka,

które zawalone było najprzeróżniejszymi papierami pobazgranymi fantastycznymi symbolami. Na niektórych, nagryzmołone w imponującym, autorytatywnym podpisie, dostrzegł Foyle nazwisko: Geoffrey Fourmyle.

– To jakaś idiotyczna pomyłka – zaczął Foyle.

Dziewczyna uciszyła go.

– Jest tu doktor Reagan. On ci wszystko wyjaśni.

Do Foyla zbliżył się wyjątkowo przystojny mężczyzna o szorstkich, dodających otuchy manierach. Dotknął jego pulsu, zajrzał w oczy i pokiwał z zadowoleniem głową.

– Dobrze – powiedział. – Świetnie. Jest pan bliski całkowitego wyzdrowienia, panie Fourmyle. Teraz posłucha mnie pan przez chwilę, dobrze?

Foyle skinął głową.

– Nic pan nie pamięta z przeszłości. Ma pan tylko fałszywe wspomnienia. Był pan przepracowany. Jest pan człowiekiem na odpowiedzialnym stanowisku i zbyt wiele od pana wymagano. Miesiąc temu zaczął pan pić... Nie, nie, niech pan nie zaprzecza. Pił pan. Zgubił pan siebie.

– Ja...

– Doszedł pan do przekonania, że nie jest sławnym Jeffem Fourmyle. Dziecinna próba ucieczki przed odpowiedzialnością. Wyobraził pan sobie, że jest zwykłym kosmonautą, nazwiskiem Foyle. Gulliver Foyle, tak? Z jakimś dziwnym numerem...

– Gully Foyle: AS 128/127:006. Ale to przecież ja. To...

– Nie, to nie pan. To jest pan. – Doktor Reagan wskazał ręką na wielkie biura, widoczne przez ścianę z przezroczystego szkła.

– Może pan odzyskać prawdziwą pamięć jedynie w ten sposób, że rozładuje pan obecną – fałszywą. Cała ta wspaniała rzeczywistość jest pańską rzeczywistością, jeśli tylko potrafimy panu pomóc pozbyć się mrzonek o kosmonaucie. – Doktor Reagan pochylił się w przód. Jego wypolerowane okulary lśniły hipnotyzujące – Niech pan odtworzy ze szczegółami te swoje fałszywe wspomnienia, a ja postaram się je wymazać z pańskiej pamięci. Gdzie, zgodnie z pańskimi wyobrażeniami, zostawił pan statek kosmiczny „Nomad”? Jak pan się z niego wydostał? Gdzie, według pańskich urojeń, znajduje się teraz „Nomad”?

Foyle rozmarzył się nad romantycznym czarem sceny, która zdawała się być prawie w zasięgu jego ręki.

– Wydaje mi się, że zostawiłem „Nomada”... – urwał.

Z wypukłych szkieł okularów doktora Reagana przyglądała mu się badawczo odbita w nich diabelska twarz... szkaradna tygrysia maska z napisem NOMAD wrytym nad zniekształconą brwią. Foyle zerwał się z fotela.

– Łgarze! – wrzasnął. – To naprawdę ja. To wszystko tutaj jest fałszywe. Prawdziwe jest to, co mi się przydarzyło. Jestem prawdziwy, kurczę.

Do laboratorium wszedł Saul Dagenham.

– W porządku – zawołał. – Koniec na dzisiaj. Kłapa.

Krzętanina w laboratorium, biurze i pracowni ustała. Aktorzy zniknęli cicho, nie patrząc nawet w stronę Foylea. Dagenham obdarzył go swoim martwym uśmiechem.

– Twardy jesteś, nie ma co. Jesteś naprawdę wyjątkowy. Nazywam się Saul Dagenham. Mamy pięć minut na rozmowę. Chodźmy do ogrodu.

Ogród Uspokajający, znajdujący się na dachu Budynku Terapii był tryumfem planowania terapeutycznego. Każdą perspektywę, każdy kolor, każdy kontur zaprojektowano z myślą o uśmierzeniu agresji, złagodzeniu oporu, stopieniu gniewu, odparowaniu hysterii oraz zabsorbowaniu melancholii i depresji.

– Usiądź – powiedział Dagenham wskazując ławeczkę stojącą nad brzegiem sadzawki, w której chlupotała kryształowo czysta woda. – Nie próbuj jauntować. Znajdujesz się pod działaniem narkotyku. Muszę się trochę, odsunąć. Nie wolno mi podejść do ciebie zbyt blisko. Jestem „gorący”. Wiesz, co to znaczy?

Foyle pokręcił markotnie głową. Dagenham zbliżył obie dłonie do płomienistego kwiatu orchidei i zamknął go w nich na chwilę. – Obserwuj ten kwiat – powiedział. – Zobaczysz.

Odszedł kilka kroków ścieżką i nagle odwrócił się

– Masz oczywiście racje.. To wszystko przydarzyło ci się naprawdę... Tylko właśnie chodzi o to, co ci się przydarzyło?

– Idź do diabła – warknął Foyle.

– Wiesz co, Foyle, podziwiam cię.

– Idź do diabła.

– Na swój prymitywny sposób posiadasz dowcip i charakter. Jesteś Kromaniończykiem, Foyle. Sprawdzalem ciebie. Ta bomba, którą rzuciłeś w stoczni Presteigna była urocza; poza tym, zbierając na nią pieniądze i materiał zrujnowałeś niemal Szpital Generalny. – Dagenham zaczął wylizywać na palcach. – Splądrowałeś schowki, włamałeś się do izolatki, skradłeś leki z farmacji, ograbiłeś magazyny laboratoryjne z aparatury.

– Idź do diabła.

– Ale co ty masz do Presteigna? Dlaczego próbowałeś wysadzić w powietrze jego stocznię? Mówili mi, że wtargnąłeś na jej teren i przedzierałeś się jak dziki między szybami. Co chciałeś zrobić, Foyle?

– Idź do diabła.

Dagenham uśmiechnął się.

– Jeśli mamy dalej gawędzić – powiedział – będziesz się musiał powstrzymać od takich wypowiedzi. Twój udział w konwersacji staje się monotony. Co się stało z „Nomadem”?

– Nic nie wiem o „Nomadzie”.

– Ostatnie meldunki o tym statku pochodzą sprzed ponad siedmiu miesięcy. Czy jesteś jedynym, który ocalał? Co robiłeś przez cały ten czas? Dekorowałeś sobie twarz?

– Nic nie wiem o „Nomadzie”.

– Nie, nie, Foyle. W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Paradujesz z napisem Nomad wytatuowanym na twarzy. Świeżo wytatuowanym. Wywiad sprawdza i stwierdza, że znajdowałeś się na pokładzie „Nomada”, kiedy ten latał. Foyle, Gulliver: AS 128/127:006, pomocnik mechanika trzeciej klasy. Jakby to nie było dosyć, żeby wzbudzić podejrzliwość Centrali Wywiadowczej, wracasz sobie prywatną szalupą, która zaginęła pięćdziesiąt lat temu. Człowieku, gotujesz na reaktorze. Wywiad chce mieć odpowiedzi na te wszystkie pytania, a ty powinieneś wiedzieć, w jaki sposób Centrala Wywiadowcza wydusza z ludzi odpowiedzi.

Foyle drgnął. Dagenham skinął głową, widząc, że jego słowa wywierają skutek.

– Dlatego też myślę, że posłuchasz głosu rozsądku. Potrzebne są nam informacje, Foyle. Próbowałem wyciągnąć je od ciebie podstępem; przyznaję. Nie udało mi się, bo jesteś za twardy; przyznaję. Teraz proponuję uczciwą transakcję. Obronimy cię, jeśli będziesz z nami współpracował, jeżeli tego nie zrobisz, spędzisz pięć lat w laboratorium Centrali Wywiadowczej, która nie będzie przebierała w środkach i zedrze z ciebie pasy, byle tylko zmusić cię do mówienia.

To nie wizja rzeźni przeraziła Foyla. Przeraziła go myśl o utracie wolności. Musiał być wolny, aby się zemścić, żeby zdobyć pieniądze, żeby znowu odnaleźć „Vorgę”, żeby rozpruć, rozszarpać, wypatroszyć „Vorgę”.

– Co to za transakcja? – spytał.

– Powiedz nam co się stało z „Nomadem” i gdzie go zostawiłeś?

– A po co to wam, kurczę?

– Po co? Po to, żeby zorganizować wyprawę ratunkową.

– Tam nie ma czego ratować. To wrak i kropka.

– Nawet wrak czasem warto uratować.

– Chcesz mi wmówić, że poleciałbyś milion mil, żeby pozbierać jakieś szczątki? Człowieku, nie rozśmieszaj mnie.

– W porządku – powiedział z irytacją w głosie Dagenham – powiem ci. Tam jest ładunek.

– „Nomad” jest rozerwany na strzępy. Żaden ładunek nie ocalał.

– Chodzi o ładunek, o którym nie wiedziałeś – powiedział konfidencjonalnie Dagenham.

– „Nomad” przewoził platynowe sztabki do Banku Marsjańskiego. Banki prowadzą księgi rachunkowe i co jakiś czas muszą sporządzać bilanse. Normalnie między planetami odbywa się wymiana handlowa, wystarczająca do tego, aby rachunki regulować na papierze. Wojna przerwała normalny handel, a Bank Marsjański stwierdził, że Presteign jest im winien dwadzieścia kilka milionów kredytek bez jakichkolwiek widoków na to, żeby pokryć ten niedobór z aktualnych dostaw. Presteign przysyłał te pieniądze w platynowych sztabkach na pokładzie „Nomada”. Były zamknięte w sejfie płatnika statku.

– Dwadzieścia milionów – wyszeptał Foyle.

– Plus minus kilka tysięcy. Statek był ubezpieczony, ale oznacza to tylko tyle, że towarzystwo ubezpieczeniowe – Boñes i Uig nabyło prawa do ratowania wraka, a oni są jeszcze bezwzględniejsi od Presteigna. Ale i dla ciebie znajdzie się nagroda. Powiedzmy dwadzieścia tysięcy kredytek.

– Dwadzieścia milionów – wyszeptał znowu Foyle.

– Przypuszczamy, że rajder Satelitów Zewnętrznych załatwił „Nomada” gdzieś na trasie, ale nie zabrał go. Nie mogli wejść na pokład i splądrować statku, bo wtedy nie pozostałbyś przy życiu. To by znaczyło, że sejf płatnika jest ciągle... Foyle, słuchasz mnie?

Ale Foyle nie słuchał. Miał przed oczyma dwadzieścia milionów... nie dwadzieścia tysięcy... dwadzieścia milionów w platynowych sztabkach, jako szeroką autostradę wiodącą wprost do „Vorgi”. Koniec już z drobnymi kradzieżami ze schowków i laboratoriów. Dwadzieścia milionów na dostanie i starcie „Vorgi”.

– Foyle!

Foyle ocknął się. Spojrzał na Dagenhama.

– Nic nie wiem o „Nomadzie” – powiedział

– Co znów w ciebie wstąpiło, u diabła? Dlaczego znowu nabierasz wody w usta?

– Nic nie wiem o „Nomadzie”.

– W porządku. – Dagenham splunął. Wskazał nagle na kwiat orchidei, który uprzednio zamknął w swych dłoniach. Zwiędł i zaczynał gnić. – Oto, co cię czeka.

ROZDZIAŁ 5

Na południe od Saint–Girons, niedaleko granicy hiszpańsko–francuskiej, znajduje się najgłębsza przepaść we Francji – Gouffre Martel. Jej jaskinie ciągną się całymi milami pod Pirenejami. Jest to najstraszliwszy szpital jaskiniowy na Ziemi. Z jego smolistych ciemności nie wyjauntował się nigdy żaden pacjent. Żadnemu pacjentowi nie udało się ustalić swego położenia i określić współrzędnych jauntowskich czarnej czeluści szpitala.

Oprócz lobotomii czołowych płatów mózgu istnieją jedynie trzy inne sposoby powstrzymania człowieka przed jauntowaniem: silny cios w głowę wywołujący wstrząs i utratę pamięci, podanie środka uspokajającego, który nie pozwala na koncentrację oraz zatajenie współrzędnych jauntowskich. Z tych trzech, wiek jauntingu za najpraktyczniejsze uważał zatajenie.

Cele ciągnące się wzdłuż krętych korytarzy Gouffre Martel wykute są w litej skale. Nie dociera do nich nigdy promień światła. Nigdy nie oświetla się korytarzy. Mrok rozpraszają jedynie lampy podczerwone. Jest to czarne światło, widzialne tylko dla strażników i personelu szpitalnego, noszącego szpiegowskie okulary o szklach poddanych specjalnej obróbce. Dla pacjentów panuje tam jedynie czarna cisza Gouffre Martel, mącona dobiegającym z oddali szumem podziemnych wód.

Dla Foyla istniała tam tylko cisza, szum i codzienne szpitalne procedury. O ósmej rano (mogła to być równie dobrze każda inna godzina w beczasowej otchłani) budził go dzwonek. Wstawał i konsumował poranny posiłek dostarczany do celi automatycznie przewodami pneumatycznymi. Trzeba go było zjeść od razu, gdyż namiastka porcelany, z której zrobione były filiżanki i talerze rozpuszczała się w przeciągu piętnastu minut. O ósmej trzydzieści drzwi celi otwierały się i Foyle wraz z setkami towarzyszy niedoli szurając nogami i macając pod sobą drogę w ciemnościach udawał się krętymi korytarzami do Sanitariatów.

Tutaj, ciągle w ciemnościach, poddawano ich obróbce jak woły w rzeźni: obmywano, golono, napromieniowywano, dezynfekowano, podawano lekarstwa i szczepiono. Zdejmowano z nich papierowe mundurki i odsyłano je do warsztatów, celem przerobienia na miazgę celulozową. Wydawano nowe mundurki. Następnie szurając nogami wracali

z powrotem do swoich cel, które podczas ich pobytu w Sanitariatach były automatycznie szorowane. Znalazłszy się z powrotem w swojej celi przez całą resztę poranka słuchał Foyle niekończących się pogadanek terapeutycznych, wykładów, porad moralnych i etycznych. Potem znowu zapadała cisza i nie było słyhać nic oprócz szumu odległych wód i cichych kroków okularniczej straży snującej się po korytarzach.

W południe odbywało się leczenie pracą. W każdej celi rozjarzały się ekrany telewizyjne i pacjent wsuwał ręce w ramkę ekranu. Widział trójwymiarowo i czuł transmitowane przedmioty i narzędzia. Kroił mundurki szpitalne, szył je, wytwarzał naczynia kuchenne i przygotowywał posiłki, chociaż w rzeczywistości nic nawet nie dotknął. Jego ruchy były przekazywane do warsztatów, gdzie prace wykonywały zdalnie sterowane automaty. Po jednej krótkiej godzinie tego odprężenia zapadały znowu ciemności i cisza.

Od czasu do czasu jednak... raz albo dwa razy na tydzień (a może raz lub dwa w roku) dawał się słyszeć stłumiony odgłos odległej eksplozji. Wstrząs był wystarczająco silny, aby oderwać Foyle'a od pieca zemsty, w którym palił przez wszystkie okresy ciszy. Pytał szeptem otaczające go w Sanitariatach niewidzialne postaci.

– Co to za eksplozje?

– Eksplozje?

– No, wybuchy. Ciągłe je słyszę, kurczę.

– To Ślepe Jauntingi.

– Co?

– Ślepe Jauntingi. Co jakiś czas jakimś gościowi bokiem wylazi stary Jeffrey. Nie może człowiek dłużej wytrzymać. Jauntuje się na oślep w siną dal.

– Jezusie.

– Tak, tak. Nie wiem, kurczaki, skąd oni są. Nie wiem, dokąd się udają. Ślepy Jaunting w ciemno... i słyszymy jak eksplodują w górach. Bum! Ślepy Jaunting.

Foyle był przerażony, ale nie potrafił zrozumieć. Ciemność, cisza i monotonia niszczyły umysły i doprowadzały ludzi do depresji. Samotność była nie do zniesienia. Pacjenci pogrzebani w szpitalu więziennym Gouffre Martel nie mogli się doczekać okresu porannej Sanitacji, kiedy to mieli okazje szepnąć słowo i usłyszeć słowo od kogoś. Ale te krótkie chwile były niewystarczające i znów wracała desperacja. Wtedy rozlegała się kolejna odległa eksplozja.

Czasami cierpiący ludzie napadali jeden na drugiego i wtedy w Sanitariatach wybuchała dzika walka. Przerywała ją natychmiast okularnicza staż, a poranny wykład nawiązywał do utrwalania Siły Moralnej, nakazując Cnotę Cierpliwości.

Foyle umiał już to nagranie na pamięć – każde słowo, każdy trzask na taśmie. Nauczył się

nienawidzić głosów wykładowców: Wyrozumiałego Barytona, Wesołkowatego Tenora, Poufałego Basa. Nauczył się nie słyszeć terapeutycznej monotonii i mechanicznie poddawać się leczeniu pracą, ale nie był w stanie wytrzymać zdających się nie mieć końca godzin samotności. Furia nie wystarczała.

Stracił rachubę czasu, posiłków, kazań. Nie szeptał już w Sanitariatach. Jego umysł wszedł w dryf i zaczął błędzić. Wyobraził sobie, że jest na pokładzie „Nomada” i przeżywa na nowo swoją walkę o przetrwanie. Potem puścił się nawet i tej ostatniej, wystruganej z iluzji, deski ratunku i zaczął pogrążyć się coraz to głębiej w jamie katatonii; ciemność, sen – jak w łonie matki.

Były tam ulotne sny. Raz anioł mu nucił, kiedy indziej śpiewał cicho. Potem słyszał jak mówi: „O Boże...” i „Do diabła” i „Och...” w rozdzierającej serce, zniżającej się nucie.

Słuchając go, tonął w swej otchłani.

– Wyjście istnieje – mruknął mu anioł do ucha. Słodko, pocieszająco. Głos miał cichy i ciepły, a jednak przepojony złością. Był to głos wściekłego anioła. – Wyjście istnieje.

Szept docierał do jego ucha znikąd i nagle, z logiką desperata, uświadomił sobie, że jest wyjście z Gouffre Martel. Był głupcem, że nie zauważył go wcześniej.

– Tak – wycharczał. – Jest wyjście.

Rozległo się ciche westchnienie, a po nim ciche pytanie:

– Kto to?

– Ja, kurczę – powiedział Foyle. – Znasz mnie.

– Gdzie jesteś?

– Tutaj. Tu gdzie zawsze byłem, kurczę.

– Ale tu nie ma nikogo. Jestem sama.

– Muszę ci podziękować za pomoc.

– Źle jest słyszeć głosy – wymamrotał szalony anioł. – To pierwszy krok do obłądzenia.

Muszę przestać.

– Pokazałeś mi wyjście. Ślepy Jaunting.

– Ślepy Jaunting! Mój Boże, to musi być jawa. Mówisz żargonem. Musisz istnieć naprawdę. Kim jesteś?

– Jestem Gully Foyle.

– Ale nie jesteś w mojej celi. Nie jesteś nawet w pobliżu. Mężczyźni są w północnej ćwiartce Gouffre Martel. Kobiety są w południowej. Jestem Południe-900. A ty?

– Północ-111.

– To ćwierć mili ode mnie. Jak możemy... Oczywiście! To Linia Szeptu. Zawsze uważałam to za legendę, ale to prawda. Działa teraz.

– No to idę, kurczę – szepnął Foyle. – Ślepy Jaunting.

– Foyle, posłuchaj mnie. Zapomnij o Ślepym Jauntingu. Nie ryzykuj niepotrzebnie. To cudowne.

– Co jest cudowne?

– W Gouffre Martel istnieje akustyczny fenomen... zdarzają się takie w podziemnych jaskiniach... fenomen ech, korytarzy i sklepień akustycznych. Ci, co pamiętają dawne czasy, nazywają go Linią Szeptu. Nigdy w to nie wierzyłam. Nikt nigdy nie wierzył, ale to prawda. Rozmawiamy ze sobą przez Linie. Szeptu. Nikt poza nami nie może nas usłyszeć. Możemy rozmawiać, Foyle. Możemy planować. Może uda nam się uciec.

* * *

Nazywała się Jisbella McQueen. Łatwo wpadała w gniew, była niezależna, inteligentna i odbywała pięcioletnią kurację w Gouffre Martel za kradzież. Jisbella w czarującym gwałtowny sposób wyjaśniła Foylowi przyczyny swego buntu przeciwko społeczeństwu.

– Nawet nie wiesz, co jaunting zrobił z kobietami, Gully. Zamknął nas w areszcie domowym. Odesłał nas z powrotem do seraju.

– Co to jest seraj, mała?

– Harem. Miejsce, w którym trzyma się kobiety na podporządku. Po tysiącu lat cywilizacji ciągle jesteśmy czyjąś własnością. Jaunting stanowi takie zagrożenie dla naszej cnoty, naszej świeżości, naszej wartości, że zamyka nas jak złotą sztabkę w sejfie. Nie mamy nic do roboty... nic przyzwoitego. Żadnych zajęć. Żadnych zawodów. Nie ma z tego wyjścia, Gully, chyba, że wybuchniesz i obalisz wszystkie normy.

– Musiałaś to zrobić, Jiz?

– Musiałam być niezależna, Gully. Musiałam żyć własnym życiem, a to był jedyny sposób, na jaki pozwoliło mi społeczeństwo. Uciekłam więc z domu i zostałam kanciarką. – I tu Jiz zaczęła opisywać ponure szczegóły swojego buntu: Szantaż, Wymuszenie, Oszustwo, Wyłudzenie, Grabież, Włamania do mieszkań i grobowców, Jaunting nękający i Pijaństwo.

Foyle opowiedział jej o „Nomadzie” i o „Vordze”, o swojej nienawiści i o swoich planach. Nie powiedział Jisbelli o swojej twarzy, ani o dwudziestu milionach w platynowych sztabkach, czekających gdzieś tam, wśród asteroidów.

– Co się stało z „Nomadem”? – spytała Jisbella. – Czy było tak, jak mówił ten Dagenham? Rozwalił go rajder z Satelitów Zewnętrznych?

– Nie wiem, kurczę. Nie pamiętam, mała.

– Wybuch pozbawił cię pamięci. Szok. Nie wyszło ci też na dobre przebywanie przez

sześć miesięcy w samotności. Czy zauważyłeś coś, co warto by z „Nomada” ocalić?

– Nie.

– A Dagenham nie wspominał o czymś takim?

– Nie – skłamał Foyle.

– Musi więc istnieć inny powód, dla którego wtrącił cię do Gouffre Martel. Musi być coś jeszcze, czego chce od „Nomada”.

– Tak, Jiz.

– Ale swoją drogą byłeś głupcem próbując wysadzić „Vorgę” w powietrze. Jesteś jak dzikie zwierzę, które chce dać szkołę pułapce, gdy ta go zrani. Stał nie jest żywa. Nie myśli. Nie możesz ukarać „Vorgi”.

– Nie wiesz co mówisz, mała. „Vorga” mnie zostawiła.

– Ukarz mózg, Gully. Mózg, który zastawił pułapkę. Dowiedz się kto był na pokładzie „Vorgi”. Dowiedz się, kto wydał rozkaz, by cię zostawili. Jego ukarż.

– Tak, ale w jaki sposób?

– Naucz się myśleć, Gully. Głowa, która doszła do tego jak uruchomić „Nomada” i jak sfabrykować bombę, powinna wymyślić i to. Ale koniec z bombami; zamiast tego mózg. Odszukaj członka załogi „Vorgi”. On ci powie, kto był wtedy na pokładzie. Wytrop ich. Dowiedz się, kto wydał ten rozkaz. Wtedy go ukarż. Ale to pochłonie trochę czasu, Gully... czasu i pieniędzy; więcej niż ich masz.

– Mam całe życie, kurczę.

Mruczeli tak przez Linie. Szeptu całymi godzinami. Ich głosy rozbrzmiewały cicho, a jednak tuż koło ucha. W obu celach istniało tylko jedno szczególne miejsce, z którego można było słyszeć rozmówcę i dlatego upłynęło tyle czasu, zanim odkryli fenomen. Teraz jednak odrabiali stracony czas. Jisbella uczyła Foylea.

Ze światka przestępczego, w którym się obracała, odziedziczyła Jisbella masę informacji o Gouffre Martel. Nikt nigdy nie wyjauntował się ze szpitali jaskiniowych, ale półświatek przez dziesięciolecia gromadził i konfrontował informacje o nich. To właśnie na podstawie tych danych Jisbella zorientowała się szybko, że połączyła ich Linia Szeptu. Na podstawie tych informacji zaczęła rozważać możliwość ucieczki.

– Może nam się udać, Gully. Nie wątp w to ani przez chwilę. W ich systemie alarmowym musi być pełno luk.

– Nikt ich nigdy nie znalazł.

– Nikt wcześniej nie pracował ze współnikiem. Zsumujemy nasze informacje i dokonamy tego.

* * *

Nie chodził już do Sanitariatów i z powrotem powlóczył nogami. Macał ściany korytarza, zapamiętywał drzwi, uczył się rozpoznawać ich fakturę, liczył, słuchał, dedukował i meldował. Pytania, które szeptał pod prysznicem umywalni i szorowalni do otaczających go ludzi, miały teraz swój cel. Wspólnymi siłami, Foyle i Jisbella, odtworzyli sobie obraz zwyczajów panujących w Gouffre Martel i jej systemu zabezpieczającego.

Pewnego poranka, podczas powrotu z Sanitariatów, zatrzymano go w chwili gdy miał już wkroczyć do swojej celi.

- Zostań w szeregu, Foyle.
- To już Północ – 111. Wiem przecież gdzie mam odłączyć.
- Idź dalej.
- Ale... – Był przerażony. – Przenosicie mnie?
- Masz gościa.

Pomaszerował dalej do końca korytarza północnego, gdzie spotykał się on z trzema innymi korytarzami głównymi, tworząc z nimi wspólnie ogromny krzyż szpitala. Pośrodku krzyża mieściły się biura administracji, warsztaty naprawcze, kliniki i zakłady wytwórcze. Wepchnięto Foyle'a do pomieszczenia tak samo ciemnego, jak jego cela. W mroku dostrzegł opalizującą blado sylwetkę. Było to ni mniej ni więcej tylko widmo postaci o poplamionym ciele i trupiej głowce. Na twarzy czaszki czerniały dwa krążki będące albo oczodołami, albo goglami noktowizyjnymi.

- Dzień dobry – powiedział Saul Dagenham.
- To ty? – wykrzyknął Foyle.
- Tak, to ja. Mamy pięć minut. Siadaj. Krzesło jest za tobą.
- Foyle namacał w ciemnościach krzesło i usiadł.
- Cieszysz się? – spytał Dagenham.
- Czego chcesz, Dagenham?
- Zaszła jakaś zmiana – stwierdził oschle Dagenham. – Kiedy ostatnio gawędziliśmy, twój udział w dialogu ograniczał się jedynie do pobożnego życzenia: „Idź do diabła”.
- Idź do diabła, Dagenham, jeśli przez to poczujesz się trochę lepiej.
- Twoje riposty poprawiły się; twoja wymowa również. Zmieniłeś się – powiedział Dagenham. – Zmieniłeś się o wiele za dużo i o wiele za szybko. Nie podoba mi się to. Co się z tobą stało?
- Chodziłem do szkoły wieczorowej.
- Spędziłeś w niej dziesięć miesięcy.

- Dziesięć miesięcy! – powtórzył w osłupieniu Foyle. – Taki szmat czasu.
- Dziesięć miesięcy bez obrazu i dźwięku. Dziesięć miesięcy w odosobnieniu. Powinieneś się złamać.
- Ach, tak. Jestem złamany, niech ci będzie.
- Powinieneś skamleć. Miałem racje. Jesteś niezwykły. W tym tempie zajmie to zbyt dużo czasu. Nie możemy czekać. Chciałbym przedstawić ci nową propozycję.
- To przedstawiaj.
- Dziesięć procent wartości ładunku „Nomada”. Dwa miliony.
- Dwa miliony! – wykrzyknął Foyle. – Dlaczego od razu tego nie zaproponowałeś?
- Bo nie znałem twojego kalibru. Umowa stoi?
- Prawie, ale jeszcze niezupełnie.
- Co jeszcze?
- Wyjdę z Gouffre Martel.
- Ma się rozumieć.
- I ze mną ktoś jeszcze.
- Można to załatwić. – Głos Dagenhama nabrał ostrości. – To wszystko?
- Umożliwiacie mi wgląd w akta Presteigna.
- Nie ma mowy. Oszalałeś? Bądź rozsądny.
- Chodzi o rejestr statków.
- W jakim celu?
- Chcę obejrzeć listy personelu latającego na jego statkach.
- Aha – ożywienie Dagenhama powróciło. – To mogę załatwić. Coś jeszcze?
- Nie.
- No to interes ubity. – Dagenham był zachwycony. Z jego włosów emanowała jasna, widmowa poświata! – Będziesz na wolności w przeciągu sześciu godzin. Od razu zaczniemy załatwiać sprawę twojego przyjaciela. Szkoda, że straciliśmy tyle czasu, ale nikt ciebie nie doceniał, Foyle.
- Dlaczego nie nasłaliście na mnie telepaty? Może by mnie rozpracował.
- Telepaty? Bądź rozsądny, Foyle. Na wszystkich Planetach Wewnętrznych nie ma nawet dziesięciu pełnych telepatów. Ich czas jest zarezerwowany na dziesięć lat z góry. Nie mogliśmy namawiać któregoś, żeby bezinteresownie, czy nawet za pieniądze przerywał swój ustalony harmonogram zajęć.
- Przepraszam cię, Dagenham, ale uważam, że jesteś kiepski w swoim fachu.
- Nieomal mnie uraziłeś.
- Teraz wiem, że po prostu łiesz.

– Schlebiasz mi.

– Mogłeś zaangażować telepatę. Któryś z nich na pewno skusiłby się na jeden mały wiórek odlupany od dwudziestu milionów.

– Władze nigdy by...

– Nie wszyscy pracują dla rządu. Nie. Masz coś zbyt trefnego, żeby dopuścić do tego telepatę.

Widmowa poświata przemknęła błyskawicznie przez pomieszczenie i pochwyciła Foylea.

– Co wiesz, Foyle? Co ukrywasz? Dla kogo pracujesz? – Ręce Dagenhama drżały. – Chryste! Jakim ja byłem głupcem. Teraz wszystko jasne. Jesteś niezwykły, bo nie jesteś zwykłym kosmonautą. Pytam: dla kogo pracujesz?

Foyle odtrącił ręce Dagenhama.

– Dla nikogo – odparł. – Tylko dla siebie.

– Dla nikogo, co? A ten twój przyjaciel z Gouffre Martel, którego tak bardzo chcesz uwolnić? Na Boga, udało ci się prawie wywieść mnie w pole, Foyle. Powiedz kapitanowi Yáng–Yeovilowi, że mu gratuluję. Ma lepszy personel niż myślałem.

– Nigdy nie słyszałem o żadnym Yáng–Yeovilu.

– Ty i twój kumpel zgnijecie tutaj. To nieuczciwe. Zgnijesz tutaj. Przeniosę cię do najgorszej celi w szpitalu. Pogrzebie cię na samym dnie Gouffre Martel. Ja... Straż! S...

Foyle schwycił Dagenhama za gardło, przydusił do podłogi i walnął jego głową o posadzkę z kamiennych płyt. Dagenham wierzgnął raz nogami i znieruchomiał. Foyle ściągnął mu gogle noktowizyjne i założył je na oczy. Wzrok powrócił w łagodnych, czerwonoróżowych światłach i cieniach.

Znajdował się w małej salce przyjęć, której umeblowanie stanowił stół i dwa krzesła. Zerwał z Dagenhama marynarkę i dwoma szybkimi ruchami ubrał się w nią sam, zdzierając przy tym plecy. Na stole leżał trójgraniasty, zbójnicki kapelusz Dagenhama. Foyle bez namysłu wcisnął go na głowę nasuwając skrzydło głęboko na oczy.

W przeciwległych ścianach salki widniały dwie pary drzwi. Foyle uchylił jedne. Wychodziły na korytarz północny. Zamknął je i przeskoczywszy przez pokój, wyrzwał przez drugie. Prowadziły do jauntoszczelnego labiryntu. Foyle wyśliznął się przez te drzwi i znalazł się w labiryncie. Bez przewodnika, który by go przezeń przeprowadził, zabłądził natychmiast. Zaczął biegać tu i tam, przemierzając spiralne korytarze i zakręty, aż znalazł się z powrotem w salce przyjęć. Dagenham dźwigał się właśnie na kolana.

Foyle zawrócił do labiryntu. Biegł. Dopadł zamkniętych drzwi i otworzył je z trzaskiem. Za nimi ukazała się jego oczom wielka hala, oświetlona normalnym światłem. Dwaj technicy pochyleni nad warsztatem ślusarskim podnieśli głowy i spojrzeli na niego zdumieni. Foyle

porwał oparty o ścianę młot kowalski i niczym jaskiniowiec runął na mężczyzn, powalając obu. Daleko za sobą słyszał krzyki Dagenhama. Przebiegł dzikim wzorkiem po hali stwierdzając z przerażeniem, iż znalazł się w ślepej uliczce. Hala miała kształt litery L. Foyle popędził za róg, wypadł przez drugie drzwi do kolejnego, jauntoszczelnego labiryntu i znowu zablądził. Zaczął brzęczeć system alarmowy Gouffre Martel. Foyle grzmotnął młotem w ścianę labiryntu, wywalając wielką dziurę w cienkim, plastikowym przepierzeniu. Znalazł się w oświetlonym podczerwienią południowym korytarzu ćwiartki żeńskiej.

Korytarzem nadbiegały dwie kobiety – strażniczki. Foyle machnął młotem i zwałił je z nóg. Znajdował się na samym niemal początku korytarza. Przed nim ciągnęła się długa perspektywa drzwi do cel. Na każdym jarzył się czerwony numer. Z góry korytarz oświetlały błyszczące, czerwone kule. Foyle stanął na palcach i uderzył młotem w kulę, która wisiała nad jego głową. Walił młotem w oprawkę aż rozgniół ją i zmiażdżył kabel zasilający. Cały korytarz pogrążył się w ciemnościach... nieprzeniknionych nawet dla noktowizyjnych gogli.

– Będzie sprawiedliwie; teraz dla wszystkich ciemno – wydyszał Foyle i pogał korytarzem macając ściany i licząc drzwi. Jisbella przekazała mu dokładny, słowny opis Ćwiartki Południowej. Biegł, licząc, w kierunku celi Południe 900. Wpadł na jakąś postać – następną strażniczkę.. Przyłożył jej raz młotem. Krzyknęła i upadła. Kobiety pacjentki podniosły wrzask. Foyle stracił rachubę. Podbiegł kawałek... zatrzymał się...

– Jiz! – ryknął.

Usłyszał jej głos. Natknął się na kolejną strażniczkę.. Rozprawił się z nią tak jak z poprzednimi i biegł dalej, aż znalazł w końcu cele Jisbelli.

– Gully, na miłość boską... – Jej głos był przytłumiony.

– Cofnij się, mała. Cofnij się. – Grzmotnął trzy razy młotem w drzwi celi i te, z wyrwanym zamkiem, runęły do środka. Zataczając się wpadł do celi i zderzył się z jakąś postacią.

– Jiz? – wysapał, z trudem chwytając powietrze. – Przepraszam cię... Przechodziłem. Pomyślałem, że wpadnę.

– Gully, w imię...

– Tak, tak. Cholery można dostać jak się tu do ciebie idzie, wiesz? Szybciej. Wychodź, mała. Wychodź. – Wyciągnął ją z celi. – Nie możemy przebijać się przez biura. Nie lubią mnie tam. Którędy do twoich Sanitariatów?

– Gully, jesteś szalony.

– Cała Ćwiartka jest ciemna. Zmiażdżyłem kabel zasilający. Mamy pięćdziesiąt procent szans. Ruszaj, mała. Ruszaj.

Popchnął ją potężnie. Poprowadziła go korytarzami do automatycznych komór żeńskich

Sanitariatów. Podczas gdy mechaniczne ręce zdejmowały z nich ubranie, mydliły ich, moczyły, spryskiwały i dezynfekowały, Foyle jeździł dłońmi po ścianach, szukając po omacku szklanej tafli medycznego okienka obserwacyjnego. Znalazłszy je machnął młotem i rozbił w kawałki.

– Przechodź, Jiz.

Popchnął dziewczynę przez okienko i sam przecisnął się za nią. Oboje byli rozebrani do naga, wysmarowani mydłem, pokaleczeni odłamkami szkła i krwawili. Foyle, ślizgając się i rozbijając o niewidoczne w ciemnościach przeszkody, szukał drzwi, przez które wchodził tu oficerowie medyczni.

– Nie mogę znaleźć drzwi, Jiz. Drzwi z kliniki. Ja...

– Sza...!

– Ale...

– Cicho, Gully.

Namydlona dłoń znalazła jego usta i zacisnęła się na nich. Druga dłoń wpiła się tak mocno w jego ramię, że paznokcie przebiły mu skórę. Poprzez wrzawę dochodzącą z jaskiń przebijał stukot kroków zdających się rozlegać tuż tuż. Przez komory Sanitariatów biegli po omacku Strażnicy. Podczerwone oświetlenie nie zostało jeszcze naprawione.

– Mogą zauważyć okno – syknęła Jisbella. – Cicho.

Przykucnęli na podłodze. Kroki tupotały po komorach w oszalałym tempie. Potem oddaliły się.

– Poszli sobie – wyszeptała Jisbella. – Ale zaraz wrócą z reflektorami. Chodź, Gully. Wychodzimy.

– Ale drzwi do kliniki, Jiz. Zdaje mi się...

– Żadnych drzwi tu nie ma. Korzystają ze spiralnych schodów i kiedy wychodzą, wciągają je na górę. Oni również pomyśleli o tej drodze ucieczki. Będziemy musieli poszukać wyciągu pralni. Bóg jeden wie, co z tego wszystkiego wyniknie. Och, Gully, ty wariacie! Ty kompletny wariacie!

Przeleźli przez okienko obserwacyjne z powrotem do komór. Szukali w ciemnościach wyciągu, którym zabierane były stare ubrania i podawane nowe, a mechaniczne ręce ponownie mydliły ich, spryskiwały i dezynfekowały. Nic nie mogli znaleźć. Wtem miauczenie syreny, odbijając się echem po jaskiniach, wyciszyło wszystkie inne dźwięki. Zapadła cisza równie przytłaczająca jak i ciemność.

– Tropią nas G–fonem, Gully.

– G... czym?

– Geofonem. Wykrywa szept przez pół mili litej skały. Syrena była sygnałem do

wyciszenia.

– A wyciąg pralni?

– Nie mogę go znaleźć.

– No to chodź.

– Gdzie?

– Uciekamy.

– Dokąd?

– Nie wiem, ale nie dam się złapać klawiszom. Trochę gimnastyki dobrze ci zrobi.

Znowu popchnął Jisbellę przed sobą i potykając się co chwila pobiegli dysząc przez czern korytarza prowadzącego w dół, do najgłębiej położonych partii Południowej Ćwiartki. Jisbella upadła dwa razy, zawadzając o występy ściany na zakrętach. Foyle objął prowadzenie i biegł trzymając przed sobą jak antenę, trzonek kowalskiego młota. Nagle zderzył się ze ścianą i zdał sobie sprawę, że dotarli do końca ślepego korytarza. Znaleźli się w pułapce.

– Co teraz?

– Nie wiem. To mi też wygląda na ślepą uliczkę moich pomysłów. Wrócić nie możemy na pewno. Sprąłem w biurze Dagenhama. Nienawidzę tego faceta. Wygląda jak etykieta na buteleczce z trucizną. Masz jakąś myśl, mała?

– Och, Gully... Gully – zaszlochała Jisbella.

– Liczyłem na twoje pomysły. „Koniec z bombami”, mówiłaś. Teraz chciałbym mieć jedną. Mógłbym... Chwileczkę. – Dotknął wilgotnej ściany, o którą się opierali. Pod palcami wyczuł karbowaną szachownicę murarskich spoin. – Komunikat od G. Foyle: „To nie jest naturalna ściana jaskini. To jest sztuczny mur. Z cegły i kamieni. Czuję”.

– Tak? – Jisbella pomacała ścianę.

– To by znaczyło, że korytarz tu się nie kończy. Biegnie dalej. Zamurowali go. Odcieśli drogę.

Odepchnął Jisbellę od muru, przyłożył ręce do ziemi, aby natrzeć namydlone dłonie piaskiem i zaczął walić młotem w ścianę. Walił jednostajnym rytmem, chrząkając i posapując. Stalowy młot uderzał w mur z głuchym odgłosem, jaki wydają zderzające się pod wodą kamienie.

– Nadchodzą – powiedziała Jiz. – Słyszę ich.

Głuchy łomot ciosów przeszedł w odgłosy kruszenia i miażdżenia. Najpierw rozległ się cichy szmer, a potem ruszyła lawina kamyków i pokruszonej zaprawy. Foyle zdwoił wysiłki. Wtem usłyszeli rumor i twarze owiał im prąd lodowatego powietrza.

– Przebite – wymamrotał Foyle.

Zaatakował z wściekłością krawędzie wybitej w murze dziury. Wokół fruwały cegły,

kamienie i okruchy starej murarskiej zaprawy. Foyle przerwał i zawołał do Jisbelli.

– Spróbuj.

Odrzucił młot, pochwycił dziewczynę w pól i podniósł ją do zięjącego na wysokości piersi otworu. Wydała okrzyk bólu, próbując precyzyjnie się przez ostre krawędzie. Foyle pchał ją bezlitośnie, aż przepchnął ramiona i biodra. Puścił nogi dziewczyny i słuchał jak spadała z drugiej strony muru.

Podciągnął się sam na rękach i precyzyjnie przeszedł przez poszczerbioną wyrwę. Spadł z łoskotem na stertę cegieł i pokruszonej zaprawy, czując po drodze jak ręce Jisbelli próbują złagodzić jego upadek. Znaleźli się oboje w lodowatej czerni niezamieszkałych pieczar Gouffre Martel... całe mile niezbadanych grot i jaskiń.

– Na Boga, jednak nam się udało – stęknął Foyle.

– Nie wiadomo, czy jest stąd jakieś wyjście, Gully. – Jisbella trzęsła się z zimna. – Może to tylko ślepy zaułek odgradzony murem od szpitala?

– Musi być wyjście.

– Nie wiadomo, czy potrafimy je znaleźć.

– Musimy je znaleźć. Chodźmy mała.

Ruszyli na oślep w czerń. Foyle zdarł z głowy bezużyteczne gogle noktowizyjne. Wpadali na krawędzie i załomy skalne, uderzali głowami o niskie sklepienia, staczali się po pochyłościach i stromych, kamiennych stopniach. Przelazszy przez ostrą jak brzytwa grań wydostali się na płaską równinę i ziemia uciekła im spod nóg. Upadli ciężko na szkliste podłoże. Foyle pomacał rękoma wokół siebie i dotknął ziemi językiem.

– Lód – mruknął. – To dobry znak. Jesteśmy w lodowej grocie, Jiz. To podziemny lodowiec.

Podnieśli się drżąc z zimna i stawiając szeroko nogi ruszyli po śliskiej tafli, która tworzyła się od tysiącleci w mrocznej otchłani Gouffre Martel. Po jakimś czasie dotarli do lasu kamiennych sopli, jakie uformowały sterczące w górę z postrzępionego podłoża stalagmity i stalaktyty zwisające w dół ze sklepień. Wibracje towarzyszące każdemu stąpieniu udzieliły się ogromnym stalaktytom; z góry spadać na nich zaczęły z łoskotem ciężkie, kamienne włócznie. Na skraju lasu Foyle zatrzymał się, wyciągnął przed siebie ręce i szarpnął. Dał się słyszeć czysty, metaliczny dźwięk. Foyle poszukał ręki Jisbelli i wsunął jej w dłoń długi, zwężający się ku dołowi stożek stalagmitu.

– Laseczka – mruknął. – Używaj jej tak, jak to robią ślepcy.

Wyłamał sobie drugi stalagmit i ruszyli przed siebie postukując, macając i potykając się w ciemnościach. Nie dochodził ich żaden odgłos prócz galopu panicznego strachu... własnych przerywanych oddechów, przyspieszonego bicia serc, stukotu kamiennych lasek,

kapania licznych kropeł wody i odległego szumu podziemnej rzeki przepływającej pod Gouffre Martel.

– Nie tędy, mała. – Foyle trącił Jisbellę w ramię. – Bardziej na lewo.

– Masz choć najmniejsze pojęcie dokąd się kierować, Gully?

– W dół, Jiz. Idziemy każdym pochyleniem, które prowadzi w dół.

– Masz jakiś pomysł?

– Mam. Niespodzianka, niespodzianka. Mózg zamiast bomb.

– Mózg zamiast... – Jisbella wybuchnęła histerycznym śmiechem. – Wpadłeś jak bomba do Ćwiartki Południowej wymachując kowalskim młotem i t... tto ma być t... ten twój mózg zamiast b... b... b... – Wyła i skręcała się ze śmiechu nie mogąc go opanować, dopóki Foyle nie chwycił jej za ramiona i nie potrząsnął.

– Zamknij się, Jiz. Jeśli tropią nas G-fonem, to usłyszeliby ciebie z Marsa.

– P... Przepraszam, Gully. Przepraszam. Ja... – Wzięła głęboki oddech. – Dlaczego mamy iść w dół?

– Do rzeki; tej, którą cały czas słyszymy. Musi przepływać gdzieś blisko. Wypływa pewnie z topniejącego lodowca.

– Do rzeki?

– To jedyna pewna droga prowadząca na zewnątrz. Musi gdzieś wypływać z góry.

Popłyniemy.

– Gully, tyś oszalał!

– O co chodzi, kurczę? Nie umiesz pływać?

– Pływać umiem, ale...

– No to musimy spróbować. Musimy, Jiz. Chodź.

Podczas gdy szum rzeki z każdą chwilą narastał, oni zaczęli opadać z sił. W końcu Jisbella zatrzymała się dysząc ciężko.

– Gully, musze odpocząć.

– Nie przystawaj. Jest za zimno.

– Już nie mogę.

– Nie zatrzymuj się. – Namacał jej ramię.

– Zabierz te łapy – krzyknęła rozwścieczona. W jednej chwili przemieniła się w sekutnicę.

Puścił ją, zdumiony tym nagłym wybuchem.

– Co ci się stało? Głowa do góry, Jiz. Jestem zdany na ciebie.

– Co? Mówiłam przecież, że musimy planować... opracować ucieczkę..., a teraz wpędziłeś nas w sytuację bez wyjścia.

– Sam byłem w sytuacji bez wyjścia. Dagenham chciał mi zmienić cele. Nie mielibyśmy

już Linii Szeptu. Musiałem, Jiz... no i wydostaliśmy się, może nie?

– Z czego się wydostaliśmy? Zagubieni w Gouffre Martel. Szukający jakiejś cholernej rzeki, żeby się w niej utopie. Jesteś idiotą, Gully i ja też jestem idiotką, że dałam ci się w to wrobić. Niech cię diabli porwą! Niech cię diabli! Sprowadzasz wszystko do swojego imbecyjskiego poziomu i mnie też do niego sprowadziłeś. Uciekaj. Walcz. Grzmoć. To wszystko, na co cię stać. Bij, łam, wysadzaj. Burz... Gully!

Jisbella krzyknęła. W ciemnościach rozległ się zgrzyt obruszonego kamienia i jej krzyk zaczął zamierać gdzieś w dole coraz to niżej i niżej, aż urwał się wraz z głośnym pluskiem. Foyle słyszał jak jej ciało uderza o wodę. Skoczył do przodu, krzycząc – Jiz! – i zachwiał się nad krawędzią przepaści.

Runął w dół i z oszałamiającym wstrząsem grzmotnął plackiem o wodę. Lodowata rzeka zamknęła się nad nim i nie wiedział już gdzie góra, a gdzie dół. Miotając się i dusząc czuł, jak wartki nurt wlecze go po lodowatej, oślizłej skale i po chwili, puszczając bąbelki z ust, wyniesiony został na powierzchnię. Krztusił się i krzyczał. Usłyszał odpowiedź Jisbelli. Jej głos był słaby i zagłuszany przez ryk potoku. Popłynął z prądem, próbując ją dogonić.

Krzyczał bez przerwy, słysząc głos dziewczyny coraz to cichszy i cichszy. Ryk wzmógł się i nagle Foyle runął w dół wodospadu wraz z syczącym płatem wody. Zanurkował do samego dna głębokiego rozlewiska i walcząc zawzięcie z otaczającym go żywiołem, jeszcze raz wypłynął na powierzchnię.

Wir cisnął nim o zimne ciało uczezione kurczowo gładkiej, skalnej ściany.

– Jiz!

– Gully! Dzięki Bogu!

Przywarli do siebie na chwilę opierając się rwącemu prądowi.

– Gully... – wykrztusiła Jisbella – Przepływa tedy.

– Rzeka?

– Tak.

Czepiając się ściany ominął dziewczynę i wymacał wlot podwodnego tunelu. Prąd wsysał ich do niego.

– Trzymaj się – wysapał Foyle. Badał skałę po prawej i po lewej stronie kanału. Kamienne ściany otaczające rozlewisko były gładkie i bez występów.

– Nie damy rady wspiąć się na górę. Musimy przepłynąć.

– Tam nie ma powietrza, Gully. Nie ma powierzchni.

– Nie cały czas. Wstrzymamy oddechy.

– Tunel może być dłuższy niż zdołamy powstrzymać się od oddychania.

– Musimy ryzykować.

– Nie mogę.

– Musisz. Innej drogi nie ma. Napompuj płuca. Trzymaj się mnie.

Wspierając się wzajemnie w wodzie i oddychając głęboko, napełniali płuca powietrzem. Foyle popchnął lekko Jisbellę w kierunku podwodnego tunelu.

– Płyn pierwsza. Będę tuż za tobą... Pomogę, jak będziesz miała kłopoty.

– Kłopoty! – krzyknęła Jisbella trzęsącym się głosem. Zanurzyła się i pozwoliła, aby prąd wessał ją do tunelu. Foyle zanurkował za nią. Rwąca woda wciągała ich głębiej i głębiej miotając obojgiem o szklisto gładkie ściany kanału. Foyle płynął tuż za Jisbellą, czując, jak jej mlóćące wodę nogi grzmocą go po głowie i ramionach.

Mknęli przez zdający się nie mieć końca tunel. Rozsadzało im już płuca, a ślepe oczy wychodziły z orbit, gdy wtem znowu dał się słyszeć ryk i pokazała się powierzchnia. Mogli zaczerpnąć tchu. Zamiast wypolerowanych przez wodę ścian tunelu mieli teraz wokół siebie postrzępione skały. Foyle złapał Jisbellę za nogę i uczeplił się sterczącego z brzegu skalnego występu.

– Musimy tu wyleżeć z rzeki – krzyknął.

– Co?

– Musimy się wspiąć na górę. Słyszysz ten ryk, tam przed nami? To katarakty. Progi. Rozedrze nas na strzępy. Wyłaż, Jiz.

Była zbyt wyczerpana, aby wspiąć się na brzeg. Wypchnął jej ciało w górę, na skały i sam poszedł w jej ślady. Leżeli na ociekających wodą kamieniach nie mając nawet siły na rozmowę. W końcu Foyle stanął chwiejnie na nogi.

– Musimy iść dalej – powiedział. – Wzdłuż rzeki. Gotowe?

Nie miała siły odpowiedzieć. Nie miała siły zaprotestować. Pomógł jej wstać i ruszyli przez ciemność potykając się co chwila i starając trzymać się brzegu strumienia. Trawersowali gigantyczne głązy usypane w stosy, wznoszące się jak dolmeny, przemieszane, rozrzucone w labirynt. Kluczyli między nimi i krążyli, aż zgubili rzekę. Nie słyszeli już jej w ciemnościach; nie mogli do niej wrócić. Nie mogli nigdzie wrócić.

– Zabłądziliśmy... – mruknął Foyle z rozgoryczeniem. – Znowu zabłądziliśmy. Tym razem na dobre. Co teraz zrobimy?

Jisbella zaczęła płakać. Wydawała z siebie bezradne, a zarazem rozwścieczone dźwięki. Foyle zatrzymał się i usiadł, pociągając ją za sobą.

– Może masz i rację, mała – powiedział apatycznie. – Może i jestem cholernym durniem. Wpędziłem nas oboje w te pułapkę, z której nie można się jauntować i leżymy.

Nie odpowiedziała.

– Tyle pracy myślowej. Od cholery edukacji, której mi udzielałaś. Wszystko na nic. –

Zawahał się. – Nie uważasz, że powinniśmy po własnych śladach pójść z powrotem do szpitala?

– Nigdy nam się to nie uda.

– Chyba nie. Ćwiczyłem sobie tylko mózg. Może powinniśmy podnieść wrzawę? Narobić tyle hałasu, żeby wykryli nas G–fonem?

– Nigdy nas nie usłyszą... Nigdy nas tu nie znajdą.

– Możemy narobić wystarczająco dużo hałasu. Możesz mnie na przykład trochę pomaltretować. Oboje będziemy mieli przyjemność.

– Zamknij się.

– Co za bryndza! Padł na plecy, uderzając głową o kępkę miękkiej trawy. – Na pokładzie „Nomada” miałem chociaż jakąś szansę. Było tam jedzenie i widziałem gdzie idę. Mogłem...

– urwał w pół zdania i poderwał się do pozycji siedzącej. – Jiz!

– Nie gadaj tyle.

Pomacał grunt pod sobą i wydarł paznokciami kępkę darni z paroma grudkami ziemi. Podsunął gwałtownym ruchem dłoń pod nos Jisbelli.

– Powąchaj to – roześmiał się. – Posmakuj. To trawa, Jiz. Ziemia i trawa. Musimy być na zewnątrz Gouffre Martel.

– Co?

– Na dworze jest noc. Czarna jak smoła. Pochmurna. Wyszliśmy z jaskiń nie wiedząc nawet o tym. Jesteśmy na zewnątrz, Jiz! Udało się.

Zerwali się na nogi wytężając wzrok, słuchając, węsząc. Ciemności były nieprzeniknione, ale słyszeli cichy poświst nocnego wiatru, a do ich nozdrzy dolatywała słodka woń zielonych roślin. Gdzieś w oddali ujadł pies.

– Mój Boże, Gully – wyszeptała niedowierzająco Jisbella.

– Masz rację. Wyszliśmy z Gouffre Martel. Pozostało nam tylko poczekać na świt.

Roześmiała się. Otoczyła go ramionami i ucałowała, a on oddał jej uścisk. Paplali w uniesieniu. Osunęli się znowu na miękką trawę, ale podnieceni, niecierpliwi nie byli zdolni do odpoczynku – całe życie przed nimi.

– Cześć Gully, kochany Gully. Cześć Gully. Nareszcie.

– Czołem, Jiz.

– Mówiłam ci, że się kiedyś spotkamy..., że niedługo, pewnego dnia. Mówiłam ci, kochany. I to jest właśnie ten dzień.

– Noc.

– Niech ci będzie noc. Ale koniec już z mruzeniem po nocy przez Linię Szeptu. Noc już się dla nas skończyła, Gully, mój drogi.

Nagle uświadomili sobie, że są nadzy i już nierozdzieleni leżą obok siebie. Jisbella zamilkła, ale nie uczyniła żadnego ruchu. Objął ją prawie ze złością i otoczył pożądaniem, które było nie mniejsze niż jej.

Gdy przyszedł świt, zobaczył, że jest śliczna: wysoka i szczupła, o podpalano rudych włosach i zmysłowych ustach.

Ale kiedy przyszedł świt, zobaczyła jego twarz.

ROZDZIAŁ 6

Herley Baker, doktor nauk medycznych, miał małą praktykę ogólną w Montanie–Oregonie, która była legalna i przynosiła dochody ledwo pokrywające koszty zakupu oleju napędowego, jaki doktor przepalał każdego weekendu, uczestnicząc w cieszących się wielką popularnością na Saharze rajdach ciągniczków do zbioru winorośli. Jego właściwe dochody płynęły z Fabryki Potworów w Trenton, do której Baker jauntował się każdego Poniedziałku, Środy i Piątku w nocy. Tam, za kolosalne honoraria i bez zadawania zbędnych pytań, powoływał Baker do życia potworności na użytek przemysłu rozrywkowego oraz prze法西斯owywał skórą, mięśniami i kośćmi na zlecenie półświatka.

Przypominający z wyglądu męską położną Baker siedział teraz na ocienionej werandzie swojej rezydencji w Spokane, słuchając Jiz McQueen kończącej właśnie opowieść o swej ucieczce.

– Kiedy po wyjściu z Gouffre Martel znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni, poszło już łatwo. Natrafiliśmy na jakiś domek myśliwski, włamaliśmy się do środka i zabraliśmy stamtąd trochę ubrań. Były tam też strzelby... śliczne, stare, stalowe rzeczy do zabijania materiałem wybuchowym. Zabraliśmy je i sprzedaliśmy paru miejscowym. Pieniędzmi opłaciliśmy przejazd do najbliższej jauntrampy, którą pamiętaliśmy.

– Do której?

– Biarritz.

– Podróżowaliście nocą, co?

– Ma się rozumieć.

– Zrobiliście coś z twarzą Foyla?

– Próbowałam robić mu makijaż, ale to nic nie pomagało. Ten cholerny tatuaż ciągle wyłaził. Potem kupiłam ciemny surogat i spryskałam mu nim twarz.

– Pomogło?

– Nie – powiedziała ze złością Jiz. – Trzeba trzymać gębę na kłódkę, bo inaczej surogat pęka i łuszczy się. Foyle nie mógł się powstrzymać od gadania. Nigdy tego nie potrafił. To było piekło.

– Gdzie on teraz jest?

– Sam Quatt ciąga go za sobą.

– Myślałem, że Sam skończył już z działalnością przestępczą.

– Bo skończył – powiedziała ponuro Jisbella. – Ale ma wobec mnie dług do spłacenia.

Opiekuje się Foylem. Krążą jauntując, żeby być ciągle przed glinami.

– Ciekawe – mruknął Baker. – W życiu nie widziałem przypadku tatuazu. Myślałem, że to wymarła umiejętność. Włączyłbym go do mojej kolekcji. Wiesz, że zbieram osobliwości, Jiz?

– Wszyscy wiedzą o tym twoim zoo w Trenton. Jest upiorne.

– W zeszłym miesiącu trafiła mi się autentyczna bratnia cysta – zaczął z zapalem Baker.

– Nie chcę tego słuchać – przerwała mu Jiz. – I nie chcę, żeby Foyle znalazł się w twoim zwierzyńcu. Czy potrafisz usunąć mu to z twarzy? Oczyścić ją? On mówi, że w Szpitalu Generalnym mieli z tym twardy orzech do zgryzienia.

– Nie mają mojego doświadczenia, kochanie. Hmm. Coś mi się przypomina, że czytałem kiedyś... gdzieś. Gdzie to ja...? Poczekaj chwilkę. – Baker wstał i zniknął z cichutkim cmoknięciem. Jisbella przechadzała się nerwowo po werandzie, dopóki Baker nie pojawił się ponownie w dwadzieścia minut później z postrzępioną książką pod pachą i wyrazem tryumfu na twarzy.

– Mam – powiedział. – Widziałem ją trzy lata temu w antykwariacie w Caltech. Możesz podziwiać moją pamięć.

– Do diabła z twoją pamięcią. Co z jego twarzą?

– Da się zrobić. – Baker przerzucał sfatygowane stronice i medytował. – Tak, da się zrobić. Indygotynowy kwas dwusulfonowy. Kwas będę mógł zsyntetyzować, ale... – Baker zamknął książkę i zdecydowanie kiwnął głową. – Potrafię to zrobić. Tylko, że chyba szkoda ruszać taką twarz, jeśli jest tak wyjątkowa jak ją opisujesz.

– Zsiądziesz ty z tego swojego konika? – wykrzyknęła z irytacją w głosie Jisbella. – Jesteśmy trefni, rozumiesz? Jesteśmy pierwszymi, którym udało się wyrwać z Gouffre Martel. Gliny nie spoczną, dopóki nie wpakują nas tam z powrotem. To jest dla nich zadanie ekstra-specjalne.

– Ale...

– Jak myślisz, ile czasu możemy przebywać z Foylem poza Gouffre Martel, uganiając się wszędzie z tą wytatuowaną twarzą?

– O co się tak złościś?

– Ja się nie zloszczę. Ja wyjaśniam.

– W zoo byłby szczęśliwy – perswadował Baker. – I byłby tam bezpieczny. Umieściłbym go w tym pomieszczeniu obok dziewczyny cyklopki...

– Zoo odpada i to definitywnie.

– W porządku, moja droga. Ale dlaczego martwisz się, że złapią Foyla? Przecież to nie będzie miało nic wspólnego z tobą.

– Co cię obchodzi o co ja się martwię? Proszę cię o przysługę. Płacę i wymagam.

– To będzie sporo kosztowało, a ja cię lubię. Próbuje oszczędzić ci wydatków.

– Akurat.

– No, to jestem ciekawy.

– Powiedzmy więc, że robię to z wdzięczności. Pomógł mi, teraz ja pomagam jemu.

Baker uśmiechnął się cynicznie.

– Pomóżmy mu więc, dając mu nową, inaczej napiętnowaną twarz.

– Nie.

– Tak myślałem. Chcesz, żeby oczyścić mu twarz, bo jesteś jej ciekawa.

– Idź do diabła, Baker. Zrobisz to, czy nie?

– Za pięć tysięcy.

– Podaj kosztorys.

– Tysiąc za zsyntetyzowanie kwasu. Trzy tysiące za operację. A tysiąc za...

– Twoją ciekawość?

– Nie, moja droga. – Baker uśmiechnął się znowu. – Tysiąc za znieczulenie.

– A po co znieczulenie?

Baker ponownie otworzył starodawną książkę.

– Mam wrażenie, że to bolesny zabieg. Wiesz, w jaki sposób tatuowano? Brało się igłę, maczało w barwniku i wbijało w skórę. Żeby wywabić ten barwnik, musze przelecieć igłą po jego twarzy por po porze, zapuszczając w każdy z nich indygotynowy kwas dwusulfonowy. To będzie bolało.

Oczy Jisbelli zabłyśły.

– A możesz to robić bez znieczulenia?

– Ja mogę, ale Foyle.

– Do diabła z Foylem. Płace cztery tysiące. Żadnego znieczulenia, Baker. Niech Foyle pocierpi.

– Jiz! Nawet nie wiesz na co go skazujesz.

– Wiem. Niech cierpi – roześmiała się tak dziko, że przestraszyła Bakera. – Niech jego twarz i jemu sprawi cierpienie.

* * *

Fabryka Potworów Bakera mieściła się w okrągłym, piętrowym budynku z cegły, który, zanim jaunting nie zniósł zapotrzebowania na kolejki podmiejskie, był niegdyś parowozownią na stacji przetokowej. Starożytna, opleciona bluszczem parowozownia wznosiła się nie opodal trentońskich szybów raketowych i jej tylne okna wychodziły na ich wyloty, tryskające w górę wiązkami antygrawitacyjnymi. Dzięki temu rekonwalescenci doktora Bakera mogli urozmaicać sobie czas, obserwując sunące bezgłośnie w górę i w dół tych wiązek statki kosmiczne o jarzących się iluminatorach, mrugających światłach pozycyjnych i zdających się falować kadłubach, po których, w wyniku odprowadzenia do atmosfery nagromadzonego tam podczas podróży przez kosmos ładunku elektrostatycznego pełgały ognie Świętego Elma.

W podziemiach Fabryki mieściło się zoo Bakera, w którym trzymał on osobliwości anatomiczne, wybryki natury oraz potwory zakupione i (lub) porwane. Baker, podobnie jak reszta jego świata, oddany był tym stworom bez reszty i spędzał z nimi długie godziny rozkoszując się widokiem ich wynaturzeń tak, jak inni ludzie chłoną piękno sztuki. Na parterze parowozowni znajdowały się sypialnie dla rekonwalescentów, laboratoria, pokoje personelu i kuchnia. Piętro zajmowały sale operacyjne.

W jednej z nich, małej salce, w której przeprowadzano zazwyczaj eksperymenty na siatkówce oka, Baker pracował nad twarzą Foyla. Pochylony nad stołem operacyjnym, oświetlonym przez sfatygowaną baterię lamp operacyjnych, pracował metodycznie, uderzając małym, stalowym młoteczkim w platynową igłę. Posuwał się po wzorze starego tatuażu zdobiącego twarz Foyla, wyszukując każdą, najmniejszą bliznę na skórze i wprowadzając w nią igłę. Głowa Foyla ściśnięta była w imadle, ale ciało pozostawało nieskrępowane. Jego mięśnie drgały spazmatycznie przy każdym uderzeniu młotka, tułowiem jednak nie poruszał. Trzymał się kurczowo krawędzi stołu operacyjnego.

– Samokontrola – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Chciałaś mnie nauczyć panowania nad sobą, Jiz. Ćwiczę. – Skrzywił się z bólu.

– Nie ruszaj się – nakazał Baker.

– Czynień wysiłki, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Nieźle się trzymasz, synu – odezwał się Sam Quatt głosem człowieka, któremu zbiera się na wymioty. Zerknął z ukosa na zawziętą twarz Jisbelli. – Co o tym myślisz, Jiz?

– Uczy się.

Baker kontynuował wbijanie igły i uderzanie jej młotkiem.

– Słuchaj, Sam – wymamrotał ledwo dosłyszalnie Foyle – Jiz mówiła mi, że masz prywatny statek. Zbrodnia popłaca, co?

– A żebyś wiedział, popłaca. Mam mały, czteroosobowy stateczek. Dwusilnikowy. Z tych, co to je nazywają Saturnowy Weekendowicz.

– Dlaczego akurat Saturnowy Weekendowicz?

– Bo weekend na Saturnie trwałby dziewięćdziesiąt dni, a statek może zabrać żywności i paliwa na trzy miesiące.

– Takiego mi właśnie trzeba – mruknął Foyle. Skrzywił się i zaraz zapanował nad sobą. – Sam, chce go wynająć.

– Po co?

– Coś wystrzałowego.

– Legalnego?

– Nie.

– A więc to nie dla mnie, synu. Mam zszarpane nerwy. Przekonałem się o tym jauntując z tobą w kółko o krok przed glinami. Wycofuję się na dobre. Chcę tylko spokoju.

– Zapłacę pięćdziesiąt tysięcy. Nie chcesz pięćdziesięciu tysięcy? Mógłbyś na ich liczeniu spędzać niedziele.

Igła kłuła bezlitośnie. Ciało Foyle'a drgało przy każdym uderzeniu.

– Mam już pięćdziesiąt tysięcy. Mam dziesięć razy tyle w gotówce w banku wiedeńskim.

– Quatt sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej kółko z błyszczącymi, radioaktywnymi kluczami.

– Ten jest od banku. Ten od mojego mieszkania w Joburg. Dwadzieścia pokoi; dwadzieścia akrów. Ten tutaj jest od mojego Weekendowicza stojącego w Montauk. Nie skusisz mnie, synu. Wycofałem się, gdy byłem jeszcze na fali. Teraz jauntuję z powrotem do Joburg i szczęśliwie przeżywam resztę mych dni.

– Daj mi Weekendowicza. Możesz siedzieć sobie bezpiecznie w Joburg i tylko inkasować.

– Kiedy mam inkasować?

– Jak wrócę.

– Chcesz dostać mój statek na kredyt i za obietnicę zapłaty?

– Gwarantuje.

– Co gwarantujesz? – prychnął Quatt.

– To robota ratownicza w asteroidach. Statek o nazwie „Nomad”.

– Co jest na tym „Nomadzie”? Skąd wiesz, że akcja ratownicza będzie opłacalna?

– Nie wiem.

– Kłamiesz.

– Nie wiem – mruknął uparcie Foyle. – Ale musi tam być coś cennego. Spytaj Jiz.

– Słuchaj no – powiedział Quatt. – Nauczę cię czegoś. Robimy legalne interesy, rozumiesz? Nie napadamy i nie wdajemy się w jakieś drobne spekulacje. Już tego nie robimy. Wiem co kombinujesz. Masz coś soczystego, ale z nikim nie chcesz się tym dzielić. Dlatego żebrzesz o przysługę...

Foyle zwinął się pod igłą, ale wciąż pozostając we władzy swojego opętania, zmuszony był powtórzyć:

– Nie wiem, Sam. Spytaj Jiz.

– Jeśli masz godziwy interes, czyń godziwe propozycje – rzucił Quatt ze złością. – Nie krąż dookoła jak jakiś cholerny, tatuowany tygrys, który tylko patrzy jakby tu rzucić się na ofiarę. Jesteśmy jedynymi przyjaciółmi jakich masz. Nie próbuj nas oszukiwać i kręcić...

Przerwał Quattowi krzyk, który wyrwał się z ust Foylea.

– Nie ruszaj się – powiedział roztargnionym głosem Baker. – Kiedy krzywisz twarz, nie mogę prawidłowo wprowadzić igły. – Tu posłał Jisbelli surowe, przeciągłe spojrzenie. Usta jej drżały. Gwałtownym ruchem otworzyła torebkę i wyciągnęła z niej dwa banknoty po 500 r. Rzuciła je na stolik obok zlewki z kwasem.

– Poczekamy na zewnątrz – powiedziała.

Zemdlała na korytarzu. Quatt zaciągnął ją do krzesła i poszukał pielęgniarki, która ocuciła dziewczynę aromatycznym amoniakiem. Jisbella zaczęła płakać tak gwałtownie, że Quatt przestraszył się. Odprawił pielęgniarkę i kręcił się w pobliżu, dopóki szlochanie nie ustało.

– Co, u diabła, jest grane? Co miały znaczyć te pieniądze?

– To były krwawe pieniądze.

– Że co?

– Nie chcę o tym mówić.

– Dobrze się czujesz?

– Nie.

– Mogę coś dla ciebie zrobić?

– Nie.

Nastąpiła długa pauza, po czym Jisbella spytała słabym głosem:

– Zrobisz ten interes z Gullym?

– Ja? Nie. Szansę powodzenia wyglądają mi tu na tysiąc do jednego.

– Na tym „Nomadzie” musi być coś wartościowego. Inaczej Dagenham nie prześladowałby tak Gully’ego.

– Nadal mnie to nie interesuje. A ciebie?

– Mnie? Mnie też nie. Nie chcę mieć już nic wspólnego z Gully Foylem.

Po następnej chwili milczenia Quatt spytał:

– Mogę już iść do domu?

– Ciężko było, prawda Sam?

– Z tysiąc razy myślałem, że skonam niańcząc tego tygrysa.

– Przepraszam cię, Sam.

– Naszło mnie to po tym, co ci zrobiłem, kiedy gliny capnęły cię w Memfis.

– To oczywiste, że mnie wtedy zostawiłeś, Sam.

– Zawsze robimy to co jest oczywiste, tylko czasami nie powinniśmy tego robić.

– Wiem, Sam, wiem.

– I potem spędzasz resztę życia próbując naprawić swój błąd. Tak sobie myślę, że jestem teraz szczęśliwy, Jiz. Dziś wieczorem udało mi się wyrównać ten rachunek. Mogę już iść do domu?

– Z powrotem do Joburg wieść szczęśliwe życie?

– Uhum.

– Nie zostawiaj mnie jeszcze samej, Sam. Wstydzę się sama siebie.

– Dlaczego?

– Bo byłam okrutna dla głupich zwierząt.

– Co to ma znaczyć?

– Nieważne. Posiedź ze mną troszeczkę. Opowiedz mi o tym swoim szczęśliwym życiu.

Co w nim takiego szczęśliwego?

– Dobrze – zgodził się Sam. – Szczęście to mieć wszystko, czego się chciało będąc dzieciakiem. Jeśli w wieku pięćdziesięciu lat można mieć wszystko, czego się chciało mając piętnaście lat... – i Sam Quatt zaczął snuć opowieść o symbolach, ambicjach i frustracjach swego chłopięctwa, które wreszcie zaspokoił. Przerwał dopiero na widok wychodzącego z sali operacyjnej Bakera.

– Koniec? – spytała żywo Jiz.

– Koniec. Po zaaplikowaniu mu narkozy mogłem pracować szybciej. Bandażują mu teraz twarz. Wyjdzie za parę minut.

– Jest osłabiony?

– Oczywiście.

– Kiedy będzie można zdjąć bandażę?

– Za sześć albo siedem dni.

– I jego twarz będzie czysta?

– Myślałem, że nie interesujesz się jego twarzą, moja droga. Powinna być czysta. Nie wydaje mi się, żebym przeoczył jakąś plamkę pigmentu. Możesz podziwiać moją zręczność, Jisbello... moją dalekowzroczność również. Zamierzam postawić na wyprawę ratowniczą Foyla.

– Co? – Quatt wybuchnął śmiechem. – Podejmujesz ryzyko chociaż szansę mają się jak tysiąc do jednego, Baker? Miałem cię za rozgarniętego.

– Bo jestem rozgarnięty. Ból był dla niego zbyt silny i mówił pod narkozą. Na pokładzie

„Nomada” jest dwadzieścia milionów w platynowych sztabkach.

– Dwadzieścia milionów! – Sam Quatt pociemniał na twarzy i zwrócił się do Jisbelli. Ale ona również była wściekła.

– Nie patrz tak na mnie, Sam. Nie wiedziałam o tym. Przede mną też to ukrywał. Przysięgał, że nie ma pojęcia dlaczego Dagenham go prześladowuje.

– Właśnie Dagenham mu o tym powiedział – wtrącił Baker. – To też mu się wymknęło.

– Zabiję go – powiedziała Jisbella. – Rozerwę go na strzępy moimi własnymi rękami i nie znajdziecie w jego tułowi nic prócz czarnej zgnilizny. Będzie unikatem w twoim zoo, Baker. Proszę Boga, żeby oddał go w moje ręce.

Drzwi sali operacyjnej otworzyły się i dwóch pielęgniarzy wytoczyło z niej wózek, na którym, podrygując nieznacznie, leżał Foyle. Cała jego głowa była jedną wielką kulą bandaży.

– Jest przytomny? – spytał Quatt Bakera.

– Ja to załatwię – wybuchnęła Jisbella. – Powiem temu skur... Foyle!

Spod bandaży dała się słyszeć słaba odpowiedź Foyla. W momencie, gdy Jisbella, szykując się do szturm, nabierała gwałtownie powietrza w płuca, jedna ze ścian szpitala zniknęła i rozległ się grzmot, który poderwał na nogi wszystkich obecnych. Cały budynek drżał w posadach od następujących jedna po drugiej eksplozji, a przez szczeliny w ścianach zaczęli wjauntowywać się z ulic umundurowani ludzie, niczym gawrony rzucające się na wnętrzości rozsiane po pobojuwisku.

– Nalot! – krzyknął Baker. – Nalot!

– Jezu Chryste! – Wzdrygnął się Quatt.

Umundurowani ludzie roili się po całym budynku, krzycząc:

– Foyle! Foyle! Foyle! Foyle!

Baker zniknął z cmoknięciem. Jego asystenci jauntowali się również, porzucając wózek, na którym, machając nieporadnie rękami i nogami oraz wydając słabe dźwięki, spoczywał Foyle.

– To jakiś cholerny nalot! – Quatt potrząsnął Jisbellę za ramiona. – Uciekaj, dziewczyno, uciekaj!

– Nie możemy zostawić Foyla! – krzyknęła Jisbella.

– Opamiętaj się, dziewczyno! Uciekaj!

– Nie możemy uciekać bez niego!

Jisbella chwyciła za wózek i pchając go przed sobą pobiegła korytarzem. Quatt klusował obok niej. Wrzaski w szpitalu stawały się coraz głośniejsze:

– Foyle! Foyle! Foyle!

– Zostaw go na miłość boską! – ponaglał Quatt. – Niech go sobie mają.

– Nie.

– Dziewczyno, jak nas złapią to koniec z nami.

– Nie możemy go zostawić.

Skręcili z poślizgiem za róg, wpadając w sam środek tłumu rekonwalescentów: trzepoczących skrzydłami ludzi-ptaków, pełzające po podłodze jak foki syreny, hermafrodyty, olbrzymów, pigmejów, dwugłowe bliźnięta, centaury oraz kwilącego sfinksa. Cała ta menażeria, przerażona, rzuciła się z pazurami na Jisbellę i Quatta.

– Ściągnij go z wózka! – wrzasnęła Jisbella.

Foyle niepewnie stanął na nogach. Jisbella chwyciła go pod ramię. Ciągnąc Foyla między sobą, Sam z Jisbellą wpadli do sali wypełnionej osobliwościami czasowymi Bakera... obiektami o przyspieszonym poczuciu czasu, które miały się po sali z oszałamiającą szybkością kolibrów, wydając przeszywające, nietoperzowe piski.

– Wyjauntuj go, Sam.

– Po tym jak próbował nas wykantować i nabrać?

– Nie możemy go zostawić. Teraz powinieneś już o tym wiedzieć. Wyjauntuj go do mieszkania Caistera!

Jisbella pomogła Samowi wziąć Foyla na barana. Osobliwości czasowe zdawały się wypełniać całą salę piszczącymi błyskawicami. Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Przez pomieszczenie przeleciało ze skowytem z tuzin strzałek z pistoletów pneumatycznych, strącając w locie pacjentów czasowych. Quatta cisnęło plecami o ścianę. Puścił Foyla. Na jego skroni pojawił się granatowy siniak.

– Uciekaj stąd, do diabła – ryknął Quatt. – Już po mnie.

– Sam!

– Koniec ze mną. Nie mogę jauntować. Uciekaj, dziewczyno!

Próbując otrząsnąć się z oszołomienia, które czyniło go niezdolnym do jauntowania, Quatt wyprostował się i runął jak burza na spotkanie wpadającego do sali tłumu umundurowanych ludzi. Jisbella chwyciła Foyla pod ramię i pociągnęła go przez spiżarnię, klinikę, magazyn brudnej bielizny i dalej, na dół, starożytnymi schodami, które uginały się pod ich ciężarem i wyrzucały w górę tumany termicznego pyłu.

Zbiegli do piwniczki na wiktuały. Menażeria Bakera korzystając z zamieszania wydostała się ze swych cel i rzuciła do piwnic na podobieństwo pszczoł, które w zaatakowanym ulu ponad miarę obzerają się miodem. Dziewczyna cyklopka smarowała sobie usta masłem, czerpiąc je pełnymi garściami z cebrzyka. Łypnęła na nich swoim jedynym okiem usytuowanym tuż nad nasadą nosa.

Jisbella, ciągnąc za sobą Foyla, przebiegła przez piwnicę z wiktuałami i wyważyła kopniakiem zamknięte na skobel drewniane drzwi. Potykając się, zbiegli po zmurszałych ze starości schodach i znaleźli się w pomieszczeniu spełniającym niegdyś rolę składziku na węgiel. Wstrząsy i wrzaski rozlegające się na górze brzmiały tu bardziej basowo i dudniąco. Widniejący w jednej ze ścian składziku wylot zsypu zagradzała żelazna krata zamknięta na dwie przerdzewiałe zasuwę. Jisbella położyła dłonie Foyla na zasuwach. Odciągnęli je wspólnymi siłami i przez zsyp na węgiel wygramolili się z piwnicy.

Znalazłszy się na zewnątrz Fabryki Potworów, przywarli do jej tylnej ściany. Ponad sobą mieli luki trentońskich szybów raketowych i gdy tak stali dysząc, niezdolni dobyć z siebie głosu, Jisbella ujrzała frachtowiec ześlizgujący się po wiązce antygravitacyjnej do oczekującego nań otworu. Iluminatory jarzyły się, a światła pozycyjne mrugały oświetlając tylną ścianę szpitala niczym jakiś niesamowity neon.

Z dachu szpitala rzuciła się jakaś postać. Był to Sam Quatt próbujący desperackiego lotu. Nie wiedząc co robić z rękoma i nogami poszybował w przestrzeń z zamiarem osiągnięcia bijącej w górę, antygravitacyjnej wiązki najbliższego szybu, która przechwytyjąc go w połowie drogi do ziemi złagodziłaby upadek. Wycelował idealnie. Wpadł w snop wiązki pod kątem prostym, znajdując się jeszcze siedemnaście stóp nad ziemią. Wiazka była wyłączona. Spadł i roztrzaskał się na krawędzi szybu.

Jisbella załkała. Wciąż bezwiednie trzymając Foyla pod ramie, pobiegła przez pokieroszowany beton do ciała Sama Quatta. Tam puściła Foyla i czule dotknęła głowy Quatta. Jej palce splamiła krew. Foyle szarpał bandaż, wydłubując w nim otwory na oczy. Mamrotał coś do siebie, słysząc szloch Jisbelli i krzyki dochodzące z fabryki Bakera. Pogmerał rękoma przy ciele Quatta, potem wstał i spróbował podnieść Jisbellę.

– Musimy już iść – wybełkotał. – Musimy się schować. Widzą nas.

Jisbella nawet nie drgnęła. Foyle zebrał wszystkie siły i postawił ją na nogi.

– Times Square – mruknął przyciszonym głosem. Jauntuj, Jiz!

Wokół nich pojawiły się umundurowane postacie. Foyle potrząsnął Jisbellę za ramie i jauntował się na Times Square, gdzie tłumy przebywających właśnie na ogromnej rampie jauntowców gapily się w osłupieniu na ogromnego mężczyznę z białą kulą bandaża zamiast głowy. Rampa była wielkości dwóch boisk piłki nożnej. Foyle rozejrzał się naokoło, niewiele widząc przez przesłaniający mu oczy opatrunek. Nie dostrzegł ani śladu Jisbelli, mogła jednak gdzieś tu być. Podniósł głos do krzyku.

– Montauk, Jiz! Montauk! Rampa Kaprys!

Foyle jauntował się na ostatnim impulsie energii. Od Block Island wiał lodowaty, północno-wschodni wiatr, rozsiewając kruche kryształki lodu po rampie wkomponowanej

w średniowieczne ruiny zwane „Szaleństwem Fischera”. Na rampie znajdowała się druga osoba. Foyle ruszył ku niej chwiejnym krokiem, brnąc pod wiatr gnający tumany śniegu. To była Jisbella. Wyglądała na zmarzniętą i zagubioną.

– Dzięki Bogu – wymamrotał Foyle. – Dzięki Bogu. Gdzie Sam trzyma swojego Weekendowicza? – potrząsnął Jisbellę za łokieć. – Gdzie Sam trzyma swojego Weekendowicza?

– Sam nie żyje.

– Gdzie on trzyma tego Saturnowego Weekendowicza?

– Odszedł. Sam odszedł. Już się nie będzie bał.

– Gdzie jest statek, Jiz?

– Na przystani, koło latarni morskiej.

– Chodź.

– Dokąd?

– Na statek Sama. – Foyle podsunął Jisbelli pod nos swoją wielką łapę. Na jego dłoni spoczywał pęk błyszczących kluczy.

– Zabrałem jego klucze. Chodź.

– Dał ci?

– Znalazłem je przy jego trupie i zabrałem.

– Hiena! – wybuchnęła śmiechem. – Kłamca... Rozpustnik... Tygrys... Hiena. Nowotwór złośliwy... Gully Foyle.

Niemniej jednak poszła za nim przez śnieżyce do Montauk Light.

* * *

Do trzech akrobatów w upudrowanych perukach, czterech obwieszonych ozdobami kobiet dźwigających pytony, dziecka o złocistych kędziorach i ustach cynika, zawodowego pojedyńkowicza w średniowiecznej zbroi oraz człowieka ze sztuczną szklaną nogą – akwarium, w którym pływała złota rybka, Saul Dagenham powiedział:

– W porządku, operacja zakończona. Odwołać resztę i powiedzieć im, żeby zameldowali się w kwaterze Courier.

Towarzyszące show artystyczne jauntowało się i zniknęło. Regis Sheffield przetarł oczy.

– Co to za wariactwo, Dagenham? – spytał.

– Wstrząsnęło twoim prawniczym umysłem, co? Widziałeś cześć obsady naszej standardowej operacji ZFZK. Zabawa, Fantazja, Zamieszanie i Katastrofa. – Dagenham zwrócił się do Presteigna uśmiechając się doń swoim uśmiechem denata. – Jeśli chcesz,

Presteignie, zwróć ci twoją zaliczkę.

– Nie kończysz roboty?

– Wprost przeciwnie. Dobrze się bawię. Będę pracował za darmo! Nigdy nie miałem do czynienia z człowiekiem kalibru Foyla. On jest wyjątkowy.

– Pod jakim względem? – spytał Sheffield.

– Zaaranżowałem jego ucieczkę z Gouffre Martel. Uciekł, w porządku, ale nie tak, jak planowałem. Zamieszaniem i katastrofą próbowałem osłaniać go przed policją. Wyprowadził policję w pole, ale nie dzięki mnie – po swojemu. Zabawą i fantazją chciałem uchronić go przed dostaniem się w łapy Centrali Wywiadowczej. Pozostał na wolności... znowu dzięki sobie. Próbowałem tak pokierować jego krokami, żeby znalazł podstawiony statek i wyruszył na nim po „Nomada”. Nie chwycił przynęty, ale ma statek. Właśnie wystartował.

– Śledzicie go?

– Naturalnie. – Dagenham zawahał się. – Tylko co on robił w fabryce Bakera?

– Operacja plastyczna? – rzucił myśl Sheffield. – Nowa twarz?

– Niemożliwe. Baker jest dobry, ale nie mógł w tak krótkim czasie przeprowadzić operacji plastycznej. To musiał być jakiś mniejszy zabieg. Foyle był na nogach z obandażowaną głową.

– Tatuaz – odezwał się Presteign.

Dagenham skinął głową i uśmiechnął się lewym kącikiem ust.

– Tego się właśnie obawiam. Czy zdajesz sobie sprawę, Presteignie, że jeżeli Baker usunął mu tatuaz, to nigdy nie rozpoznamy Foyla?

– Przecież jego twarz się nie zmieniła, mój drogi Dagenhamie.

– Nigdy nie widzieliśmy jego twarzy... jedynie maskę.

– Ja nigdy się z nim nie zetknąłem – wtrącił Sheffield.

– Co to za maska?

– Maska tygrysa. Przeprowadziłem z Foylem dwie długie rozmowy. Powinienem znać jego twarz na pamięć, ale tak nie jest. Wszystko co mogę sobie przypomnieć, to ten tatuaz.

– To śmieszne – powiedział otwarcie Sheffield.

– Nie ma w tym nic śmiesznego. Żeby w to uwierzyć trzeba było zobaczyć twarz Foyla. Ale to nic. Zaprowadzi nas do „Nomada”. Zaprowadzi nas do twoich sztabek i do PirE, Presteignie. Niemal żałuje, że to już koniec. No, może prawie koniec. Jak już wspomniałem, dobrze się bawię. On naprawdę jest wyjątkowy.

ROZDZIAŁ 7

Swoją konstrukcją Saturnowy Weekendowicz przypominał jacht spacerowy; był spory dla czterech osób, przestronny dla dwóch, nie dość jednak przestronny dla Foyla i Jiz McQueen. Foyle spał w kabinie głównej, Jiz zajęła dla siebie kabinę luksusową.

W siódmym dniu podróży przez kosmos, Jisbella odezwała się do Foyla po raz drugi:

– Zdejmijmy te bandaże, Hieno.

Foyle opuścił kuchnię, gdzie w ponurym nastroju podgrzewał sobie kawę i odepchnąwszy się nogą od framugi pożegłował do łazienki. Wpłynął tam za Jisbellą i wklinował się w niszę przed lustrem umywalki. Jisbella przypięła się klamrą do miednicy, otworzyła kapsułkę z eterem i zwilżając obficie bandaż zaczęła go zdzierać bezlitosnymi nienawidzącymi rękoma. Pasma gazy oddzielały się powoli. Foyle cierpiał męką niepewności.

– Sądziś, że Baker dobrze się spisał? – zapytał.

Nie było odpowiedzi.

– Czy mógł coś opuścić?

Zdzieranie trwało nadal.

– Jiz, na miłość boską! Ciągłe jest wojna między nami?

Ręce Jisbelli znieruchomiały. Popatrzyła z nienawiścią na obandażowaną głowę Foyla.

– A jak uważasz?

– Ciebie pytam.

– Proszę bardzo: tak.

– Dlaczego?

– Nigdy nie zrozumiesz.

– To zrób tak, żebym zrozumiał.

– Zamknij się.

– Jeżeli to wojna, to dlaczego lecisz ze mną?

– Żeby zabrać to, co się należy Samowi i mnie.

– Pieniądze?

– Zamknij się.

– Nie musiałaś lecieć. Mogłaś mi zaufać.

– Tobie zaufać? Tobie? – Jisbella roześmiała się bez cienia wesołości i znowu przystąpiła do odwijania bandaża.

Foyle odtrącił jej rękę.

– Sam to zrobię.

Chlasnęła go w obandażowany policzek.

– Będziesz robił to, co ci każę. Stój spokojnie. Hiena!

Odwinęła jeszcze jedno pasmo gazy odsłaniając oczy Foyla. Wpatrywały się w nią ciemne, nieobecne. Powieki były czyste; nasada nosa też. Opadł pas bandaża z brody Foyla. Broda była granatowa. Foyle, patrząc przez cały czas w lustro, jęknął z rozpaczy.

– Opuścił brodę! – wykrzyknął. – A to bęcwał z tego Bakera...

– Zamknij się – ucięła krótko Jisbella. – To zarost.

Opadły ostatnie warstwy opatrunku, odsłaniając policzki, usta i brew. Brew była czysta. Policzki pod oczyma były czyste. Resztę twarzy pokrywała granatowa, siedmiodniowa szczecina.

– Ogól się – rozkazała Jisbella.

Foyle odkręcił wodą, zwilżył twarz, wtarł w nią maść do golenia i zmył zarost. Potem przysunął twarz blisko do lustra i przyglądał się sobie nieświadomy, że Jisbella, przysunawszy swą głowę do jego policzka, również z napięciem wpatruje się w lustro. Po tatuażu nie pozostało ani śladu. Oboje odetchnęli z ulgą.

– Czysta – odezwał się Foyle. – Czysta. Dobrze to zrobił. – I ni stąd ni zowąd pochylił się jeszcze bardziej w przód i przyjrzał się sobie uważniej. Własna twarz wydawała mu się jak nowa, równie nowa jak dla Jisbelli.

– Zmieniłem się. Nie pamiętam, żebym tak wyglądał. Czy on mi zrobił przy okazji operację plastyczną?

– Nie – powiedziała Jisbella. – Zmieniło cię to, co w tobie siedzi. To co widzisz w lustrze to hiena do spółki z kłamcą i oszustem.

– Na miłość boską! Odczep się! Daj mi wreszcie spokój!

– Hiena – powtórzyła Jisbella przeszywając Foyla pałającym wzrokiem. – Kłamca. Oszust.

Pochwycił ją za ramiona i wypchnął z łazienki. Poleciała do tyłu i po schodkach zejściówki prowadzących pod pokład runęła do świetlicy, czepiając się po drodze pionowego pręta prowadzącego i wirując wokół niego.

– Hiena – krzyczała. – Kłamca! Oszust! Hiena! Rozpustnik! Zwierzę!

Foyle pognął za nią, dopadł dziewczynę na dole i potrząsnął gwałtownie. Rude włosy Jiz

wymknęły się spod spinki, która zbierała je w kok i rozsypały jak pukle ruszałki. Jej płonące spojrzenie doprowadzało Foyle'a do pasji. Objął ją i przywarł swą nową twarzą do jej piersi.

– Rozpusztnik – wymruczała Jiz. – Zwierzę...

– Och, Jiz...

– Światło – szepnęła Jisbella.

Foyle sięgnął na oślep do wyłącznika ściennego i nacisnął przycisk. Saturnowy Weekendowicz mknął dalej w stronę asteroidów z wygaszonymi iluminatorami.

Unosili się razem w kabinie godzinami, drżąc, pomrukując i dotykając się czule.

– Biedny Gully – szeptała Jisbella. – Biedny, kochany Gully...

– Nie biedny – odpowiedział. – Bogaty i to już niedługo.

– Tak, bogaty i pusty. Nic nie masz w środku, mój drogi Gully... Nic prócz nienawiści i żądzy zemsty.

– To mi wystarczy.

– Wystarczy na teraz, ale co później?

– Później? To zależy.

– To zależy od twego wnętrza, Gully, od tego co zdołasz w nim zamknąć.

– Nie. Moja przyszłość zależy od tego, czego się pozbędę.

– Gully... dlaczego nie byłeś ze mną szczerzy w Gouffre Martel? Dlaczego nie powiedziałeś mi o fortunie znajdującej się na pokładzie „Nomada”, chociaż o niej wiedziałeś?

– Nie mogłem.

– Nie ufałeś mi?

– Nie, to nie to. Nie potrafiłem się przełamać. To przez to, co we mnie siedzi... przez to, czego muszę się pozbyć.

– Znowu tracisz panowanie nad sobą, co Gully? Ponosi cię.

– Tak, ponosi mnie. Nie mogę nauczyć się panowania nad sobą, Jiz. Chce, ale nie potrafię.

– A próbujesz?

– Próbuję. Bóg mi świadkiem. Próbuję. Ale potem coś się staje i...

– I wtedy miotasz się jak tygrys.

– Gdybym tak mógł nosić cię w kieszeni, Jiz... żebyś mnie ostrzegała... żebyś mnie czasem uszczypnęła...

– Nikt nie może robić tego za ciebie, Gully. Musisz nauczyć się samego siebie.

Trawił przez chwile jej słowa, po czym odezwał się z wahaniem w głosie:

– Jiz... co do pieniędzy...

– Do diabła z pieniędzmi.

– Daj mi jednak powiedzieć.

– Och, Gully.

– Tylko nie pomyśl sobie... nie pomyśl sobie, że chcę cię oszukać. Gdyby to nie było na „Vorgę”, oddałbym ci tyle, ile byś chciała. Oddałbym ci wszystko! Kiedy załatwię te sprawę, oddam ci do ostatniego centa wszystko co zostanie. Ale jestem nawiedzony, Jiz. „Vorga” jest twarda... zważywszy, że na drodze do niej stoją Presteign, Dagenham i ten prawnik Sheffield. Musze się liczyć z każdym centem, Jiz. Boję się, że jeśli pozwolę zabrać ci chociaż jedną kredytkę, to zaważy to na mojej wojnie z „Vorgą”. – Czekał chwile. – Co ty na to?

– Jesteś całkiem opętany – powiedziała znużonym głosem. – Nie trochę. Właśnie całkiem.

– Nie.

– Tak, Gully. To tylko twoja powłoka kocha się ze mną. Reszta żyje „Vorgą”.

W tym samym momencie w sterowni dziobowej rozległ się alarm radarowy – przykry w brzmieniu i ostrzegający.

– Miejsce przeznaczenia – zero – mruknął Foyle. Odprężenie zniknęło. Był znowu opętany. Pomknął jak strzała w kierunku sterowni.

* * *

Tak więc powrócił na niezwykłą planetoidę w pasie asteroidów rozciągającym się między Marsem a Jowiszem, na planetkę Sargasso skleconą ze skały, wraków i strzępów ocalonych z kosmicznych katastrof przez Ludzi Naukowych. Powrócił do Josepha i jego Ludzi, którzy wytatuowali mu na twarzy imię NOMAD i skojarzyli go naukowo z dziewczyną imieniem Moira.

Foyle nadleciał nad asteroid z dziką furią wandalą–najeźdźcy. Jak piorun wyprysnął z przestrzeni, wyhamował pianą płomieni z dysz dziobowych i z fantazją wprowadził Weekendowicza na orbitę tej sterty złomu. Wirowali wokoło mijając ciemne iluminatory, wielkie luki, przez które wychodził Joseph ze swoimi Ludźmi Naukowymi udając się na połów kosmicznego śmiecia, nowy krater, który wyrwał w asteroidzie Foyle, uciekając stąd swego czasu na Ziemię. Przemknęli obok gigantycznego zlepku okien cieplarni asteroidu, z której gapiły się na nich setki twarzy – maleńkich, bladych punkcików, pocętkowanych tatuażami.

– A więc ich nie wymordowałem – mruknął Foyle. – Wycofali się w głąb asteroidu... Mieszkają prawdopodobnie gdzieś głęboko pod powierzchnią, starając się naprawić resztę.

– Pomożesz im, Gully?

– A po co?

– Przecież to ty wyrządziłeś te szkody.

– Do diabła z nimi. Mam swoje zmartwienia. Ale to ulga. Nie będą nam zawracać głowy. Okrążyli jeszcze raz asteroid i wprowadzili Weekendowicza w czeluść nowego krateru.

– Będziemy pracować stąd – powiedział Foyle. – Ubierz się w skafander, Jiz. Prędszej! Prędszej!

Poganiał ją, oszalały z niecierpliwości; poganiał sam siebie. Nałożyli skafandry próżniowe, wyszli z Weekendowicza i przedzierając się przez rupiecie zaśmiecające krater, przedostali się do ponurych wnętrzości asteroidu. Przypominało to czołganie się krętymi tunelami, wydrążonymi przez jakiegoś gigantycznego robaka. Foyle włączył mikrofalówkę zainstalowaną w skafandrze i przemówił do Jiz:

– Nie musisz się bać, że tu zabłądzimy. Trzymaj się mnie. Trzymaj się blisko.

– Dokąd idziemy, Gully?

– Do „Nomada”. Pamiętam, że kiedy odlatywałem, w cementowali go w asteroid. Nie pamiętam tylko gdzie. Musimy go odnaleźć.

W korytarzach nie było powietrza, posuwali się więc bezgłośnie, nie licząc wibracji przenoszonych poprzez metal i skały. Przystanęli przy podziobanym kadłubie starożytnego statku wojennego, aby zaczerpnąć tchu. Oparli się o niego plecami i wtedy poczuli wibracje nadawanych z wewnątrz sygnałów rytmicznego stukania.

Foyle uśmiechnął się zawzięcie.

– To Joseph i jego Ludzie Naukowi – powiedział. – Domagają się kilku słów wyjaśnienia. Dam im wymijającą odpowiedź. – Walnął dwa razy w kadłub. – A teraz osobista wiadomość dla mojej żony. – Twarz mu pociemniała. Grzmotnął ze złością w kadłub i odwrócił się. – Chodź. Idziemy.

Sygnały ściagały ich jednak w dalszym ciągu. Stało się oczywiste, iż zewnętrzna warstwa asteroidu została opuszczona przez jego mieszkańców; plemię wycofało się do środka planетки. Wtem, daleko w głębi szybu wykutego w aluminium otworzył się luk i w buchającym zeń snopie światła ukazał się Joseph w celofanowym skafandrze próżniowym. Stał tam w swym niezgrabnym worku gapiąc się swymi diabelskimi oczyma, składając błagalnie ręce i poruszając diabelskimi ustami.

Foyle utkwivszy wzrok w starcu postąpił krok w jego kierunku i zatrzymał się, zaciskając pięści z narastającą furią. Grdyka chodziła mu w górę i w dół. Patrząc na Foylea, Jisbella krzyknęła z przerażenia. Na jego twarzy powrócił stary tatuaż krwawoczerwony na tle bladości twarzy, szkarłatny zamiast czarnego – prawdziwie tygrysia maska, zarówno pod względem barwy jak i wzoru.

– Gully! – krzyknęła. – Mój Boże! Twoja twarz!

Foyle puścił jej słowa mimo uszu. Stał wpatrując się w Josepha, który czyniąc błagalne

gesty rękoma zapraszał ich, aby weszli do wnętrza asteroidy, po czym zniknął. Dopiero wtedy Foyle zwrócił się do Jisbelli:

– Co? Coś mówiłaś?

Poprzez przezroczystą kulę hełmu widziała wyraźnie jego twarz. I w miarę jak wściekłość Foyle opadała, Jisbella dostrzegła, że krwawoczerwony tatuaż blednie i znika.

– Widziałaś tego pajaca? – spytał Foyle. – To był Joseph. Widziałaś jak po tym co mi zrobili prosił i błagał...? Mówiłaś coś?

– Twoja twarz, Gully. Wiem co się stało z twoją twarzą.

– O czym ty mówisz?

– Chciałeś czegoś, co kontrolowałoby twoje zachowanie, Gully. No więc masz to. Własną twarz. Ona... – Jisbella zaczęła się histerycznie śmiać. – Będziesz się teraz musiał nauczyć panowania nad sobą, Gully. Nigdy nie będziesz mógł pofolgować emocjom... żadnym emocjom... bo...

Ale Foyle patrzył gdzieś ponad nią i nagle jak strzała wypuszczona z łuku wyprysnął z wrzaskiem z aluminiowego szybu. Zatrzymał się jak wryty przed otwartymi drzwiami i zaczął wydawać tryumfalne okrzyki. Były to drzwi do schowka na narzędzia cztery na cztery na dziewięć stóp. W schowku znajdowały się półki oraz walały się stare zapasy żywności i puste pojemniki. To była trumna Foyle na pokładzie „Nomada”.

Josephowi i jego ludziom udało się włączyć wrak do asteroidy, zanim rzeźnia wywołana ucieczką Foyle uniemożliwiła dalsze prace. Wnętrze statku pozostało praktycznie nietknięte. Foyle chwycił Jisbellę za ramię i pociągnął ją na krótką wycieczkę po „Nomadzie”. Zakończyli obchód w kabinie płatnika statku, gdzie Foyle tak długo darł kupy śmieci i połamanych gratów zawałających pomieszczenie, dopóki nie odsłonił masywnej, stalowej kuli, gładkiej i niedostępnej.

– Mamy teraz do wyboru – wysapał. – Albo oderwać sejf od kadłuba i zabrać go ze sobą na Ziemię, gdzie będziemy mogli spokojnie nad nim popracować, albo otworzyć go tutaj. Może Dagenham kłamał. Tak czy owak wszystko zależy od tego, jakie narzędzia miał Sam na Weekendowiczu. Wracamy na statek, Jiz.

Uwijając się w poszukiwaniu narzędzi po powrocie na Weekendowicza, nie zauważył nawet jej milczenia i zaabsorbowania.

– Nic nie ma! – wykrzyknął w końcu rozwścieczony. – Nie ma na pokładzie ani młotka, ani wiertła. Nic prócz otwieraczy do butelek i racji żywnościowych.

Jisbella nie odpowiedziała. Ani na chwilę nie spuszczała wzroku z jego twarzy.

– Czego się tak na mnie gapisz. – zawołał Foyle.

– Jestem zafascynowana – odparła wolno Jisbella.

- Czym?
- Coś ci pokażę, Gully.
- Co?
- Jak bardzo tobą gardzę.

Jisbella wymierzyła Foyleowi policzek, potem drugi i trzeci. Foyle poderwał się z furją, czując piekący ból twarzy. Jisbella podsunęła mu pod nos lusterko.

- Spójrz na siebie, Gully – powiedziała spokojnie. – Spójrz na swoją twarz.

Spojrzał. Zobaczył stare linie tatuażu płonące pod skórą krwawoczerwoną barwą, przekształcające jego twarz w szkarłatno-białą maskę tygrysa. Był tak sparaliżowany tym przerażającym widokiem, że jego wściekłość ulotniła się bez śladu i jednocześnie zniknęła maska.

- Mój Boże... wyszeptał. – O mój Boże...
- Musiałam cię zdenerwować, żeby ci to pokazać – powiedziała spokojnie Jisbella.
- Co to ma znaczyć, Jiz? Czy Baker spieprzył robotę?

– Nie sędzę. Myślę, że masz blizny pod skórą, Gully... po oryginalnym tatuażu, a także od jego wywabiania. Blizny po igle. Normalnie ich nie widać, ale pokazują się, kiedy twoje emocje biorą górę i twoje serce zaczyna pompować krew... kiedy jesteś wściekły lub przestraszony, albo namiętny, albo opętany... Rozumiesz?

Potrząsnął głową przypatrując się ciągle swej twarzy i dotykając jej z niedowierzaniem.

– Powiedziałeś, że chciałbyś mnie nosić w kieszeni, żebym ciebie szczypała, ilekroć stracisz panowanie nad sobą. Masz teraz coś lepszego, Gully, albo może coś gorszego, biedaku. Masz teraz swoją twarz.

- Nie! – jęknął Foyle. – Nie!

– Nie możesz nigdy stracić kontroli nad sobą, Gully. Nigdy nie będziesz mógł pić za dużo, jeść za dużo, kochać się za dużo, nienawidzić za bardzo... Musisz trzymać się w żelaznych korbach.

– Nie! – zaprotestował rozpaczliwie. – To można usunąć. Baker to potrafi, albo kto inny. Nie mogę spacerować po świecie w ciągłym strachu, żeby czegoś nie poczuć, bo przemieni mnie to w dziwoląga!

- Nie sędzę, żeby można to było usunąć, Gully.

– Przeszczep skóry...

– Nie. Te blizny są zbyt głęboko, żeby przeszczep coś tu pomógł. Nigdy nie pozbędziesz się tego piętna, Gully. Musisz nauczyć się z tym żyć.

W nagłym napadzie wściekłości, Foyle odrzucił od siebie lusterko i pod jego skórą znowu rozogniła się krwawoczerwona maska. Odbił się gwałtownym pchnięciem od ściany

i wyprysnął z kabiny do głównej śluzy, gdzie ściągnął z wieszaka skafander i zaczął się w niego ubierać.

– Gully, dokąd idziesz? Co chcesz zrobić?

– Zdobyć narzędzia – warknął. – Narzędzia do sejfu.

– Gdzie?

– W asteroidzie. Mają tam z tuzin składów zapchanych narzędziami z rozwalonych statków. Muszą tam być wiertła... w ogóle wszystko, czego potrzebuję. Nie idź ze mną. Mogą być kłopoty. Jak teraz z moją cholerną gębą? Pokazało się? Chryste, mam nadzieję, że będą kłopoty!

Uszczelnił skafander i wrócił do asteroidu. Odszukał luk oddzielający zamieszkałe jądro od zniszczonej warstwy zewnętrznej i zabębnił w klapę. Poczekał chwile i zabębnił znowu. Powtarzał to ponaglące wezwanie, aż wreszcie kłapa luku uchyliła się. Spoza niej wysunęło się ramie, wciągnęło go do środka i kłapa zatrzasnęła się za nim. Luk nie miał śluzy powietrznej.

Mrugał, oślepiiony jaskrawym światłem, spoglądając spode łba na zgromadzonych przed nim Josepha i jego niewinnych ludzi o straszliwie przyozdobionych twarzach. Wiedział już, że jego własne oblicze musi płonąć czerwienią i bielą, gdyż dostrzegł jak Joseph się wzdryga i widział jak diabelskie usta starca wykrzywiają się wymawiając sylaby: NO–MAD. Foyle podszedł do niego roztrącając brutalnie tłum i chlasnął Josepha na odlew w twarz swoją opancerzoną w rękawice skafandra dłonią.

Zaczął przetrząsać niezamieszkałe korytarze, przypominając sobie jak przez mgłę ich układ, aż dotarł do komory – w połowie naturalnej pieczary, w połowie starożytnego kadłuba – w której przechowywane były narzędzia.

Plądrował i grzebał zbierając wiertła, koronki diamentowe, termity, ziarna ściernie, żelatynę wybuchową i zapalniki. W obracającym się powoli asteroidzie, waga brutto tego sprzętu nie przekraczała stu funtów. Zwalił wszystko na stos, obwiązał z grubsza kablem i opuścił jaskinię–magazyn.

Joseph i jego Ludzie Naukowi czekali na niego jak pchły czyhające na wilka. Rzucili się na Foyle, a on grzmocił na prawo i lewo siejąc spustoszenie wśród napastników, zachwycony, okrutny. Pancierz skafandra chronił go przed ich atakami, szedł więc dalej korytarzem, szukając luku prowadzącego na zewnątrz w próżnię i niewiele sobie robiąc z zaciekłości Ludzi Naukowych.

Wtem w słuchawkach rozległ się cichutki, podniecony głos Jisbelli:

– Gully, słyszysz mnie? Mówi Jiz. Gully, słuchaj mnie.

– Dalej, mów.

– Dwie minuty temu nadleciał inny statek. Dryfuje teraz po drugiej stronie asteroidu.

– Co takiego?

– Jest pomalowany w żółto–czarne pasy. Wygląda jak szerszeń.

– To barwy Dagenhama!

– A zatem byliśmy śledzeni.

– Cóż innego? Dagenham miał mnie prawdopodobnie na oku cały czas od kiedy zwialiśmy z Gouffre Martel. Idiota ze mnie, że o tym nie pomyślałem. Musimy działać szybko, Jiz. Wskakuj w skafander i dołącz do mnie na „Nomadzie”. Będę w kabinie płatnika. Pośpiesz się, mała.

– Ależ, Gully...

– Wyłącz się. Mogą prowadzić nasłuch na naszym paśmie. Pospiesz się!

Pognał przez asteroid, dopadł do okratowanego luku, przedarł się przez pilnującą go straż, wyważył kłapę i wypadł w próżnię zewnętrznych korytarzy. Ludzie Naukowi byli zbyt zaabsorbowani rozpaczliwym zamykaniem luku, żeby puścić się za nim w pogoń. Wiedział jednak, że potem będą go ścigali; byli rozjuszeni.

Wijąc się i skręcając doholował swój masywny bagaż do wraka „Nomada”. Jisbella czekała już na niego w kabinie płatnika. Uczyniła ruch, chcąc włączyć swoją mikrofalówkę, ale Foyle powstrzymał ją. Przyłożył swój hełm do jej kasku i krzyknął:

– Nie używaj fal radiowych. Będą prowadzili nasłuch i zlokalizują nas przez namierzanie. Słyszysz mnie teraz, co?

Skinęła głową.

– W porządku. Mamy może z godzinę, zanim Dagenham nas zlokalizuje. Upłynie godzina, zanim przyjdzie tu Joseph ze swoją bandą. Znajdujemy się w cholernym położeniu. Musimy działać szybko.

Znowu skinęła głową.

– Nie ma czasu na otwieranie sejfu i przenoszenie sztabek.

– Jeśli w ogóle tam są.

– Dagenham tu jest, prawda? To najlepszy dowód na to, że sztabki też tu są. Musimy wyrwać cały sejf z „Nomada” i zataszczyć go na Weekendowicza. Potem pryskamy stąd.

– Ale...

– Słuchaj mnie i rób co mówię. Wracaj na Weekendowicza i opróżnij go. Wyrzuć wszystko, czego nie potrzebujemy... wszystkie zapasy, oprócz awaryjnych racji żywnościowych.

– Dlaczego?

– Dlatego, że nie wiem ile ton waży ten sejf. Gdy powróci grawitacja, statek może go nie

udźwignąć. Musimy wziąć to z góry pod uwagę. Droga powrotu będzie ciężka, ale opłaci się. Patroszymy statek. Szybko! Pośpiesz się, mała, pośpiesz się!

Popchnął ją i nie patrząc więcej w jej stronę przypuścił szturm na sejf. Była to masywna, stalowa kula o średnicy jakichś czterech stóp, wbudowana w stal konstrukcyjną kadłuba. Przyspawano ją do płatów blach stanowiących poszycie kadłuba „Nomada” i do jego wręg w dwunastu różnych miejscach. Foyle zaatakował kolejno każdą ze spoin kwasami, wiertłami, termitem i czynnikami oziębiającymi. Pracował, stosując się do teorii odkształceń sieci krystalicznej metali... podgrzewał, zamrażał i trawił stal, dopóki jej struktura krystaliczna nie uległa zdeformowaniu, a wytrzymałość fizyczna zniszczeniu. Męczył metal.

Jisbella wróciła po czterdziestu pięciu minutach. Foyle ociekał potem i chwiał się na nogach, ale odłączona od kadłuba kula sejfu unosiła się swobodnie w próżni. Z jej powierzchni sterczało dwanaście chropawych guzów. Foyle dawał Jisbelli ponagląjące znaki, aby wraz z nim naparła ciężarem swojego ciała na sejf. Jednak nawet wspólnymi siłami nie mogli poruszyć z miejsca jego masy. Gdy osłabli wreszcie, wyczerpani włożonym wysiłkiem i desperacją, jakiś cień przesłonił na chwile, światło słoneczne, wpadające poprzez dziury w kadłubie „Nomada”. Spojrzeli w górę. W odległości nie większej jak ćwierć mili od asteroidu sunął statek kosmiczny. Foyle przytknął swój hełm do kasku Jisbelli.

– To Dagenham – wysapał. – Szuka nas. Wysadził już pewnie oddział, który przeczesuje teraz asteroid. Jak tylko spikną się z Josephem, przyjdą tutaj.

– Och, Gully...

– Wciąż jeszcze mamy szansę. Może będą musieli zrobić dwa okrążenia, zanim znajdą naszego Weekendowicza. Jest przecież ukryty w wyrwie. Może tymczasem zdążymy załadować sejf na pokład.

– Ale jak, Gully?

– Sam nie wiem. Diabli nadali! Nic mi nie przychodzi do głowy. – Walnął z bezsilną wściekłością obiema pięściami w stalową kulę. – Jestem skończony.

– A nie moglibyśmy tego rozsadzić?

– Rozsadzić...? No i co, bomby zamiast mózgów? I to mówi Myśląca McQueen?

– Posłuchaj tylko. Potraktuj sejf czymś wybuchowym. To podziała jak silnik rakietowy... no, da odrzut.

– Tak, myślałem o tym. Ale co potem? Jak załadujemy ten bąbel na statek? Nie możemy co chwila powodować wybuchów. Nie mamy na to czasu.

– Nie. Naprowadzimy statek na sejf.

– Co takiego?

– Wystrzelimy sejf prosto w kosmos. Potem zbliżymy się do niego statkiem i tak

będziemy manewrowali, żeby sejf sam wpłynął do głównej śluzy. Tak, jakbyś łapał piłkę, w kapelusz. Rozumiesz?

Zrozumiał.

– Na Boga, Jiz, to może się udać. – Foyle rzucił się do sterty sprzętu i zaczął wybierać z niej laseczki żelatyny wybuchowej, zapalniki i zawlecзки.

– Będziemy musieli skorzystać z mikrofalówki. Jedno z nas zostaje przy sejfie, drugie pilotuje statek. Człowiek przy sejfie naprowadza na cel człowieka w statku przez radio. Zgoda.

– Zgoda. Ty jesteś lepszym pilotem, Gully. Ja będę naprowadzać.

Kiwnął głową, zajęty przymocowywaniem materiału wybuchowego do powierzchni sejfu i zakładaniem zapalników z zawleczkami. Potem przyłożył swój hełm do jej.

– To zapalniki próżniowe, Jiz. Są nastawione na dwie minuty. Kiedy dam sygnał przez radio, ściągnij tylko zawlecзки z zapalników i szybko usuń się z drogi. Dobrze?

– Dobrze.

– Trzymaj się blisko sejfu. Jak tylko wprowadzisz go do statku, wchodź zaraz za nim. Na nic się nie oglądaj. To by było wszystko.

Klepnął ją w plecy i wrócił do Weekendowicza. Luk główny zostawił otwarty, tak samo wewnętrzne drzwi śluzy powietrznej. Powietrze natychmiast uleciało ze statku. Pozbawiony powietrza i opróżniony przez Jisbellę, wyglądał ponuro i przygnębiająco.

Foyle pognął prosto do sterowni, zasiadł w fotelu pilota i włączył mikrofalówkę.

– Uwaga – rzucił przyciszonym głosem. – Wychodzę w kosmos.

Włączył silniki odrzutowe, odpalił boczne, a po trzech sekundach dziobowe. Weekendowicz drgnął i strząsając z grzbietu i burt rupiecie jak wynurzający się na powierzchnię wieloryb, wysunął się rufą do przodu z czeluści krateru.

– Dynamit, Jiz! Teraz! – zawołał Foyle.

Nie było słycać wybuchu; nie było widać błysku. Pod nim, w asteroidzie otworzyła się nowa wyrwa, a z niej trysnął w górę kwiat gruzu, prześcigając w szalonym pędzie matową, stalową kulę, która bez pośpiechu płynęła sobie z tyłu, obracając się w leniwym wirze.

– Wolniej – rozległ się w słuchawkach opanowany i fachowy głos Jisbelli. – Za szybko cofasz. A tak nawiasem mówiąc, nadchodzą kłopoty.

Przyhamował silnikami rufowymi i z niepokojem spojrział w dół. Powierzchnia asteroidu roiała się od trutki. Był to oddział ekspedycyjny Dagenhama w skafandrach próżniowych w czarno–żółte pasy. Naprzykrzali się samotnej figurce w bieli, która wymykała się im, kluczyła i zwodziła. To była Jisbella.

– Tak trzymaj – odezwała się spokojniej Jiz, chociaż słyszał jak ciężko oddycha. –

Troszeczkę wolniej... Zrób ćwierć obrotu.

Prawie automatycznie wypełniał jej polecenia, nie odrywając oczu od rozgrywającej się w dole szamotaniny. Burta Weekendowicza przesłaniała całkowicie widok na trajektorię zbliżającego się sejfu, ale Jisbellę i ludzi Dagenhama widział cały czas. Jiz odpaliła silniczkę rakietową swego skafandra... dostrzegł cieniutką strużkę płomienia tryskającą z jej pleców... i odrywając się od powierzchni asteroidu, poszybowała w górę. Z pleców ścigających ją ludzi Dagenhama trysnęło ze dwadzieścia takich samych płomyczków. Sześciu z nich zaniechało pościgu za Jisbellą i pomknęło w kierunku Weekendowicza.

– Zaraz będzie blisko, Gully. – Jisbella dyszała teraz ciężko, ale jej głos był nadal spokojny. – Statek Dagenhama wylądował po drugiej stronie, ale ci tutaj dali mu już pewnie znać i zaraz się tu pojawi. Tak trzymaj, Gully. Przez jakieś dziesięć sekund...

Trutnie zbliżyły się i opadły maleńki biały skafander.

– Foyle! Słyszysz mnie? Foyle?! – głos Dagenhama dochodził zrazu poprzez trzaski, ale po chwili stał się wyraźny. – Na twoim paśmie mówi Dagenham. Odezwij się, Foyle!

– Jiz! Jiz! Potrafisz się od nich uwolnić?

– Trzymaj swoją pozycję, Gully... Nadchodzi! Idzie prosto na luk!

Weekendowiczem targnął potężny wstrząs. To wolno płynący, ale masywny sejf wpadł do luku głównego. W tym samym momencie figurka w białym skafandrze wyrwała się rojowi os. Ścigana trop w trop zbliżała się teraz pchana odrzutem swych rakietek do Weekendowicza.

– Gazu, Jiz! – Gazu! – darł się Foyle. – Dawaj, mała, dawaj!

Gdy Jisbellą zniknęła mu z pola widzenia za burtą Weekendowicza, Foyle nastawił urządzenia kontrolne i przygotował się do maksymalnego przyspieszenia.

– Foyle! Odpowiedz mi wreszcie? Mówi Dagenham.

– Diabli z tobą, Dagenham – krzyknął Foyle. – Jiz, daj mi znać jak będziesz już na pokładzie i złap się czegoś.

– Nie mogę, Gully.

– Dawaj, mała!

– Nie mogę dostać się na pokład. Sejf blokuje luk. Zaklinowałem się w pół drogi...

–Jiz!

– Nie ma jak wejść, mówię ci – krzyknęła z rozpaczą. – Jestem zablokowana.

Rozejrzał się wokół dzikim wzrokiem. Ludzie Dagenhama lądowali właśnie na kadłubie Weekendowicza z groźnym zdecydowaniem zawodowych piratów. Spoza krótkiego horyzontu asteroidu wyłonił się statek Dagenhama, kierując się prosto na niego. Poczł zawroty głowy.

– Foyle, koniec z tobą! Z tobą i z tą dziewczyną. Ale proponuję interes...

– Gully, pomóż mi. Zrób coś, Gully. Jestem zgubiona!

– „Vorga” – wyrzeźił Foyle. Zamknął oczy i popchnął dźwignie. Ryknęły rufowe silniki rakietowe. Weekendowicz zadrżał i jak ogar zrywający się z uwięzi wyprysnął w kosmos strząsając z siebie grupę abordażową Dagenhama, Jisbellę, groźby i błagania. Przyspieszenie 10G wtłoczyło Foyla w fotel pilota i zamroczyło, a było to przyspieszenie mniej przytłaczające, mniej bolesne i mniej zdradliwe niż pasja, która go gnała.

I gdy zniknął już z pola widzenia, na jego twarzy wykwitło krwawoczerwone, piętno jego opętania.

Cześć II

ROZDZIAŁ 8

Wraz z odchodzącym rokiem zaraza zarażała planety. Działania wojenne nabrały rozmachu i z odległej awantury romantycznych rajdów i kosmicznych potyczek przerodziły się w zaczątki rzezi. Stało się oczywiste, że dobiegła końca ostatnia z Wojen Światowych i rozpoczęła się pierwsza z Wojen Układowych.

Strony walczące gromadziły powoli sprzęt i ludzi do wyniszczenia. Satelity Zewnętrzne ogłosiły powszechną mobilizację, a Planety Wewnętrzne z konieczności poszły w ich ślady. Zmilitaryzowano całe gałęzie przemysłu, handlu, nauki, rzemiosł i zawodów; mnożyły się coraz to nowe zarządzenia i represje. Armie i floty rekwirowały i sprawowały rządy.

Handel podporządkował się zaistniałej sytuacji, ponieważ obecna wojna (tak samo zresztą jak wszystkie inne wojny) stanowiła zbrojną fazę komercyjnych przepychanek, ale narody buntowały się. Do krytycznych problemów narosły: jaunting przed poborem i jaunting przed pracą. Szerzyły się strach przed szpiegostwem i obawa przed inwazją. Histerycznie zachowywali się zarówno konfidenti jak i ludzie dokonujący samosądów. Złowieszcze przeczucie paraliżowało każdy dom od wyspy Baffina do Falklandów. Odchodzący rok ożywiało jedynie pojawienie się Cyrku Four Mile.

Był to popularny przydomek, którym ochrzczono groteskową trupę, niejakiego Geoffreya Fourmyle z Ceres, młodego błazna przybyłego na Ziemię z największego z asteroidów. Fourmyle z Ceres był nieprawdopodobnie bogaty; był przy tym również nieprawdopodobnie zabawny. Stanowił klasyczny przykład nowobogackiego wszystkich czasów.

Jego trupa była skrzyżowaniem objazdowego cyrku z komicznym dworem bułgarskiego ksiązątka, o czym niech zaświadczy jej nietypowe przybycie do Green Bay w Wisconsin.

Wczesnym rankiem pojawił się tam pełnomocnik w cylindrze klanu prawniczego na głowie, z wykazem obozowisk w ręku i z małą fortuną w kieszeni. Zdecydował się na czteroakrową łąkę położoną nad brzegiem jeziora Michigan i wydzierzał ją za przesadnie

wysoką sumę. Za nim przybyli mierniczy z klanu Masson i Dixon. W ciągu dwudziestu minut wytyczyli miejsce pod obozowisko i rozeszła się pogłoska o przybyciu Cyrku Four Mile. Zwabiona zapowiedzią ucieśznego widowiska, ściągnęła tłumnie do Green Bay okoliczna ludność z Wisconsin, Michigan i Minnesoty.

Najpierw przyjauntowało na miejsce dwudziestu tragarzy, z których każdy dźwigał na plecach zwinięty namiot. Rozpętała się potężna uwertura wyrzaskiwanych komend, pokrzykiwań, przekleństw i torturującego uszy wizgu sprężonego powietrza. Dwadzieścia gigantycznych namiotów pęczniało w oczach, nadymając się jak balony. Ich gumilakowe i lateksowe powłoki połyskiwały tysiącem rozbłysków, schnąc w promieniach zimowego słońca. Widzowie byli zachwyceni.

Niebawem z góry spłynął sześciomotorowy helikopter i zawisł nad gigantyczną trampoliną. Jego brzuch otworzył się i na dół runęła kaskada mebli i drobnego wyposażenia. Po chwili przyjauntowała służba, kamerdynerzy, kucharze i kelnerzy. Umieblowali i udekorowali namioty. Zaczęły dymić kuchnie polowe i nad obozowiskiem rozeszły się wonie smażenia, pieczenia i gotowania. Cały czteroakrowy teren patrolowany był już przez prywatną policję Fourmyle'a, która służbiście powstrzymywała napierający tłum gapiów.

Następnie samolotami, samochodami, autobusami, ciężarówkami, motocyklami i jauntując się przybyła trupa Fourmyle'a. Bibliotekarze z książkami, naukowcy z laboratoriami, filozofowie, poeci i atleci. Zestawiono kozły z mieczy i szabel, rozesłano maty do judo oraz ustawiono bokserski ring. W ziemi wkopano pięćdziesięciostopowy basen i za pomocą pomp napełniono go wodą z jeziora. Miedzy dwoma atletami wybuchła interesująca sprzeczka czy basen należy podgrzać dla pływaków, czy też zamrozić go dla łyżwiarzy.

W następnej kolejności przybyli muzycy, aktorzy, kuglarze i akrobaci. Wrzawa stała się ogłuszająca. Brygada mechaników zaczęła ożywiać kolekcje silników wysokoprężnych Fourmyle'a roztopionym w wielkim dole smarem. Jako ostatnia przybyła ciągnąca za obozem zbieranina żon, córek, kochanek, prostytutek, żebraków, szulerów i kieszonkowców. W późnych godzinach porannych zgiełk dochodzący z cyrku słyhać było w promieniu czterech mil, stąd też jego przydomek.

W południe, wyróżniając się efektywnym sposobem podróżowania, przybył sam Fourmyle z Ceres, a sposób, w jaki to uczynił mógł rozśmieszyć ponuraka od siedmiu lat cierpiącego na melancholię. Z południa nadleciał brzęcząc gigantyczny hydroplan i wodował na jeziorze. Spod samolotu wynurzyła się barka desantowa i prując z głośnym buczeniem fale podpłynęła do brzegu. Przednia kłapa barki opadła z hukiem na brzeg i po tak utworzonym pomoście zjechał na ląd dwudziestowieczny wóz dowodzenia. Ku ucieśze zachwyconych

widzów cud nakładał się na cud, bo oto po przejechaniu jakichś dwudziestu jardów w kierunku centrum obozu, wóz dowodzenia zatrzymał się.

– Na czym teraz wyjedzie? Na motocyklu?

– Nie, na wrotkach.

– Co wy, wyleci na odrzutowej miotle.

Ale Fourmyle zakasował najdziksze spekulacje zebranych. Z wozu dowodzenia wysunęła się bowiem lufa cyrkowego działa, rozległ się huk eksplozji czarnego prochu i Fourmyle z Ceres wystrzelony z armaty poszybował pełnym gracji łukiem pod samo wejście do swego namiotu, gdzie przez czterech kamerdynerów został złapany w sieć. Aplauz, którym go przywitano, słyszalny był w promieniu sześciu mil. Fourmyle wdrapał się na ramiona kamerdynerów i pomachał ręką na znak, że chce przemawiać.

– Przyjaciele, Rzymianie, Wieśniacy – zaczął żarliwie. – Użycie mi swych uszu, Szekspir. 1564–1616. Cholera! – Z rękawów Fourmyle’a wyfrunęły, trzepocząc skrzydłami, cztery białe gołębie i wzbijając się w górę odleciały na zachód. Fourmyle odprowadził je zdumionym wzrokiem i ciągnął dalej: – Przyjaciele pozdrawiam, witam, bonjour, bon ton, bon vivant, bon voyage, bon... Co, u diabła? – Kieszenie Fourmyle’a stanęły w płomieniach strzelając na wszystkie strony fajerwerkami sztucznych ogni. Gdy próbował się ugasić, trysnęły zeń chmury serpentyn i konfetti. – Przyjaciele... Zamknijcie się! Powiem krótko. Cicho! Przyjaciele...! – Fourmyle spojrział na siebie skonsternowany. Jego ubranie topniało w oczach odsłaniając niesamowicie szkarłatną bieliznę. – Kleinmann! Co z tym twoim cholernym hipnotreningiem?

Z namiotu wychyliła się kudłata głowa.

– Ty się uczył ta mowa wczorajsza noc, Fourmyle?

– Tak, do cholery. Dwie godziny ja się uczył. Ani na chwilę nie wyjąłem głowy z hipnotyzatora. Jesteś Kleinmann w Prestidigitacji.

– Nie, nie nie! – wrzasnął kudłacz. – Ile razy mam ja ci mówić. Prestidigitacja nie robić mowa. To być magia. Dumbkopf! Ty wziął zła hipnoza!

Zaczęła topnieć szkarłatna bielizną. Fourmyle zeskoczył z ramion trzęsących się kamerdynerów i zniknął w swoim namiocie. Zerwał się huragan śmiechu i burza oklasków. Cyrk Four Mile rozkręcił się na dobre. Kuchnie skwierczały i kopcily, jedzenia i picia było w bród, orkiestra ani na chwilę nie przestawała grać. Przedstawienie trwało nadal.

W namiocie Fourmyle zmienił ubranie, zmienił zamiar, znowu go zmienił, rozebrał się ponownie, rozdał kilka kopniaków kamerdynerom i zawołał swojego krawca łamanym francuskim, okraszonym oksfordzkim akcentem i afektacją. Już na wpół ubrany w nowy garnitur przypomniał sobie, że się nie wykapał. Dał po nosie krawcowi i kazał nalać do

basenu dziesięć galonów perfum i nagle jak grom z jasnego nieba poraziło go poetyckie natchnienie. Wezwał nadwornego poetę.

– Zapisz to – polecił mu – Le roi est mort, les... Czekał. Jaki jest rym do księżycy?

– Wieżyca – podpowiadał poeta – strażnica, matryca, stolnica, donica, kłonica....

– Zapomniałem o moim eksperymencie – wykrzyknął Fourmyle. – Doktorze Bohun!

Doktorze Bohun!

Półnagi wpadł jak bomba do laboratorium, zderzył się w drzwiach ze swym nadwornym chemikiem, doktorem Bohunem i wylądował wraz z nim pośrodku namiotu. Chemik, gdy usiłował wstać z podłogi stwierdził, iż znajduje się w najboleśniejszym i najbardziej zawiłym chwycie duszącym.

– Nogouchi! – wrzasnął Fourmyle – Hej! Nogouchi! Wynałazłem właśnie nowy chwyt judo.

Fourmyle wstał, podniósł duszącego się chemika i jauntował się z nim na matę, gdzie mały Japończyk obejrzał swym fachowym okiem chwyt i pokręcił głową.

– Nie, wasza dostojność – zasyczał grzecznie – Hfffff. Ten nacisk na tchawicę nie zawsze będzie śmiertelny. Hfffff. Ja pokaże. – Pochwycił otumanionego chemika, zakręcił nim w powietrzu i rozciągnął na macie w pozycji pewnego samozaduszenia. – Widział pan, Fourmyle?

Ale Fourmyle był już w bibliotece i okładał swego bibliotekarza po głowie tomem „Das Sexual Leben” Blocha (8 funtów i 9 uncji), gdyż ten nieszczęśliwiec nie potrafił mu polecić żadnego tekstu z zakresu budowy perpetuum mobile. Zirytowany Fourmyle wtargnął potem do laboratorium fizycznego, gdzie zniszczył kosztowny chronometr do eksperymentów z kołami zębatymi, jauntował się na estradę, gdzie chwytając za batutę wprowadził zamieszanie wśród muzyków z orkiestry, nałożył łyżwy i wpadł do napełnionego perfumami basenu pływackiego; wyłowiono go stamtąd klnącego siarczyście na brak lodu i wyrażającego życzenie pozostawienia go w spokoju.

– Życzę sobie zostać sam – powiedział Fourmyle i kopniakami rozpędził kamerdynerów na cztery wiatry. Warczał, dopóki ostami z nich nie dopadł drzwi i nie zatrzęsął ich za sobą.

Warczenie ustało i Foyle wstał.

– To powinno im na dzisiaj wystarczyć – mruknął i wszedł do garderoby. Stał przed lustrem, nabrał powietrza w płuca i wstrzymał oddech, obserwując uważnie swoją twarz. Po upływie jednej minuty była ona wciąż nieskazitelnie czysta. Nadal nie wypuszczał powietrza, zachowując nieugiętą kontrolę nad pulsem i mięśniami oraz opanowując podniecenie żelazną siłą woli. Krwawoczerwone piętno pojawiło się po dwóch minutach i dwudziestu sekundach. Foyle wypuścił powietrze z płuc i tygrysia maska zbladła.

– Lepiej – mruknął do siebie. – Dużo lepiej. Ten stary fakir miał racje. Jediną radą jest joga. Kontrola. Puls, mięśnie, wnętrzności, umysł.

Rozebrał się do naga i obejrzał swe ciało. Znajdował się w świetnej formie, ale skóra od karku aż po kostki stóp poprzecinana była wciąż delikatną siecią cieniutkich, srebrzystych nitek. Wyglądało to tak, jakby ktoś odrysował na ciele Foyle'a zarysy jego układu nerwowego. Srebrne szwy były nie zagojonymi jeszcze bliznami po operacji.

Operacja ta, która kosztowała Foyle'a 200 000 kredytów łąpówki wręczonej Naczelnemu Chirurgowi Marsjańskiej Brygady Komandosów, przekształciła go w straszliwą maszynę wojenną. Wymieniono mu każdy splot nerwowy, w mięśnie i kości wmontowano miniaturowe tranzystory i transformatory, a u nasady pleców zainstalowano maleńkie platynowe gniazdko. Do niego wtykał Foyle zasilacz wielkości ziarnka grochu i włączał go w razie potrzeby. Jego ciało wpadało wtedy w sterowane elektronicznie drgania, które pod względem amplitudy graniczyły nieomal z wibracjami mechanicznymi.

– Bardziej maszyna niż człowiek – pomyślał Foyle. Ubrał się, odrzucając ekstrawaganckie szaty Fourmyle'a z Ceres na rzecz czarnego, anonimowego kombinezonu bojowego.

* * *

Jauntował się do apartamentu Robin Wednesbury w budynku wznoszącym się samotnie pośród wisconsińskich sosen. To był prawdziwy powód przybycia Cyrku Four Mile do Green Bay. Jauntował się i przybył w pustkę i ciemność, spadając natychmiast na dół.

– Złe współrzędne! – pomyślał lecąc. Chybiony jaunting? – Uderzył się boleśnie o sterczący koniec złamanej dachówki i wylądował z łomotem na rozkładającym się trupie, który leżał rozciągnięty na potrzaskanej podłodze.

Zerwał się z kontrolowanym obrzydzeniem i nacisnął językiem pierwszy prawy górny ząb trzonowy. Podczas operacji, która przekształciła połowę jego ciała w maszynę elektroniczną, klawiaturę zainstalowano mu w zębach. Naciskając ząb językiem Foyle pobudził peryferyjne komórki siatkówek swych oczu do emisji łagodnego światła. Skierował dwie blade świecące wiązki w dół na trupa mężczyzny.

Zwłoki leżały w apartamencie znajdującym się pod mieszkaniem Robin Wednesbury. Były wypatroszone. Foyle spojrzał w górę. W suficie, tam gdzie powinna być podłoga salonu Robin, ziała dziura o średnicy dziesięciu stóp. W całym budynku śmierdziało spalenizną, dymem i zgnilizną.

– Szaber – mruknął cicho Foyle. – Ten dom splądrowali szabrownicy. Co tu się

wydarzyło?

Wiek jauntingu utworzył z włóczęgów, trampów i wagabundów całego świata nową warstwę społeczną. Ciągnęli ze wschodu na zachód za nocą, zawsze w ciemnościach, zawsze w poszukiwaniu łupu, szczątków ocalałych z klęsk żywiołowych, padliny. Gdy trzęsienie ziemi zburzyło dom towarowy, plądrowali go już następnej nocy. Gdy ogień strawił dom mieszkalny lub wybuch zniszczył systemy alarmowe sklepu, wjauntowywali się do wnętrza i oczyszczali je dokładnie. Nazywali siebie Szaber–jauntowcami. Byli szakalami.

Foyle wspiał się na górę po resztkach klatki schodowej. Na korytarzu, piętro wyżej, obozowali Szaber–jauntowcy. Nad ogniskiem, które poprzez dziurę w dachu strzelało w niebo skwierczącymi iskrami, piekła się dorodna sarna. Wokół ogniska siedziało z tuzin mężczyzn i trzy kobiety, wszyscy potargani i odpychający. Szwargotali coś między sobą w rymowanym, londyńskim żargonie szakali. Odziani byli w łachmany i popijali kartoflane piwo z kieliszków od szampana.

Pojawienie się Foylea przyjęte zostało ze złowieszczym pomrukiem, wyrażającym mieszaninę złości i strachu przed wynurzającym się niespodziewanie spośród ruin olbrzymem w czerni, który przypatrywał się im bacznie oczyma emitującymi snopy bladego światła. Foyle kroczył niespiesznie między podnoszącą się z miejsc bandą, zmierzając w stronę drzwi mieszkania Robin. Dzięki żelaznej kontroli, jaką sprawował nad własnym ciałem z całej jego postaci emanował nastrój chłodnej obojętności.

– Jeśli ona nie żyje – myślał – jestem skończony. Potrzebuję jej, ale jeśli nie żyje...

Apartament Robin był tak samo zdewastowany jak i reszta budynku. Po salonie pozostał tylko owal podłogi okalającej wyrwaną pośrodku dziurę. Foyle szukał ciała. W sypialni leżało w łóżku dwóch mężczyzn i kobieta. Mężczyźni przywitani go przekleństwami. Kobieta wrzasnęła na widok zjawy. Mężczyźni rzucili się na Foylea. Cofnął się o krok i nacisnął językiem dwa górne siekacze. Zahuczały obwody nerwowe i każdy zmysł oraz szybkość reakcji jego ciała na bodźce zewnętrzne uległy pięciokrotnemu przyspieszeniu.

W rezultacie nastąpiło natychmiastowe spowolnienie świata zewnętrznego do niesamowicie zółwiego tempa. Dźwięk mowy przeszedł w basowy bełkot. Barwy przesunęły się w dół widma ku czerwieni. Dwaj napastnicy zdawali się teraz płynąć w jego kierunku z koszmarną powolnością. Dla reszty świata Foyle stał się rozmazaną w ruchu plamą. Odsunął się spokojnie na bok, unikając pięści zmierzającej cał po calu w kierunku jego szczęki, obszedł mężczyznę dookoła, podniósł go do góry i wrzucił do krateru zięjącego w podłodze salonu. Drugiego szakala popchnął w ślad za pierwszym. Dla przyspieszonych zmysłów Foylea ich ciała zdawały się płynąć wolno w powietrzu, przyhamowane w pół wykroku, z wciąż jeszcze wysuwającymi się ospale do przodu pięściami i otwartymi ustami

wydajęcymi stłumione, bełkotliwe dźwięki.

Foyle śmignął do kobiety kulącej się w rogu łóżka.

– Błoućło? – spytała ciekim głosem rozmazana plama. Kobieta wrzasnęła.

Foyle nacisnął ponownie górne siekacze, wyłączając przyspieszenie. Świat zewnętrzny powrócił z wstrząsem z tempa zwolnionego do normalnego. Dźwięk i barwy przeskoczyły w górę swych skal, a dwaj szakale zniknęli w dziurze, spadając z łoskotem na podłogę apartamentu położonego piętro niżej.

– Było tu ciało? – powtórzył normalnym głosem Foyle. – Murzynka? – Kobieta nie była komunikatywna. Schwycił ją za włosy i potrząsnął, po czym wrzucił sparaliżowane ze strachu ciało do otworu w podłodze.

W poszukiwaniach śladu, który poinformowałby go o losie Robin przeszkodziła mu banda z korytarza. Nieśli ze sobą pochodnie i sporządzoną naprędce broń. Szakal–jauntowcy nie byli zawodowymi mordercami. Tylko bezbronną ofiarę zadręczali na śmierć.

– Nie przeszkadzajcie mi – ostrzegł spokojnie Foyle pochłonięty myszkowaniem po szafkach i zagładaniem pod przewrócone meble.

Szabrownicy przysunęli się bliżej, podjudzani przez zbója w futrze z nerek i trójgraniastym kapeluszu oraz zagrzewani do walki przekleństwami dochodzącymi z dołu. Człowiek w trójgraniastym kapeluszu cisnął w Foylea pochodnią. Sparzyła go. Znowu przyspieszył i Szaber–jauntowcy przemienili się w żywe posągi. Foyle podniósł z podłogi nogę od krzesła i nie spiesząc się zaczął nią okładać jak maczugą poruszające się w zwolnionym tempie postacie. Na razie żaden z nich nie upadł. Foyle przewrócił mężczyznę w trójgraniastym kapeluszu na podłogę i ukląkł na nim. Zwolnił.

Świat zewnętrzny znowu ożył. Szakale padli tam gdzie stali, ogłuszeni ciosami Foylea. Człowiek w trójgraniastym kapeluszu i futrze z nerek zaryczał.

– Było tu ciało? – spytał Foyle. – Młoda Murzynka. Wysoka. Bardzo ładna.

Mężczyzna wiał się, próbując wyłupić Foylowi oczy.

– Przecież szukacie ciał – powiedział cicho Foyle. – Niektórzy z was, Szabrowników, wolą dziewczęta martwe niż żywe. Znaleźliście tu jej ciało?

Nie uzyskując zadowalającej odpowiedzi, Foyle pochwyił płonąca pochodnie i przytknął ją do futra z nerek. Stańło w płomieniach. Zaciągnął Szaber–jauntowca do salonu i z kamienną twarzą obserwował jak rabuś tarza się wyjąc na krawędzi krateru i wpada niczym żywa pochodnia w jego mroczną czeluść.

– Było tu ciało? – zawołał z niezmaconym spokojem Foyle, wychylając się poza krawędź dziury w podłodze. Tamten potrząsnął w odpowiedzi głową. – Nie poszło zbyt sprawnie – mruknął do siebie Foyle. – Musze, się nauczyć zasięgania języka. Dagenham mógłby mi

zdradzić parę chwytów. Wyłączył wewnętrzny układ elektroniczny i jauntował się.

* * *

Pojawił się w Green Bay cuchnąc tak ohydnie opalonymi włosami i przypieczoną skórą, że wstąpił od razu do lokalnego sklepu Presteigna (klejnoty, perfumy, kosmetyki, jonizatory, surogaty), aby nabyć dezodorant. Ale miejscowy Mr. Presto był najwyraźniej świadkiem przybycia Cyrku Four Mile i natychmiast go rozpoznał. Foyle z miejsca zrzucił maskę chłodnej obojętności i przedzierzgnął się w dziwaczego Fourmyle'a z Ceres. Błaznował i wydziwiał. Kupił dwunastouncjowy flakon perfum „Euge Nr 5” (po 100 kredytek za uncje), maznął się delikatnie pod nosem i ku zbudowaniu i zachwytowi Mr. Presta wyrzucił butelkę na ulicę.

Archiwariusz z Archiwum Okręgowego nie był świadomy tożsamości Foyla i przyjął wobec niego postawę nieugiętą i bezkompromisową.

– Niestety, sir. Akta okręgu nie są do wglądu, o ile interesant nie przedstawi nakazu sądowego jako odpowiedniej ku temu podstawy. Takie są przepisy.

Foyle otaksował go przenikliwie i bez urazy.

– Typ asteniczny – zdecydował. – Chudy, długościsty, niezbyt silny. Egocentryczny, pedantyczny, uczciwy, płytki; zbyt zamknięty w sobie i pruderyjny. Nieprzekupny. Ale szczeliną w jego skorupie jest tłumienie uczuć.

W godzinę później napadło archiwistę sześciu członków trupy z Cyrku Four Mile. Wszyscy byli osobnikami płci żeńskiej, obficie wyposażonymi w rozpustne cechy. Po dwóch godzinach archiwista oszołomiony uciechami cielesnymi, puścił farbę. Budynek, w którym mieszkała Robin Wednesbury stanął otworem dla Szaber-jauntingu w wyniku eksplozji gazu, która wydarzyła się tam przed dwoma tygodniami. Wszyscy mieszkańcy byli zmuszeni go opuścić. Robin Wednesbury przebywała obecnie na oddziale strzeżonym Szpitala Miłosierdzia, nie opodal terenów Poligonu Doświadczalnego Iron Mountain.

– Oddział strzeżony? – zdziwił się Foyle. – Dlaczego? Co ona zrobiła?

* * *

Zorganizowanie w Cyrku Four Mile grupy kolędników celebrujących święta Bożego Narodzenia zajęło trzydzieści minut. Składała się ona z muzyków, śpiewaków, aktorów i pospólstwa znającego współrzędne Iron Mountain. Wjauntowali się tam pod wodzą swego głównego trefnisia z muzyką, sztucznymi ogniami, wodą ognistą i podarkami. Przeparadowali

przez miasto zasypując je prezentami i śmiechem. Przypadkowo natknęli się na pole radarowe systemu alarmowego Poligonu Doświadczalnego, skąd zostali przepędzeni wśród uciesznych wrzasków i popiskiwań. Fourmyle z Ceres, przebrany za Świętego Mikołaja, rozrzucał na prawo i lewo banknoty dobywane z ogromnego worka przerzuconego przez ramie, a podpiekany od spodu przez pole indukcyjne systemu zabezpieczającego zaczął podskakiwać spazmatycznie, dając porywające przedstawienie. Kolędnicy wdarli się do Szpitala Miłosierdzia za Świętym Mikołajem, który ryczał i wierzgał z chłodnym opanowaniem poważnego słonia. Obcałował pielęgniarki, spoił salowe, dokuczył pacjentom podarunkami, zaśmiecił korytarze banknotami i znikł nagle, w chwili, gdy wesole pląsy osiągnęły takie wyżyny, że musiano wezwać policję. Dużo później stwierdzono, iż znikła również jedna z pacjentek i to pomimo faktu, że znajdowała się ona pod wpływem środków uspokajających i była niezdolna do jauntingu. W rzeczywistości opuściła ona szpital w worze Świętego Mikołaja.

Foyle, dźwigając ją w worku przerzuconym przez ramie, jauntował się do przyszpitalnego parku. Tam, w cichym, sosnowym lasku, pod mroźnym grudniowym niebem, pomógł jej wydostać się z worka. Miała na sobie jedynie zwykłą, szpitalną piżamę i była w niej piękna. Foyle zrzucił swoje przebranie i przypatrywał się bacznie dziewczynie, pragnąc się przekonać czy go pamięta i czy go rozpozna.

Była wystraszona i oszołomiona; wysyłane przez nią myśli przypominały wyładowania elektryczne:

– „*Mój Boże! Kto to jest? Co się stało? Muzyka. Gwar. Dlaczego porwali mnie w worku? Pijacy grali na puzonach. Tak, Virginio, Święty Mikołaj istnieje. Adeste Fidelis. Czego on chce ode mnie? Kto to jest?*”

– Jestem Fourmyle z Ceres – odparł Foyle.

– Co? Kto? Fourmyle z...? Ach tak, oczywiście. „*To ten błazen. Ten burżuazyjny poganin. Wulgarność. Imbecylstwo. Sprośność. Cyrk Four Mile.*” Mój Boże! Czy telenadawałam? Słyszysz mnie?

– Słyszę, Miss Wednesbury – powiedział spokojnie Foyle.

– Co ty zrobiłeś? Dlaczego? Co chcesz ze mną zrobić? Ja...

– Chce, żebyś na mnie spojrziała.

– „*Bonjour, Madame. Właż do mojego worka, Madame. Ecco! Popatrz na mnie*”. Patrzę przecież – powiedziała Robin, starając się zapanować nad klekotem swych myśli. Zerknęła na jego twarz, nie rozpoznając jej.

– „*Twarz jak twarz. Widziałam takich dziesiątki. O Boże, te twarze mężczyzn! Te Męskie rysy. Każdy w okresie rui. Czyż Bóg nigdy nie uchroni nas przed ich brutalnym pożądaniem?*”

– Mój okres rui już minął, Miss Wednesbury.

– Przepraszam, że to słyszałeś. Jestem naturalnie wystraszona. Ja... Znasz mnie?

– Znam.

– Spotkaliśmy się już kiedyś? – przyjrzała mu się uważniej, ciągle go jednak nie poznając. Gdzieś w głębi duszy poczuł Foyle narastającą falę tryumfu. Jeśli ta kobieta go sobie nie przypomni, jest bezpieczny, pod warunkiem, że będzie panował nad emocjami, umysłem i twarzą.

– Nie, nigdy przedtem się nie spotkaliśmy – odparł. – Słyszałem tylko o tobie. Chcę czegoś od ciebie. Jestem tu właśnie dlatego, że muszę z tobą o tym porozmawiać. Jeśli moja propozycja nie będzie ci odpowiadała, możesz wrócić do szpitala.

– Chcesz czegoś ode mnie? „*Ależ ja nic nie mam. Nic. Nic zostało mi nic prócz wstydu i... O Boże! Dlaczego nie udało mi się popełnić tego samobójstwa? Dlaczego nie potrafiłam...*”

– A więc o to chodzi – przerwał jej łagodnie Foyle. – Próbowалаś popełnić samobójstwo, tak? Stąd ta eksplozja gazu, która rozerwała budynek... i to umieszczenie na oddziale strzeżonym. Targniecie się na swoje życie. Jak to się stało, że nie ucierpiałaś na skutek wybuchu?

– Tylu było rannych. Tak wielu zginęło. A ja ocalałam. Myślę, że mam pecha. Całe życie byłam pechowa.

– Co cię popchnęło do tego desperackiego kroku?

– Jestem zmęczona. Jestem skończona. Straciłam wszystko... Umieszczono mnie na szarej liście armii... jako podejrzaną. Jestem teraz w ich kartotece, znajduję się cały czas pod obserwacją. Żadnej pracy. Żadnej rodziny. Nic... Dlaczego próbowałam popełnić samobójstwo, pytasz? Dobry Boże, a cóż mi innego pozostało?

– Możesz pracować dla mnie.

– Mogę.... Co powiedziałaś?

– Chcę, żebyś pracowała dla mnie, Miss Wednesbury.

Wybuchnęła histerycznym śmiechem.

– Dla ciebie? „*Jeszcze jedna ciura obozowa w cyrku?*” Pracować dla ciebie, Fourmyle?

– Masz seks w mózgu – powiedział łagodnie. – Nie szukam dziwek. Z reguły one mnie szukają.

– Przepraszam. „*Mam obsesję na punkcie tego brutala, który mnie zniszczył. Ja...*” Spróbujmy to uporządkować – Robin opanowała się – Zreasumujmy. Porwałś mnie ze szpitala, żeby zaproponować mi pracę. Słyszałeś o mnie. To by znaczyło, że wymagasz ode mnie czegoś specjalnego. Moją specjalnością jest telenadawanie.

– I urok osobisty.

– Co takiego?

– Chcę kupić twój urok, Miss Wednesbury.

– Nie rozumiem.

– No, wiesz! – powiedział łagodnie Foyle. – To powinno być dla ciebie proste. Jestem błaznem. Jestem samą wulgarnością, imbecylnym i sprośnością. Z tym trzeba skończyć. Chcę, żebyś była moją sekretarką do spraw kultury.

– I myślisz, że w to uwierzę? Za swoje pieniądze możesz zaangażować sto takich sekretarek... nawet tysiąc. Spodziewasz się, że uwierzę, iż jestem dla ciebie tą jedną jedyną? Że po to porwałeś mnie z oddziału strzeżonego, aby mnie zatrudnić?

Foyle skinął głową.

– To prawda, takich są tysiące, ale tylko jedna potrafi telenadawać.

– A co to ma z tym wszystkim wspólnego?

– Będziesz bruchomówczynią: ja będę twoim asystentem. Nie znam form towarzyskich, obowiązujących w wyższych sferach naszego społeczeństwa. Ty je znasz. Wiem, że oni mają swoje własne tematy rozmów, swoje własne dowcipy, swoje własne maniery. Jeśli człowiek chce być przez nich akceptowany, musi posługiwać się ich językiem. Ja nie umiem, ale ty to potrafisz. Będziesz przez moje usta rozmawiała za mnie.

– Ale przecież możesz się tego sam nauczyć.

– Nie. To trwałoby zbyt długo. A zresztą nie można się nauczyć uroku osobistego. Chcę kupić twój urok osobisty, Miss Wednesbury. A teraz przejdźmy do warunków finansowych. Będę ci wypłacał miesięcznie 1000 kredytek.

Oczy Robin rozszerzyły się.

– Jesteś bardzo wspaniałomyślny, Fourmyle.

– Zatuszuję wniesione przeciwko tobie oskarżenie o próbę samobójstwa.

– Jesteś bardzo miły.

– I obiecuję usunąć twoje nazwisko z szarej listy armii. Z chwilą zakończenia współpracy ze mną, będziesz już figurowała na liście białej. Będziesz mogła zacząć wszystko od początku z czystą kartoteką i sporą odprawą w gotówce, którą otrzymasz ode mnie. Będziesz mogła zacząć życie od nowa.

Usta Robin drżały. Zaczęła płakać. Szlochała tak gwałtownie, że Foyle musiał ją uspokoić.

– No więc jak? – spytał. – Zgadzasz się?

Skinęła głową.

– Jesteś dla mnie taki dobry... To znaczy, nie jestem przyzwyczajona do zyczliwości.

Foyle zeszywniał na głuchy odgłos eksplozji, która w tym właśnie momencie targnęła

powietrzem.

– Chryste! – wykrzyknął w nagłym porywie paniki. – Znowu ślepy Jaunting. Ja...

– Nie – uspokoiła go Robin. – Nie wiem co to takiego ten ślepy jaunting, ale nie masz się czego obawiać. Pewnie coś detonowali na Poligonie Doświadczalnym. Oni... – spojrzała na Foyle'a i krzyknęła. Niespodziewany wstrząs wywołany eksplozją i żywy jeszcze w pamięci łańcuch skojarzeń poluzowały na chwilę żelazną obręcz kontroli, którą nad sobą sprawował. Pod skórą twarzy wykwitły mu krwawoczerwone blizny po tatuażu. Patrzyła nań przerażona, wciąż krzycząc.

Dotknął policzka i doskoczył do Robin, zatykając jej usta dłonią. Znowu odzyskał panowanie nad sobą.

– Wylazło, co? – mruknął uśmiechając się upiornie. – Straciłem na chwilę zimną krew. Zdawało mi się, że znowu jestem w Gouffre Martel i słyszę ślepy Jaunting. Tak, jestem Foyle. Jestem brutalem, który cię zniszczył. Wcześniej czy później i tak byś się o tym dowiedziała, miałem jednak nadzieję, że nastąpi to później. Jestem Foyle. To znowu ja. Czy będziesz teraz cicho i wysłuchasz mnie?

Potrząsnęła wściekle głową i próbowała wyrwać się z jego objęć. Ze stoickim spokojem rąbnął ją pięścią w szczękę. Robin zwisała bezwładnie w jego ramionach. Foyle wziął ją na rękę, owinął swoim płaszczem i czekał aż wróci jej świadomość. Gdy dostrzegł, że zatrzepotała powiekami, przemówił znowu:

– Nie ruszaj się, bo pożałujesz. Mogę uderzyć silniej.

– „*Brutal... Zwierzę...*”

– Mógłbym ci wyciąć brzydszy numer – ciągnął. – Mógłbym cię szantażować. Wiem, że twoja matka i siostry są na Callisto i że cię to stawia w niekorzystnym położeniu. Sam ten fakt kwalifikuje cię do umieszczenia na czarnej liście, chyba się ze mną zgodzisz? Nie muszę cię przekonywać, że wystarczyłby anonim do Centrali Wywiadowczej, a nie byłabyś już tylko podejrzana. Wypraliby z ciebie zeznania w przeciągu dwunastu godzin...

Poczuł, jak zadrżała.

– Ale nie zamierzam tak postąpić. Zamiast tego postanowiłem wyjawić ci prawdę, gdyż chcę, abyś została moją współpracowniczką. Twoja matka przebywa obecnie na Planetach Wewnętrznych. Ona jest na Planetach Wewnętrznych – powtórzył z naciskiem. – Całkiem możliwe, że znajduje się teraz tu, na Ziemi.

– Czy jest bezpieczna?

– Nie wiem.

– Postaw mnie na ziemi.

– Przeziębisz się.

– Postaw mnie na ziemi.

Uczynił to.

– Już raz mnie zniszczyłeś – powiedziała zdławionym głosem. – Czy znowu do tego zmierzasz?

– Nie. Wysłuchasz mnie do końca?

Skinęła głową.

– Byłem rozbitkiem w kosmosie. Umierałem tam i gnilem przez sześć miesięcy. Potem nadleciał statek, który mógł mnie ocalić. Ten statek mnie zostawił. Skazał mnie na śmierć. Ten statek nazywał się „Vorga”. „Vorga – T:1339”. Czy coś ci to mówi?

– Nie.

– Jiz McQueen – moja przyjaciółka, która już nie żyje – poradziła mi, żebym dowiedział się, dlaczego nie udzielono mi pomocy. To byłaby odpowiedź na pytanie, kto wydał taki rozkaz. Zacząłem więc skupywać informacje o „Vordze”. Wszelkie informacje.

– Co to ma wspólnego z moją matką?

– Posłuchaj dalej. Te informacje nie były łatwe do zdobycia. Z akt Bońesa i Uiga zniknęły wszystkie dane dotyczące „Vorgi”. Zdołałem ustalić tylko trzy nazwiska... trzy na całą standardową załogę składającą się z czterech oficerów i dwunastu ludzi. Nikt nic nie wiedział, albo nie chciał mówić. No i znalazłem jeszcze to... – Foyle wydobył z kieszeni srebrny medalion i wręczył go Robin. – Zastawił go w lombardzie jakiś kosmonauta z „Vorgi”. To wszystko, co udało mi się ustalić.

Robin wybuchnęła płaczem i trzęsącymi się palcami otworzyła medalion. Wewnątrz znajdowała się fotografia jej oraz dwóch innych dziewcząt. Gdy wieczko odskoczyło, trójwymiarowe podobizny uśmiechając się zaczęły szeptać:

– Uściski od Robin, mamó... Uściski od Holly, mamó... Uściski od Wendy, mamó.

– To mojej matki – zaszlochała Robin. – To... Ona... Na litość boską, gdzie ona jest? Co się z nią stało?

– Nie wiem – powiedział bezbarwnym głosem Foyle. – Ale domyślam się. Sądzę, że twoja matka w taki, czy inny sposób wydostała się z obozu koncentracyjnego.

– Więc moje siostry również. Nigdy by ich nie zostawiła.

– Może twoje siostry też. Uchodźców ewakuowała z Callisto „Vorga”. Za dostanie się na jej pokład i przewiezienie na Ziemię, twoja rodzina musiała zapłacić pieniędzmi i biżuterią. W ten sposób jakiś kosmonauta z „Vorgi” wszedł w posiadanie tego medalionu.

– A więc gdzie one są?

– Nie mam pojęcia. Może wysadzono je na Marsie albo na Wenus. Najprawdopodobniej jednak sprzedano je do obozu pracy na Księżycu i dlatego nie mogły się z tobą skontaktować.

Nie wiem gdzie są, ale „Vorga” może nam to powiedzieć.

– Nie kłamiesz? Nie zwodzisz mnie?

– Czy ten medalion to kłamstwo? Mówię prawdę... całą prawdę, jaką znam. Chcę się dowiedzieć dlaczego zostawili mnie, skazując na pewną śmierć i kto wydał ten rozkaz. Człowiek, który ten rozkaz wydał, będzie wiedział gdzie przebywają twoja matka i siostry. Powie ci to... zanim go zabiję. Będzie miał na to bardzo dużo czasu, bo będzie długo umierał.

Robin spojrzała nań z przerażeniem. Pasja, którą był opętany sprawiła, że na jego twarzy znów pojawiło się krwawoczerwone piętno. Wyglądał jak tygrys szykujący się do skoku.

– Mam fortunę do wydania... nieważne jak wszedłem w jej posiadanie. Na skończenie tej roboty mam trzy miesiące. Nauczyłem się wystarczająco dużo matematyki, aby wyliczyć sobie prawdopodobieństwo. Potrwa trzy miesiące, zanim odkryją, że Fourmyle z Ceres to Gully Foyle. Dziewięćdziesiąt dni; od Nowego Roku do Prima Aprilis. Będiesz ze mną współpracować?

– Z tobą? – wykrzyknęła z nienawiścią w głosie Robin. – Współpracować z tobą?

– Cały ten Cyrk Four Mile jest tylko kamuflażem. Nikt nigdy nie będzie podejrzewał kłowna. A ja badam, uczę się i przygotowuję do ostatecznej rozgrywki. Teraz potrzebuję tylko ciebie.

– Do czego?

– Nie wiem dokąd zaprowadzi mnie to polowanie... do wyższych sfer, czy do slumsów. Muszę być przygotowany na obydwie ewentualności. Ze slumsami poradzę sobie sam. Żargonu jeszcze nie zapomniałem. Ale do swobodnego poruszania się w kręgach elity towarzyskiej będę potrzebował ciebie. Zgadzasz się?

– To boli – Robin wyszarpnęła ramię z uścisku Foyla.

– Przepraszam. Kiedy myślę o „Vordze”, tracę panowanie nad sobą. Pomożesz mi więc znaleźć „Vorgę”, a przy okazji swoją rodzinę?

– Nienawidzę cię! – wybuchnęła Robin. – Gardzę tobą. Jesteś zepsuty. Niszczysz wszystko, czego dotkniesz. Odplacę ci pewnego dnia.

– Ale od Nowego Roku do Prima Aprilis pracujemy razem, tak?

– Pracujemy razem.

ROZDZIAŁ 9

W wigilię Nowego Roku Geoffrey Fourmyle przypuścił szturm na elitę towarzyską. Najpierw pojawił się na pół godziny przed północą na balu w rezydencji Gubernatora w Canberze. Była to wysoce oficjalna impreza, olśniewająca barwami i pompą, ponieważ wśród arystokracji utarł się zwyczaj noszenia przy okazjach takich uroczystości strojów wieczorowych, skrojonych według kanonów mody, które obowiązywały w roku założenia klanu lub opatentowania jego godła handlowego.

I tak Morsowie (Telefony i Telegrafy) nosili dziewiętnastowieczne surduty, a ich partnerki zapięte pod szyję wiktoriańskie suknie. Skodowie (Proch i Armaty) cofnęli się do schyłku wieku osiemnastego, przywdziewając obcisłe trykoty z okresu regencji i krynoliny. Odważni Peenmundowie (Rakiety i Reaktory), darujący początki swego klanu na lata 1920, mieli na sobie smokingi, natomiast ich panie bezwstydnie odsłaniały nogi, ramiona i plecy w głęboko wydekoltowanych sukienkach.

Fourmyle z Ceres pojawił się na balu w stroju wieczorowym bardzo nowoczesnym i bardzo czarnym, urozmaiconym jedynie przez złote słońce przypięte do ramienia – godło handlowe klanu Ceres. Towarzyszyła mu Robin Wednesbury ubrana w błyszczącą, białą suknię ściśniętą w talii fiszbinami. Turniura sukni podkreślała smukłą sylwetkę dziewczyny, jej proste plecy i pełen gracji krok.

Kontrast bieli z czernią, jaki reprezentowała sobą Robin, był tak frapujący, że wysłano specjalnie kamerdynera, aby ten sprawdził w Almanachu Parów i Patentów do jakiego klanu należy godło handlowe wyobrażające słońce. Wrócił z wieścią, że to Kompania Górnicza Ceres, założona w roku 2250 celem eksploatacji bogactw naturalnych asteroidów Ceres, Pallos i Vesta. Bogactwa te nigdy nie zmanifestowały swojej obecności i kompania Ceres usunęła się w cień, nigdy jednak nie umarła. Najwyraźniej znajdowała się właśnie w stadium wskrzeszania.

- Fourmyle? Ten kłown?
- Tak. Cyrk Four Mile. Głośno o nim.
- Czy to ten sam człowiek?

– Nie może być. Wygląda na poważnego.

Towarzystwo ciekawie, aczkolwiek ostrożnie gromadziło się powoli wokół Fourmyle'a.

– Idą tutaj – mruknął Foyle do Robin.

– „*Odpręż się. Chcą tylko porozmawiać. Zaakceptują wszystko, byle tylko było to zabawne. Zostań dostrojony.*”

– Czy to pan jest tym okropnym człowiekiem z cyrku, Fourmyle?

– „*Pewnie, że jesteś. Uśmiechaj się.*”

– Tak, to ja, madame. Może mnie pani dotknąć.

– Patrzcie państwo, wygląda pan na dumnego. Czy szczyli się pan swoim złym smakiem?

– „*W dzisiejszych czasach problemem jest w ogóle mieć jakiś smak.*”

– W dzisiejszych czasach problemem jest w ogóle mieć jakiś smak. Uważam się za szczęśliwego.

– Szczęśliwy, ale okropnie nieprzyzwoity.

– Nieprzyzwoity, ale nie nudny.

– I okropny, ale czarujący. Dlaczego pan teraz nie błaznuje?

– Jestem „pod wpływem”, madame.

– Czyżby! Jest pan pijany? Jestem Lady Shrapnel. Kiedy będzie pan znowu trzeźwy?

– Jestem pod pani wpływem, Lady Shrapnel.

– Pan jest figlarzem, młody człowieku. Charles! Charles, podejdź tu do nas i wybaw pana Fourmyle'a. Uwodzę go.

– „*To Victor z RCA Victor.*”

– Fourmyle, nieprawdaż? Niezmiernie mi miło. Ile kosztuje ta pańska trupa?

– „*Powiedz prawdę.*”

– Czterdzieści tysięcy, Victorze.

– Dobry Boże! Tygodniowo?

– Dziennie.

– Dziennie! Do czego, u licha, pan zmierzasz szastając w ten sposób pieniędzmi?

– „*Mów prawdę.*”

– Do sławy, Victorze.

– Ha! Mówisz pan poważnie?

– Mówiłam ci, że on jest figlarzem, Charlesie.

– To cholernie ożywcze. Klaus! Podejdź na momencik. Wyobraź sobie, że ten nieroztropny młody człowiek wydaje czterdzieści tysięcy dziennie, aby zyskać rozgłos.

– „*To Skoda ze Skodów.*”

– Dobry wieczór, Fourmyle. Bardzo mnie interesuje to wskrzeszenie nazwy. Jest pan

może potomkiem kogoś z pierwotnego ciała założycielskiego Ceres, Inc.?

– „*Powiedz mu prawdę.*”

– Nie, Skodo. Nabyłem ten tytuł. Kupiłem całą spółkę. Jestem parweniuszem.

– „*Dobrze. Toujours de laudace!*”

– Słowo daje, Fourmyle! Szczerzy z pana człowiek.

– Widzisz? Mówiłam ci, że jest nieroztropny. Bardzo ożywczy. Na tej sali jest cała banda parweniuszy, ale oni się do tego nie przyznają. Elizabeth, chodź, poznaj Fourmyle’a z Ceres.

– Fourmyle! Umierałam z chęci poznania pana.

– „*To Lady Elizabeth Citroen.*”

– Czy to prawda, że podróżuje pan z podręcznym gimnazjum?

– „*Teraz lekki docinek.*”

– Z podręczną akademią, Lady Elizabeth.

– Ale dlaczego, Fourmyle?

– Och madame, tak trudno wydać w dzisiejszych czasach pieniądze. Musimy wynajdywać najbardziej zwariowane usprawiedliwienia. Gdyby tak ktoś potrafił wymyślić nową ekstrawagancję.

– Powinien pan podróżować z podręcznym wynalazcą, Fourmyle.

– Mam takiego, prawda, Robin? Ale traci czas usiłując skonstruować perpetuum mobile. Potrzebuję jeszcze tylko nadwornego rozrzutnika. Czy ktoś z waszych klanów nie miałby ochoty wypożyczyć mi swojego młodszego syna?

– Czy ktoś z nas by nie zechciał? Jest wielu takich, za których pozbycie się klan jeszcze by dopłacił.

– Czy prace nad perpetuum mobile nie są dla pana wystarczająco kosztowne, Fourmyle?

– Nie. To skandaliczne marnotrawstwo pieniędzy. Istotą ekstrawagancji jest działać jak głupiec i czuć się głupcem, ale bawić się tym. Co jest zabawnego w perpetuum mobile? Czy w entropii jest jakaś ekstrawagancja? Miliony na bzdury, ale ani centa na entropię. To mój slogan.

Wszyscy roześmieli się. Tłum otaczający Fourmyle’a rósł w oczach. Towarzystwo było zachwycone i rozbawione. Był dla nich nową zabawką. Potem nadeszła północ i gdy wielki zegar wybił godzinę zwiastując nadejście Nowego Roku, zgromadzenie zaczęło się szykować do jauntowania dookoła świata wraz z północą.

– Chodź z nami na Jawę, Fourmyle. Regis Sheffield wydaje tam cudowne przyjęcie dla prawników. Zagramy w „Trzeźwego sędziego”.

– Do Hongkongu, Fourmyle.

– Do Tokio, Fourmyle, w Hongkongu leje. Chodź z nami do Tokio i zabierz ze sobą swój

cyrk.

– Dziękuję, ale nie mogę. Udaję się do Szanghaju. Spotkamy się za dwie godziny. Gotowa, Robin?

– „*Nie jauntuj. To nieelegancko. Wyjdź pieszo. Nie spiesz się. Powolność należy do dobrego tonu. Uszanowania dla Gubernatora... Dla Komisarza... Dla ich pań... Bien. Nie zapomnij wręczyć napiwku służbie. Nie jem, idioto! To Wicegubernator. No, dobrze. Zrobiłeś wrażenie. Zaakceptowali cię. Co teraz?*”

– A po co przybyliśmy do Canberry?

– Myślałam, że na bal.

– Na bal i w poszukiwaniu człowieka nazwiskiem Forrest.

– Kto to jest?

– Ben Forrest, kosmonauta z „Vorgi”. Mam trzy tropy, wiodące do tego, który wydał rozkaz pozostawienia mnie na pastwę losu. Te trzy tropy to trzy nazwiska: kucharz z Rzymu o nazwisku Poggi; Orel – szarlatan z Szanghaju i ten tutaj, Forrest. To operacja kombinowana... wyższe sfery i poszukiwania. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Mamy dwie godziny na przyciśnięcie Forresta do muru. Znasz współrzędne Aussie Cannery? Tego wolnego miasta?

– Nie chce mieć nic wspólnego z twoimi porachunkami z „Vorgą”. Szukam tylko swojej rodziny.

– Jakkolwiek patrzeć, jest to operacja połączona – powiedział tak dzikim tonem, że zamrugła powiekami i jauntowała się z miejsca. Gdy Foyle przybył do swego namiotu w Cyrku Four Mile, obozującym na Jervis Beach, Robin przebierała się już w strój podróżny. Foyle spojrzał na dziewczynę. Chociaż zmusił ją, aby ze względu na własne bezpieczeństwo zamieszkała w jego namiocie, nie tknął jej już więcej. Robin pochwyciła jego spojrzenie, przestała się przebierać i czekała.

Pokręcił głową.

– Z tym już koniec.

– Ciekawe. Nie bawi cię już gwałt?

– Ubieraj się – powiedział chłodno. – Powiedz im, że mają dwie godziny na przeniesienie obozu do Szanghaju.

* * *

Było trzydzieści minut po północy, kiedy Foyle i Robin przybyli na roгатki wolnego

miasta Aussie Cannery. Zwrócili się o wydanie im plaketek identyfikacyjnych i zostali powitani przez samego burmistrza.

– Szczęśliwego Nowego Roku – kolędował burmistrz. – Życzę szczęścia, szczęścia i jeszcze raz szczęścia! Państwo z wizytą? Z przyjemnością obwiozę państwa po mieście. Państwo pozwolą ze mną. – Zapakował ich do wielgachnego helikoptera i wystartował. – Dzisiejszej nocy odwiedzają nas tłumy gości. Nasze miasto jest bardzo gościnne. To najgościnniejsze miasto na świecie.

Helikopter lawirował wśród niebotycznych budowli.

– To nasze lodowe pałace... w dole, na lewo baseny pływackie... Ta wielka kopuła to skocznia narciarska. Śnieg przez cały rok... Tam dalej to tropikalne ogrody pod szklanymi dachami. Palmy, papugi, orchidee, owoce. Na prawo nasz rynek... teatr... mamy też własną rozgłośnie, radiową. 3D–5S. Teraz przelatujemy nad stadionem futbolowym...

– Gadaj zdrów – mruknął pod nosem Foyle.

– Tak, pszešana, mamy tu wszystko. Dosłownie wszystko. Nie trzeba jauntować dookoła świata, aby znaleźć rozrywkę. Aussie Cannery sprowadza świat do was. Nasze miasto jest małym wszechświatem. Najszczęśliwym małym wszechświatem na świecie.

– Rozumiem przez to, że nie macie problemów z zasiedleniem miasta.

Burmistrz bez zająknięcia ciągnął dalej swą mowę pochwalną.

– Spójrzcie w dół na ulice. Widzicie te rowery? Te motocykle? Te samochody? Możemy pozwolić sobie na bardziej luksusowe środki transportu niż jakiegokolwiek inne miasto na Ziemi. Popatrzcie na domy. To rezydencje. Mieszkańcy naszego miasta są bogaci i szczęśliwi. Dokładamy starań, aby takimi byli.

– Ale czy udaje się wam zatrzymać ich na dłużej?

– Co ma pan na myśli? Oczywiście, my...

– Może nam pan powiedzieć prawdę. Nie jesteśmy kandydatami do osiedlenia się tutaj. Udaje się wam ich zatrzymać?

– Nie potrafimy zatrzymać ich dłużej niż sześć miesięcy – westchnął burmistrz. – To cholerne zmartwienie. Dajemy im wszystko, ale nie możemy trzymać ich siłą. Zapadają na manię podróźniczą i jauntują. Brak rąk do pracy pociągnął za sobą dwunastoprocentowy spadek produkcji naszych zakładów przemysłowych. Nie możemy utrzymać rytmicznego tempa produkcji.

– Nikt tego nie potrafi.

– Jakiś porządek powinien mimo wszystko być. Forrest, mówiliście? To już tutaj.

Wysadził ich przed domkiem przypominającym szwajcarski szałas, do którego przylegał piecioakrowy ogród i wystartował mruczając coś do siebie. Foyle i Robin podeszli do drzwi

i przystanęli, czekając aż kamera złapie ich w obiektyw i zaanonsuje gospodarzom. Zamiast tego drzwi zabłyśły czerwienią i pojawiła się na nich trupia czaszka ze skrzyżowanymi u dołu piszczelami. Jakiś blaszany głos oznajmił:

OSTRZEŻENIE. REZYDENCJA TA WYPOSAŻONA JEST W SYSTEM ZABEZPIECZAJĄCY SZWEDZKIEJ KORPORACJI PRODUKUJĄCEJ ŚRODKI OCHRONY ŚMIERCIONOŚNEJ. R:77-23. ZOSTAŁEŚ FORMALNIE OSTRZEŻONY.

– Co, u diabła? – mruknął Foyle. – W Sylwestra? Gościnnie facet, nie ma co. Spróbujemy od tyłu.

Obeszli domek dookoła, prześladowani przez trupią główkę ze skrzyżowanymi piszczelami rozbłyskującą w regularnych odstępach czasu i wygłaszane blaszanym głosem ostrzeżenie. Z jednej strony dostrzegli jasno oświetlone okienko piwnicy, z którego doleciał ich uszu przytłumiony chór głosów:

– Pan jest moim pasterzem, nie będę pożałował...

– Chrześcijanie Piwniczni! – wykrzyknął Foyle.

Pochylili się z Robin nad okienkiem i zajrzeli do środka. Na wspólnym i wysoce nielegalnym nabożeństwie celebrowało nadejście Nowego Roku trzydziestu wiernych zbliżonych wyznań. Dwudziesty czwarty wiek nie obalił jeszcze Boga, zniósł jednak zorganizowaną religię.

– Nic dziwnego, że ten dom jest tak zabezpieczony – powiedział Foyle. – Takie nielegalne praktyki. Spójrz tylko, są tam ksiądz i rabin, a ten przedmiot stojący za nimi to krzyż...

– Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek co znaczą niektóre słowa, których często używasz? – spytała cicho Robin. – Mówisz nieraz „O Jezu” albo „Jezu Chryste”, a wiesz co to w ogóle znaczy?

– Przekleństwa i tyle. Takie same jak „o kurczę” albo „do diabła”.

– Nie, to jest religia. Ty tego nie wiesz, ale za takimi słowami kryje się dwa tysiące lat, przez które coś one znaczyły.

– Nie ma czasu na gadanie po próżnicy – przerwał jej ze zniecierpliwieniem Foyle. – Zostawmy to na później. Teraz chodź.

Tylną ścianę domku stanowiła lita szklana tafla, będąca jednocześnie oknem skąpo oświetlonego, pustego salonu.

– Połóż się twarzą do ziemi. – rozkazał Foyle. – Wchodzę.

Robin legła posłusznie na brzuchu na marmurowej posadzce, którą wyłożone było patio. Foyle włączył swe ciało, przyspieszył i przemieniając się w rozmazaną w ruchu plamę

wytlukł dziurę w szklanej ścianie. Daleko w dolnym krańcu pasma częstotliwości akustycznych usłyszał głucho detonacje. To były wystrzały. W jego kierunku mknęły szybkie pociski. Przypadł do podłogi i przeczesując pasmo częstotliwości słyszalnych poczynając od najniższych basów, a na ultradźwiękach kończąc, dostroił swe uszy do szumu mechanizmów wykonawczych systemu zabezpieczającego. Kręcąc powoli głową sprecyzował ich położenie przez obouszne namierzanie kierunkowe, przeczołgał się pod gradem kul i zdemolował urządzenie. Wyłączył przyspieszenie.

– Wchodź. Szybko!

Robin, drżąc na całym ciele, dołączyła do niego w salonie. Gdzieś w głębi domu rozlegały się męczeńskie pojękiwania Chrześcijan Piwnicznych wysypujących się w panice z piwnicy.

– Poczekaj tu na mnie – mruknął Foyle.

Przyspieszył, przemknął rozmazaną plamą przez dom, znalazł Chrześcijan Piwnicznych zastygłych w pozach skamieniałych biegaczy i obejrzał ich sobie. Wrócił do Robin i wyłączył przyspieszenie.

– Żaden z nich nie jest Forrestem – oświadczył. – Może schronił się na górę. Wieje tylnym wyjściem, podczas gdy reszta pcha się frontowymi drzwiami. Idziemy.

Pognali po schodach na górę. Zatrzymali się na podeście, aby zorientować się w sytuacji.

– Musimy działać szybko – szepnął Foyle i nagle urwał nasłuchując. Zza drzwi widniejących u szczytu schodów dobiegło ciche kwilenie. Foyle pociągnął nosem.

– Analog! – wykrzyknął. – Tam musi być Forrest. No i co ty na to? W piwnicy nabożeństwo, a na strychu narkotyki.

– O czym ty mówisz?

– Później ci to wyjaśnię. Wchodzimy tam. Mam tylko nadzieję, że nie przyćpał na goryla.

Foyle sforsował drzwi jak traktor. Znaleźli się w wielkim pomieszczeniu o nagich ścianach. Z sufitu zwisała lina. W połowie drogi między podłogą, a sufitem wisiał opleciony wokół niej człowiek. Wijąc się pełzał po linie w górę i w dół wydając przy tym piskliwe dźwięki i wydzielając piżmowy odór.

– Pyton – stwierdził Foyle. – Transformacja już się zaczęła. Nie zbliżaj się do niego. Pogruchołały ci kości, gdybyś go dotknęła.

Z dołu ktoś zaczął wołać:

– Forrest! Co to za strzelanina? Szczęśliwego Nowego Roku, Forrest! Gdzie, u diabła, celebrowanie?

– Idą tutaj – mruknął Foyle. – Trzeba go stąd wyjauntować. Spotkamy się na plaży. Ruszaj!

Błyskawicznym ruchem wydobyl z kieszeni nóż, odciął linę, zarzucił sobie wijącego się mężczyznę na plecy i jauntował się. Robin znalazła się na pustej plaży Jervis Beach na chwilę przed nim. Foyle przybył tam z oplatającym jego kark i ramiona człowiekiem, który niczym pyton miażdżył go w strasliwym uścisku. Na twarzy Foyle'a pałało krwawoczerwone piętno.

– Sindbad – wyrzęził nieswoim głosem. – Starzec z Morza. Szybko mała! Prawa kieszeń. Trzecia od góry. Ampułka z igłą. Wbij mu ją byle gdzie... – zabrakło mu tchu.

Robin odpięła kieszeń i znalazła w niej paczuszkę szklanych paciorków. Każdy paciorek zaopatrzony był w ostrze, przypominające żądło pszczoły. Wbiła ostrze żądła ampułki w kark wijącego się mężczyzny. Natychmiast rozluźnił uścisk. Foyle strząsnął go z pleców i podniósł się z piasku.

– Chryste! – mruknął masując sobie gardło. Wziął głęboki oddech. – Psiakrew. Samokontrola – powiedział, na powrót przywracając swej postaci i twarzy wygląd niezmaconego spokoju. Szkarłatny tatuaż spelzł powoli z jego twarzy.

– Co to był za horror? – spytała Robin.

– Analog. Psychiatryczny narkotyk dla psychotyków. Zakazany. Czubek musi się jakoś rozładować powracając do natury. Utożsamia się z określonym gatunkiem zwierzęcia... z gorylem, z grizzlim, z bykiem, z wilkiem... Zażywa narkotyk i przemienia się w zwierzę, którym chciałby być. Wygląda na to, że Forrest ma bzika na punkcie węży.

– Skąd to wiesz?

– Mówiłem ci przecież, że studiuje... szykuję się na „Vorgę”. To jedna z rzeczy, których się do tej pory nauczyłem. Jeśli nie stchórzysz, pokażę ci coś więcej. Pokażę ci jak otrzeźwić czubka znajdującego się pod wpływem Analogu.

Foyle odpiął drugą kieszeń swojego kombinezonu i przystąpił do cucenia Forresta. Robin przyglądała się temu przez chwilę, potem wydała okrzyk przerażenia, odwróciła się i odeszła plażą w kierunku morza. Stała tam patrząc nieobecnym wzrokiem na bijące o brzeg fale i na gwiazdy, dopóki kwilenie i szamotanie za jej plecami nie ustały.

– Możesz już wrócić – zawołał Foyle.

Robin zbliżyła się, zastając roztrzęsioną kreaturę siedzącą prosto na piasku i wpatrującą się matowymi, trzeźwymi oczyma w Foyle'a.

– Ty jesteś Forrest?

– A kim ty, u diabła jesteś?

– Jesteś Ben Forrest, główny kosmonauta. Latałeś kiedyś na „Vordze” Presteigna.

Forrest krzyknął w przerażeniu.

– Byłeś na pokładzie „Vorgi” 16 sierpnia 2436 roku.

Mężczyzna załkał i potrząsnął głową.

– Szesnastego sierpnia minęliście wrak. Niedaleko pasa asteroidów. Wrak bliźniaczego statku – „Nomada”. Wzywał pomocy. „Vorga” nie udzieliła mu jej. Minęła go i zostawiła, żeby dryfował dalej i zginął. Dlaczego „Vorga” go minęła?

Forrest zaczął krzyczeć histerycznie.

– Kto wydał rozkaz pozostawienia „Nomada” na pastwę losu?

– Jezusie, nie! Nie! Nie!

– Z akt Bońesa i Uiga zniknęły wszystkie meldunki. Ktoś dobrał się do nich przede mną. Kto to był? Kto znajdował się wtedy na pokładzie „Vorgi”? Kto wtedy z tobą leciał? Chcę znać nazwiska oficerów i członków załogi. Kto dowodził?

– Nie! – wrzasnął Forrest. – Nie!

Foyle potrząsnął plikiem banknotów przed nosem rozhisteryzowanego mężczyzny.

– Za te informacje zapłacę ci pięćdziesiąt patyków. Będziesz miał Analog zapewniony do końca życia. Kto wydał rozkaz pozostawienia mnie na pewną śmierć, Forrest? Kto?

Mężczyzna wyrwał z dłoni Foylea banknoty, zerwał się na nogi i pokłusował płazą. Foyle dopadł go nad samą wodą. Forrest rozciągnął się jak długi na ziemi, wpadając głową w wodę. Foyle przytrzymał go w tej pozycji.

– Kto dowodził „Vorgą”, Forrest? Kto wydał ten rozkaz?

– Utopisz go! – krzyknęła Robin.

– Niech trochę pocierpi. W wodzie jest przyjemniej niż w próżni. Ja męczyłem się sześć miesięcy. Kto wydał ten rozkaz, Forrest?

Mężczyzna wypuszczał z ust pęcherzyki powietrza i krztusił się. Foyle wyciągnął mu głowę z wody.

– Co z ciebie za człowiek? Jesteś lojalny? Szalony? Boisz się? Typy twojego pokroju puszczają farbę za pięć patyków. Ja proponuję ci pięćdziesiąt. Pięćdziesiąt tysięcy za informację, ty sukinsynu, albo umrzesz powoli i w męczarniach.

Na twarzy Foylea znowu pojawił się tatuaż. Wepchnął głowę Forresta pod wodę, przytrzymując wrywającego się mężczyznę. Robin próbowała go odciągnąć.

– Zamordujesz go!

Foyle zwrócił ku niej swą straszliwą twarz.

– Precz z łapami, suko! Kto był z tobą na pokładzie, Forrest? Kto wydał ten rozkaz? Dlaczego?

Forrest szarpnął się i wynurzył głowę z wody.

– Było nas na „Vordze” dwunastu – wykrztusił. – Chryste, ocal mnie! Byłem ja, Kemp... Drgnął spazmatycznie i znieruchomiał. Foyle wyciągnął jego ciało z wody.

– No dalej. Ty i kto? Kemp? Kto jeszcze? No, mów.

Nie było odpowiedzi. Foyle zbadał ciało.

– Nie żyje – jęknął.

– O mój Boże! Mój Boże!

– Jeden trop diabli wzięli. I to wtedy, kiedy zaczął właśnie puszczać farbę. Co za cholerny pech. – Wziął głęboki oddech i niczym żelazną tarczę roztoczył wokół siebie aurę niezmaconego spokoju. Tatuaz zniknął mu z twarzy. Naregulował zegarek ustawiając go na sto dwadzieścia stopni długości wschodniej.

– W Szanghaju prawie północ. Ruszajmy. Może z Sergeiem Orelem, tym felczerem z „Vorgi”, będziemy mieli więcej szczęścia. Nie rób takiej wystraszonej miny. To dopiero początek. Ruszaj, mała. Jauntuj się!

Robin stała jak skamieniała. Dostrzegł, że z wyrazem niedowierzania na twarzy patrzy gdzieś ponad jego ramieniem. Odwrócił się. Na plaży majaczyła gorejąca postać – ogromny mężczyzna w płonącym ubraniu, o straszliwie wytatuowanej twarzy. To był on sam.

– Chryste! – wykrzyknął Foyle. Postąpił krok w kierunku swego płonącego wizerunku i ten nagle znikł.

Poszarzały na twarzy i drżący zwrócił się do Robin.

– Widziałaś to?

– Tak.

– Co to było?

– Ty.

– Na miłość boską! Ja? Jak to możliwe? Jak...

– To byłeś ty.

– Ale... – głos uwiązł mu w krtani. Opuściła go siła i szaleńcze opętanie. – Czy to było złudzenie? Halucynacja?

– Nie wiem. Też to widziałam.

– Boże wszechmocny! Żeby ujrzeć samego siebie... oko w oko... Ubranie stało w ogniu. Widziałaś? Co to mogło być, w imię boże?

– To był Gully Foyle – powiedziała Robin – smażący się w piekle.

– W porządku – wybuchnął złością Foyle. – To byłem ja w piekle, ale mimo to nie zrezygnuję. Jeśli spłonę w piekle, to „Vorga” spłonie razem ze mną. – Klasnął w dłonie otrząsając się z oszołomienia. – Na Boga, brnę w to dalej! Kolej na Szanghaj. Jauntuj!

ROZDZIAŁ 10

Na balu kostiumowym w Szanghaju Fourmyle z Ceres zbulwersował towarzystwo pojawiając się przebrany za Śmierć ze „Śmierci i panny” Dürera z olśniewającym blond stworzeniem u boku, spowitym w przezroczysty welon. Pomimo faktu, że w charakterze przyzwoitki towarzyszyła tej parze Robin Wednesbury, wiktoriańskie towarzystwo, które chroniło swe kobiety trzymając je w odosobnieniu i które uważało sukienki z 1920 roku noszone przez panie z klanu Peenmunde za zbyt wyzywające, było zaszokowane. Kiedy jednak Fourmyle wyjawiał, że jego towarzyszką była świetnie podrobioną androidką, nastąpił natychmiastowy zwrot opinii publicznej na jego korzyść. Towarzystwo było zachwycone podstępem. Nagie ciało, haniebne w przypadku ludzi, było po prostu bezpłciową ciekawostką, kiedy należało do androida.

O północy Fourmyle ogłosił licytację androidki, zapraszając do wzięcia w niej udziału obecnych na balu gentlemanów.

– Czy pieniądze zostaną przeznaczone na cele dobroczynne, Fourmyle?

– Wykluczone. Znacie przecież mój slogan: „Ani centa na entropię”. Czy dobrze usłyszałem? Sto kredytów za to kosztowne i śliczne stworzenie? Sto, panowie? Ona jest skończoną piękną, a do tego bardzo dobrze adaptuje się w nowych warunkach. Dwieście? Dziękuję. Trzysta pięćdziesiąt? Dziękuję. Kto da więcej? Pięćset? Osiemset? Dziękuję. Czy ktoś da więcej za to znakomite dzieło nadwornego geniusza z Cyrku Four Mile? Chodzi, rozmawia, jest uległa. Jest tak zaprogramowana, żeby była miła dla osoby oferującej najwyższą cenę. Dziewięćset? Dziewięćset po raz pierwszy. Dziewięćset po raz drugi. Dziewięćset po raz trzeci. Sprzedana Lordowi Yale za sumę w wysokości dziewięćset kredytów.

Rozległy się burzliwe oklaski i zatrwożone kalkulacje:

– Taki android musi być wart z dziewięćdziesiąt tysięcy! Jak może go być stać na taką rozrzutność?

– Czy zechce pan przekazać te pieniądze androidce, Lordzie Yale? Odpowiednio się panu odwdzięczy. Do zobaczenia w Rzymie, panie i panowie... Pałac Borgiów o północy.

Szczęśliwego Nowego Roku.

Kiedy, ku zachwytowi swojemu i innych kawalerów, Lord Yale odkrył, że popełnione zostało podwójne oszustwo, Fourmyle'a nie było już wśród zebranych. Androidka była w rzeczywistości żywym, ludzkim stworzeniem, skończoną piękną i to bardzo uległą. Po wręczeniu jej dziewięciuset kredytek była nad wyraz miła. Trik ten był przez cały rok tematem rozmów w palarniach. Mężczyźni nie posiadający partnerek, czekali pełni entuzjazmu, aby pogratulować Fourmyle'owi.

A Foyle z Robin Wednesbury mijali właśnie szyld głoścący w siedmiu językach:

TU ZDWOISZ SZYBKOŚĆ JAUNTOWANIA LUB OTRZYMASZ
ZWROT KOSZTÓW W POSTACI PODWOJONEJ WNIESIONEJ OPŁATY
I wkraczali do ośrodka, w którym rządy sprawował:
DR SERGEI OREL, CUDOTWÓRCA W DZIEDZINIE ROZWIANIA
ZDOLNOŚCI PSYCHOKINETYCZNYCH MÓZGU.

Poczekalnia udekorowana była niesamowitymi planszami objaśniającymi, w jaki sposób dr Orel przykłada na mózg okłady, stawia na nim bańki, balsamuje go i poddaje elektrowstrząsom, a wszystko to w celu zdwojenia możliwości tego organu albo zwrotu wniesionej opłaty w podwójnej wysokości. Specjalista ten podwajał również pojemność pamięci przeciwgorączkowymi proszkami na przeczyszczenie, podbudowywał morale środkami wzmacniającymi oraz leczył wszelkie zbolełe dusze Maścią na rany Orela.

W poczekalni nie było nikogo. Foyle otworzył na chybił trafił jakieś drzwi. Zajrzeli z Robin do długiej sali. Foyle skrzywił się z niesmakiem.

– Wylęgarnia. Można się było spodziewać, że sięgnie również po chorych na głowę.

Melina ta zaspokajała potrzeby Kolektorów Chorób, najbardziej beznadziejnym spośród nerwicomanów. Leżeli w szpitalnych łóżkach umiarkowanie cierpiąc na wywoływane w nielegalny sposób para-odrę, para-grypę, para-malarię, dogładani troskliwie przez pielęgniarki w białych nakrochmalonych fartuchach i cieszyli się swymi nielegalnymi przypadłościami oraz uwagą, którą one zwracają.

– Popatrz na nich – powiedział pogardliwie Foyle. – Obrzydliwe. Jeśli istnieje coś plugawszego od religijnego narkomana, to jest nim wieczny chory.

– Dobry wieczór – rozległ się za ich plecami jakiś głos.

Foyle zamknął drzwi i odwrócił się. Doktor Sergei Orel zgiął się w ukłonie. W klasycznym ubiorze lekarza z klanu medycznego, do którego, jak twierdził, należał, a składającym się z białego czepka, fartucha i chirurgicznej maski, wyglądał rześko i sterylnie. Był niskim, smagłym mężczyzną o oliwkowych oczach, a jego rosyjskiego pochodzenia można się było domyślić jedynie z nazwiska. Przeszło wiek jauntingu tak

wymieszał wszystkie narodowości świata, że zatarciu uległy wszelkie typy rasowe.

– Nie spodziewaliśmy się, że będzie miał pan otwarte w Sylwestra – powiedział Foyle.

– Nasz rosyjski Nowy Rok przychodzi o dwa tygodnie później – wyjaśnił doktor Orel. – Proszę tedy – wskazał drzwi i znikł z cichutkim cmoknięciem. Za drzwiami ukazała się ich oczom długa kondygnacja schodów. Gdy Foyle z Robin zaczęli wstępować na stopnie, doktor Orel pojawił się parę schodków nad nimi.

– Tedy proszę. Och... chwileczkę. – Znikł i pojawił się znowu za nimi. – Zapomnieli państwo zamknąć drzwi. – Zatrzasnął drzwi i jauntował się ponownie. Tym razem zjawił się wysoko, u szczytu schodów. – Proszę wejść.

– Popisuje się – mruknął pod nosem Foyle. – Zdwoisz szybkość jauntowania, albo otrzymasz zwrot kosztów w postaci podwojonej wniesionej opłaty. Wszystko jedno, jest szybki. Będę musiał być jeszcze szybszy.

Weszli do gabinetu konsultacyjnego. Była to nadbudówka o szklanym dachu. Pod ścianami stały zbytkowne, ale przestarzałe aparaty medyczne: maszyna do kąpieli uspokajającej; krzesło elektryczne do wstrząsowego leczenia schizofreników; analizator EKG do śledzenia rozwoju chorób nerwowych oraz stare mikroskopy – optyczny i elektronowy.

Szarlatan czekał już na nich siedząc za biurkiem. Gdy weszli, jauntował się do drzwi, zamknął je, jauntował się z powrotem za biurko, zgiął się w ukłonie, wskazał krzesła, jauntował się za Robin, aby podtrzymać jej krzesło, gdy siadała, jauntował się do okna i zaciągnął zasłony, jauntował się do kontaktu i wyregulował natężenie oświetlenia, po czym znowu pojawił się za biurkiem.

– Rok temu – powiedział z uśmiechem – wcale nie potrafiłem jauntować. Potem odkryłem sekret, który...

Foyle dotknął językiem klawiatury zainstalowanej w końcówkach nerwów jego zębów. Przyspieszył. Wstał, podszedł spokojnie do postaci za biurkiem poruszającej się wolno i bełkoczącej coś głębokim basem, zamachnął się i naukowo grzmotnął Orela w oko, powodując wstrząs czołowych płatów mózgu i porażając ośrodek jauntingu. Zaniósł szarlatana na krzesło elektryczne i przytoczył go doń pasami. Cała akcja zajęła mu w przybliżeniu pięć sekund. Dla Robin Wednesbury była to rozmazana plama ruchu.

Foyle wyłączył przyspieszenie. Szarlatan otworzył oczy, spróbował się poruszyć i zorientowawszy się gdzie go posadzono, wpadł w złość okraszona zdumieniem.

– Jesteś Sergei Orel, felczer z „Vorgi” – powiedział spokojnie Foyle. – Szesnastego sierpnia 2436 roku znajdowałeś się na pokładzie „Vorgi”.

Złość i zdumienie malujące się na twarzy Orela ustąpiły miejsca przerażeniu.

– Szesnastego sierpnia minęliście wrak. Niedaleko pasa asteroidów. To był wrak

„Nomada”. Wzywał pomocy i „Vorga” mu jej nie udzieliła. Zostawiliście go, żeby dryfował i zginął. Dlaczego?

Orel potoczył wokół przerażonym wzrokiem, ale nie odpowiedział.

– Kto wydał rozkaz zostawienia mnie? Kto chciał, żebym zgnił tam i umarł?

Orel zaczął coś szwargotać.

– Kto był wtedy na pokładzie? Kto z tobą leciał? Kto dowodził? Chcę otrzymać odpowiedzi na pytania. Nie myśl, że zrezygnuję – powiedział Foyle z chłodnym okrucieństwem. – Kupię, albo wydrę je od ciebie. Czemu skazano mnie na śmierć? Kto wam kazał mnie zostawić?

Orel wrzasnął.

– Nie mogę o tym mó... Poczekaj, powiem...

Zwisł na pasach.

Foyle zbadał ciało.

– Nie żyje – mruknął. – I to w chwili, kiedy już chciał mówić. Tak samo jak Forrest.

– Zamordowałeś go.

– Nie. Nawet go nie tknąłem. To było samobójstwo – zachichotał bez cienia wesołości Foyle.

– Jesteś szalony.

– Nie, ubawiony. Nie zabiłem ich; zmusiłem ich tylko, aby sami zadali sobie śmierć.

– Co to za brednie?

– Założono im Bloki Sympatyczne. Wiesz coś o BS-ach, mała? Wywiad zakłada je swoim agentom. Bierze się jakąś istotną informację, która nie ma prawa wyjść na jaw, sprzęga ją z sympatycznym systemem nerwowym, który steruje bezwarunkowym odruchem oddychania i biciem serca. Gdy tylko obiekt próbuje wyjawić te informacje, włącza się blokada, serce i płuca przestają pracować i człowiek umiera. Tajemnica zostaje zachowana. Agent nie musi się kłopotać czy ma popełnić samobójstwo celem uniknięcia tortur, czy też nie; robi się to za niego.

– I tak zrobiono tym ludziom?

– Najwyraźniej.

– Ale dlaczego?

– Skąd mam wiedzieć? Nie tłumaczy tego przewóz uchodźców. Żeby zostały podjęte takie środki ostrożności, „Vorga” musiała być wplątana w jakieś ciemniejsze interesy. Ale mamy teraz problem. Naszą ostatnią nitką jest Poggi z Rzymu. Angelo Poggi, pomocnik kucharza z „Vorgi”. Jak wyciągnąć od niego informacje bez... – Urwał.

Przed nim, z twarzą płonąca krwawoczerwonym tatuażem, w płonącym ubraniu, stał

cichy i złowieszczy jego sobowtór. Foyle skamieniał. Wziął głęboki oddech i przemówił drżącym głosem:

– Kim jesteś? Co ty...

Zjawa znikła.

Foyle oblizując wargi odwrócił się do Robin.

– Widziałaś to? – Odpowiedział mu wyraz jej twarzy. – Czy to było realne?

Wskazała na biurko Sergeia Orela, przy którym przed chwilą stała zjawa. Leżące na biurku papiery zajęty się ogniem i płonęły teraz wesoło. Foyle cofnął się, wciąż przestraszony i oszołomiony. Przesunął dłonią po twarzy. Była wilgotna.

Robin podbiegła do biurka i próbowała stłumić płomienie. Chwytała pliki papierów i listów i machała nimi bezradnie. Foyle nie ruszał się.

– Nie mogę tego ugasić – wykrztusiła wreszcie zdyszana. – Musimy stąd uciekać.

Foyle skinął głową, a potem mobilizując całą siłę woli wziął się w garść.

– Rzym – powiedział chrapliwym głosem. – Jauntujemy się do Rzymu. Musi istnieć jakieś wyjaśnienie tego wszystkiego. Znajdę je, na Boga! A tymczasem w drogę. Kierunek Rzym. Ruszaj, mała. Jauntuj!

* * *

Od czasów średniowiecza Schody Hiszpańskie pozostają głównym siedliskiem zepsucia w Rzymie. Pnące się szeroką promenadą od Piazza di Spagna do ogrodów Villa Borghese, Schody Hiszpańskie obfitują, obfitowały i zawsze będą obfitować występkiem. Po schodach tych, dniem i nocą wałęsają się stręczyciele, prostytutki, zbrodniarze, lesbijki i bierni homoseksualiści. Bezczelni i arogancy manifestują swoją upadłość, drwiąc sobie z przechodzących tamtędy czasami porządnych ludzi.

Schody Hiszpańskie uległy zniszczeniu podczas wojen atomowych toczących się u schyłku dwudziestego wieku. Potem odbudowano je i ponownie zniszczono podczas wojny o Restaurację Świata w dwudziestym pierwszym wieku. Odbudowano je znowu i tym razem przykryto odporną na wybuchy kryształową banią, przekształcając schody w stopniową Galerię. Kopuła Galerii przesłaniała widok z okna pokoju śmierci w domu Keatsa. Zwiedzający nie mogli już zerkać przez wąskie okno, aby rzucić okiem na widok, który oglądały gasnące oczy poety. Widzieli teraz okopconą kopułę Schodów Hiszpańskich, a w dole pod nią zniekształcone sylwetki przedstawicieli światka zepsucia.

Galeria Schodów była nocą oświetlana i tegoroczny Sylwester nie stanowił w tym względzie wyjątku. Od tysięcy lat Rzym witał Nowy Rok bombardowaniem... rzucono

petardy, rakiety, torpedy, strzelano z broni palnej, z butelek, walono w stare garnki i patelnie. Od miesiący Rzymianie składali odpadki, aby gdy wybije północ wyrzucić je z ostatniego pietra. Kiedy Foyle i Robin, wyszedłszy z balu karnawałowego, który odbywał się w pałacu Borgiów, schodzili po stopniach w dół, huk fajerwerków puszcanych wewnątrz kopuły Schodów i klekot rupieci spadających od zewnątrz na jej sklepienie były ogłuszające.

Foyle i Robin byli wciąż w kostiumach balowych; on we wściekłym, karmazynowo-czarnym trykocie i w tunice Cezara Borgii, ona w inkrustowanej srebrem sukni Lukrecji Borgii. Na twarzach mieli oboje groteskowe, aksamitne maski. Kontrast między ich renesansowymi strojami, a nowoczesnymi ubraniami kłębiącego się na Schodach Hiszpańskich tłumu, wywoływał drwiny i gwizdy. Nawet Lobesi – bywalcy Schodów, niefortunni notoryczni kryminaliści, którym wypalono po ćwiartce mózgu, przeprowadzając lobotomię płatów czołowych, otrząsnęli się ze swej posępnej apatii, aby popatrzeć na dziwną parę schodzącą Galerią.

– Poggi – zawołał Foyle. – Angelo Poggi?

Jakiś stręczyciel wrzasnął pod jego adresem anatomiczne przekleństwo.

– Poggi? Angelo Poggi? – wołał niewzruszenie Foyle. – Mówiono mi, że dzisiejszej nocy mogę go znaleźć na Schodach. Angelo Poggi?

Jakaś dziwka oczerniła jego matkę.

– Angelo Poggi? Dziesięć kredytów temu, kto mi go sprowadzi.

Otoczył Foyle las wyciągniętych łap. Jedne były brudne, inne wyperfumowane, a wszystkie chciwe. Potrzęsnał głową.

– Najpierw mi go pokażcie.

Rozpętała się wokół niego żywiołowa rzymska wściekłość.

– Poggi? Angelo Poggi?

Po sześciu tygodniach bezowocnego wałęsania się po Schodach Hiszpańskich kapitan Yáng–Yeovil usłyszał wreszcie słowa, na które czekał. Sześć tygodni żmudnego podszywania się pod dawno zmarłego, niejakiego Angelo Poggi, pomocnika kucharza z „Vorgi”, przyniosło nareszcie rezultaty. Wywiad włączył się do tej gry z chwilą, gdy kapitanowi Yáng–Yeovilowi doniesiono, że ktoś ostrożnie rozpytuje o załogę „Vorgi” Presteigna, płacąc za informacje ciężkie pieniądze.

– To trudna operacja – powiedział wtedy Yáng–Yeovil – ale tej szaleńczej próby wysadzenia „Vorgi” w powietrze dokonał właśnie Gully Foyle, AS–128/127.006. No a dwadzieścia funtów PirE warte jest zachodu.

Teraz, kołysząc się w biodrach, wstępował po schodach podchodząc do człowieka w renesansowym kostiumie i w masce. Dzięki kuracji hormonalnej przybrał na wadze

czterdzieści funtów. Cerę przyciemnił umiejętnie dobraną dietą. Jego fizjonomia, nie zdradzająca bynajmniej cech orientalnych, a zbliżona raczej do jastrzębich rysów twarzy starożytnego amerykańskiego Indianina, przy pewnej kontroli nad mimiką pasowała swobodnie do niezbyt jasno opisanego pierwowzoru.

Tak więc agent kołysząc się w biodrach wstępował teraz po Schodach Hiszpańskich niczym tłusty kogut o złodziejskiej twarzy. Zbliżywszy się do Foyla podał mu paczuszkę poplamionych kopert.

– Sprośne obrazki, signore? Chrześcijanie Piwniczni, klęczący, modlący się, śpiewający psalmy, całujący krzyż? Bardzo nieprzyzwoite. Bardzo świńskie, signore. Zabawią pańskich przyjaciół... Podniecą damy.

– Nie – Foyle odsunął wtykaną mu pornografię na bok. – Szukam Angela Poggi.

Yáng–Yeovil dał mikro sygnał. Jego ludzie znajdujący się na schodach, nie zaprzestając ani na chwile stręczycielstwa i nierządu, zaczęli fotografować i rejestrować przebieg rozmowy. Wokół Foyla i Robin, w gradzie ledwie zauważalnych tików, ruchów nosem, gestów, póż i min rozsygnalizowała się Tajna Mowa Tongu Wywiadowczego Sił Zbrojnych Planet Wewnętrznych. Był to starożytny chiński język znaków przekazywanych za pomocą powiek, brwi, nosa, koniuszków palców oraz nieskończenie drobnych ruchów ciała.

– Słucham. Signore? – wysapał Yáng–Yeovil.

– Angelo Poggi?

– Si, signore. Jestem Angelo Poggi.

– Pomocnik kucharza z „Vorgi”? – Spodziewając się tego samego napadu strachu, jaki manifestowali na samo wspomnienie o „Vordze” Forrest i Orel, a którego przyczynę wreszcie zrozumiał, Foyle wyciągnął rękę i złapał Yáng–Yeovila za łokieć. – Tak?

– Si, signore – odparł z niezmaconym spokojem Yáng–Yeovil. – Czym mogę panu służyć?

– Może ten wyjdzie z tego cało – mruknął Foyle do Robin. – Nie przestraszył się. Może potrafi obejść blokadę. Chce uzyskać od ciebie pewne informacje, Poggi.

– Jakiego rodzaju, signore i za ile?

– Chce kupić wszystko, co masz do sprzedania. Wszystko co wiesz. Ile żądasz?

– Ależ, signore! Jestem człowiekiem leciwym i doświadczonego. Nie handluję po cenach hurtowych. Należy mi płacić pozycja po pozycji. Pan wybiera, a ja wymieniam cenę. Co chce pan wiedzieć?

– Czy byłeś na pokładzie „Vorgi” 16 sierpnia 2346 roku?

– Cena tej pozycji wynosi 10 kredytek.

Foyle uśmiechnął się niewesoło i zapłacił.

– Byłem, signore.

– Chcę się dowiedzieć czegoś o statku, który minęliście w pobliżu pasa asteroidów. O wraku „Nomada”. Minęliście go szesnastego sierpnia. „Nomad” wzywał pomocy, a „Vorga” przeszła obok i nie udzieliła mu jej. Kto wydał taki rozkaz?

– Ach, signore!

– Kto wydał wam taki rozkaz i dlaczego?

– Czemu pan o to pyta, signore?

– Nieważne. Mów ile chcesz i gadaj.

– Zanim odpowiem, muszę wiedzieć na co panu ta informacja, signore. – Na tłustym obliczu Yáng–Yeovila wykwitł chytry uśmieszek. – Zapłacę za swoją dociekliwość opuszczając cenę. Dlaczego interesuje się pan „Vorgą” i „Nomadem” i tym skandalicznym porzuceniem w kosmosie? Czy to może pan był tym nieszczęśliwcem, którego tak okrutnie potraktowano?

– *„On nie jest Włochem! Akcent ma świetny, ale używa złej składni. Żaden Włoch nie budowałby takich zdań.”*

Foyle zeszytniał zaalarmowany. Bystre oczy Yáng–Yeovila, wprawione w wychwytywaniu najdrobniejszych szczegółów, dostrzegły zmianę, jaka zaszła w jego postawie. Z miejsca zorientował się, że został w jakiś sposób zdemaskowany. Dał bezzwłocznie sygnał swym ludziom.

Na Schodach Hiszpańskich wywiązała się gwałtowna bijatyka. Foyle i Robin zostali w jednej chwili porwani przez wrzeszczącą i walczącą bandę. Ludzie z Tongu Wywiadowczego byli niezrównanymi mistrzami w przeprowadzaniu tego manewru, oznaczonego kryptonimem OP–1, a mającego na celu zaskoczenie świata jauntingu. Ta przeprowadzana w ułamku sekundy operacja mogła wytrącić z równowagi każdego człowieka i obnażyć go, celem identyfikacji. Jej powodzenie opierało się na fakcie, że między niespodziewanym atakiem, a reakcją obronną musiała zawsze wystąpić pewna zwłoka czasowa, tzw. czas martwy. W tym czasie Tong Wywiadowczy gwarantował, że nie dopuści nikogo do jauntowania się.

W przeciągu trzech piątych sekundy, Foyle został sponiewierany, powalony na kolana, rąbnięty w czoło, przewrócony na stopnie i rozciągnięty na nich z rozpostartymi rękoma i nogami. Zdarto mu z twarzy maskę, ściągnięto ubranie i tak przygotowany i bezsilny oczekiwał już tylko na zgwałcenie kamerami identyfikacyjnymi. I właśnie wtedy, po raz pierwszy w historii Tongu, harmonogram operacji uległ zakłóceniu.

Nad ciałem Foyle'a pojawił się człowiek na rozkraczonych nogach – ogromny mężczyzna o straszliwie wytatuowanej twarzy w dymiącym i płonącym ubraniu. Zjawa była tak

przerażająca, że agenci stanęli jak rażeni piorunem i gapili się na nią z rozdziawionymi ustami. Tłum zebrany na Schodach wydał jęk zgrozy.

– Płonący Człowiek! Patrzcie! Płonący Człowiek!

– Ale to Foyle! – wyszeptał Yáng–Yeovil.

Zjawa stała tak może z ćwierć minuty milcząc, płonąć i patrząc niewidzącymi oczyma, potem znikła. Rozpostarty na schodach mężczyzna znikł również. Przedzierzgnął się w rozmazaną w błyskawicznym ruchu plamę, która śmigła wśród ludzi Wywiadu wyszukując i niszcząc kamery, rejestratory i wszelkie aparaty identyfikacyjne. Potem plama pochwyciła dziewczynę w renesansowej sukni i rozplynęła się z nią w powietrzu.

Schody Hiszpańskie ożyły znowu, jak gdyby otrząsając się z koszmaru. Oszołomieni agenci Wywiadu zbili się w gromadkę wokół Yáng–Yeovila.

– Co to było, na miłość boską, Yeo?

– Myślę, że to był nasz człowiek – Gully Foyle. Widzieliście tę wytatuowaną gębę?

– I płonące ubranie!

– Wyglądał jak czarownica na stosie.

– Ale jeśli ten Płonący Człowiek był Foylem, to na kogo, u diabła, marnowaliśmy czas?

– Nie wiem. Czyżby Brygada Komandosów zafundowała sobie służbę wywiadowczą i nie zadała sobie trudu, aby nam o tym wspomnieć?

– Dlaczego akurat Komandosi, Yeo?

– Widzieliście jak przyspieszył, prawda? Zniszczył całą dokumentację, jaką zrobiliśmy.

– Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co widziałem.

– Och, ty wierzysz nawet w to, czego nie widziałeś. To była najściślejsza tajemnica Desantu. Rozbierają swoich ludzi na kawałki i wymieniają im cały system nerwowy oraz układ ruchu. Musze się skontaktować z dowództwem na Marsie i zapytać, czy Brygada Komandosów nie prowadzi równoległego śledztwa.

– Od kiedy to armia spowiada się marynarce?

– Wypowiadają się przed Wywiadem – powiedział ze złością Yáng–Yeovil. – Sprawa jest na tyle poważna, że nie ma w niej miejsca na ceregiele. I jeszcze jedno: Nie było powodu, aby w trakcie manewru tarnosić tę dziewczynę. To była niepotrzebna niesubordynacja. – Yáng–Yeovil przerwał, nieświadomy krzyżujących się wokół niego znaczących spojrzeń. – Musze się dowiedzieć kim ona była – dodał rozmarzonym głosem.

– Jeśli ona też została przyspieszona, to może to być interesujące, Yeo – odezwał się słodki głos, wyraźnie pozbawiony ukrytego znaczenia. – Chłopiec spotyka Komandoskę...

Yáng–Yeovil zaczerwienił się.

– W porządku – przyznał. – Nie potrafię tego ukryć.

– Powtarzasz się tylko, Yeo. W ten sam sposób zaczynają się wszystkie twoje romanse. „Nie było potrzeby poniewierania tej dziewczyny...”, i potem – Dolly Quaker, Jean Webster, Gwynn Roget, Marion...

– Tylko bez nazwisk! – przerwał wstrząśnięty głos. – Czy Romeo rozповідаł o Julii?

– Na jutro wszyscy są wyznaczeni do szorowania latryn – powiedział Yáng-Yeovil. – Niech mnie diabli, jeśli pozwolę, na taką sprośną niesubordynację. Nie, nie na jutro; ale zaraz po zamknięciu tej sprawy. – Jego jastrzębia twarz pociemniała. – Mój Boże, co za bryndza! Czy zapomnicie kiedykolwiek Foyla stojącego tam jak płonąca pochodnia? Ale gdzie on jest? Do czego zmierza? Co to wszystko znaczy?

ROZDZIAŁ 11

Rezydencja Presteigna z Presteignów w Central Park była z okazji nadejścia Nowego Roku rześście oświetlona. Urocze, antyczne żarówki elektryczne z zygzakowatymi żarnikami i o spiczastych bańkach rzucały wokół ciepłe światło. Na tę specjalną okazję usunięto jauntoszczelny labirynt i otwarto wielkie wrota wejściowe. Wnętrze budynku zasłonięto przed ciekawym wzrokiem zebranej na zewnątrz gawiedzi, wysadzonym klejnotami parawanem, ustawiając go tuż za wrotami.

Gapie szeptali między sobą i witali okrzykami bardziej i mniej sławne klany i septy przybywające pod dom Presteigna autami, powozami, bryczkami i wszelkimi innymi rodzajami luksusowych środków transportu. Przed wrotami swej rezydencji stał sam Presteign – szpakowaty, przystojny, z nieodłącznym, bazyliżkowym uśmiechem na ustach – i witał towarzystwo. Ledwie jedna znakomitość przekroczyła gościnne progi i zniknęła za parawanem, a już z turkotem kół, w wehikule jeszcze fantastyczniejszym, podjeżdżała następna, jeszcze sławniejsza.

Colasowie przybyli w cygańskim wozie. Rodzina Esso (sześciu synów i trzy córki) wzbudziła zachwyty nadjeżdżając autobusem marki Greyhound, przykrytym szklanym dachem. Natomiast Greyhound przyjechał wózkiem akumulatorowym Edisona, niemalże depreczając im po piętach, co stało się przyczyną wielu żartów i przekomarzań przed wejściem. Kiedy jednak jako następny wysiadł ze swego napędzanego benzyną powoziku ESSO Edison z Westinghouse, zamykając tym samym kółko, śmiech na schodach przerodził się w ryk.

W chwili gdy grupka gości odwróciła się, aby wejść do domu Presteigna, uwagę wszystkich przykuł dochodzący z oddali zgiełk. Był to dudniący, bolesny dla uszu terkot młotów pneumatycznych i przeraźliwy, metaliczny jazgot. Hałas przybliżał się z każdą sekundą. Najdalsze kręgi gapiów rozstąpiły się, tworząc szeroki szpaler. Utworzoną w ten sposób aleją pędziła z turkotem ogromna ciężarówka. Sześciu ludzi zwałało z jej skrzyni drewniane belki. Za ciężarówką posuwała się dwudziestoosobowa brygada robotników, starannie układając te belki w rzędy.

Presteign i jego goście przyglądali się w osłupieniu rozgrywającej się na ich oczach

scenie. Pełzając po ułożonych dopiero co belkach nadjeżdżała z wyciem i łomotem gigantyczna maszyna. Za nią układano równoległe nitki stalowych szyn. Brygada robotników z młotami kowalskimi i pneumatycznymi przytwierdzała szyny sworzniami do podkładów. Tor położono pod same wrota rezydencji Presteigna, spod których łagodnym łukiem wykręcał on z powrotem. Wyjąca maszyna, a z nią brygada robotników zniknęły w ciemnościach.

– Dobry Boże! – rozległ się wyraźny w zapadłej nagle ciszy głos Presteigna. Z domu wysypali się goście, ciekawi przyczyny hałasu.

Gdzieś w dali rozległ się przenikliwy gwizd. Torem nadjeżdżał człowiek na białym koniu, dzierżący w dłoni wielką, czerwoną flagę. Za nim sapała parowa lokomotywa, ciągnąca jeden odkryty wagon. Pociąg zatrzymał się przed wrotami rezydencji Presteigna. Ze stopnia wagonu zeskoczył konduktor, a za nim steward. Steward przystawił do drzwi wagonu schodki, po których zeszli na ziemię dama i gentleman w strojach wieczorowych.

– Nie powinno potrwać długo – zwrócił się gentleman do konduktora. – Proszę wrócić po nas za godzinę.

– Dobry Boże! – wykrzyknął znowu Presteign.

Pociąg posapując i dysząc odjechał. Przybyła para wstąpiła na schody.

– Dobry wieczór, Presteignie – odezwał się gentleman. – Strasznie mi przykro, że mój koń zrył kopytami twoje tereny, ale stare nowojorskie przepisy nadal wymagają noszenia przed pociągiem czerwonej flagi.

– Fourmyle! – krzyknęli goście.

– Fourmyle z Ceres! – wzniesli okrzyk gapie.

Przyjęcie u Presteigna miało już zapewniony sukces.

W ogromnym, obitym aksamitem i pluszem holu, Presteign przyjrzał się ciekawie Foylowi. Foyle znosił ze spokojem przenikliwe spojrzenie stalowoszarych źrenic, pozdrawiając w międzyczasie skinieniami głowy i uśmiechami pozyskanych dzisiejszej nocy od Canberry do Nowego Jorku entuzjastycznych wielbicieli, z którymi gawędziła Robin.

– „*Samokontrola*” – myślał. – „*Zimna krew, opanowanie i mózg. Po tym idiotycznym zamachu na „Vorgę” walcował mnie w swoim gabinecie przez godzinę. Czy mnie teraz rozpozna?*” Twoja twarz wydaje mi się znajoma, Presteignie – powiedział Fourmyle. – Czy nie spotkaliśmy się już kiedyś?

– Do dzisiejszego wieczoru nie miałem honoru poznania Fourmyle’a – odparł dwuznacznie Presteign.

Foyle ćwiczył się w czytaniu ludzkich twarzy, ale surowe, przystojne oblicze Presteigna było nieodgadnione. Stojąc tak oko w oko, jeden obojętny i wzbudzający szacunek, drugi powściągliwy i nieugięty, wyglądali jak dwie mosiężne statuetki rozgrzane do białości

i mające się za chwilę stopić.

– Mówiono mi, że szcycisz się swoim parweniuszostwem, Fourmyle.

– Tak. Biorę przykład z Presteigna Pierwszego.

– Czyżby?

– Pamiętasz zapewne, iż szczycił się on zbiciem majątku na czarnym rynku plazmy podczas trzeciej Wojny Światowej.

– To była druga Wojna Światowa, Fourmyle. Ale hipokryci naszego klanu nigdy go nie uznali. Nazywał się wtedy Payne.

– Nie wiedziałem.

– A jakież było twoje nieszczęsne nazwisko, zanim zmieniłeś je na Fourmyle?

– Brzmiało Presteign.

– Naprawdę? – bazylijski uśmiech wyrażał uznanie za celne trafienie. – A więc rościsz sobie pretensje do powinowactwa z naszym klanem?

– Będę je rościł w swoim czasie.

– O jaki stopień powinowactwa chodzi?

– Powiedzmy... o pokrewieństwo.

– To bardzo interesujące. Znajduję u ciebie pewną fascynację krwią, Fourmyle.

– To bez wątpienia rodzinne, Presteignie.

– Jesteś łaskaw być cynicznym – stwierdził nie bez cynizmu Presteign. – Ale masz rację. Zawsze mieliśmy fatalną słabość do krwi i pieniędzy. To nasza wada. Sam to przyznaję.

– A ja ją dzielam.

– Pasję do krwi i pieniędzy?

– Właśnie. Najzarliwiej.

– Bez litości, bez wybaczenia, bez hipokryzji?

– Bez litości, bez wybaczenia, bez hipokryzji.

– Fourmyle, młodzieńcze, jesteś moją bratnią duszą. Nawet gdybyś nie rościł sobie praw do powinowactwa z naszym klanem, i tak byłbym zmuszony cię adoptować.

– Spóźniłeś się, Presteignie. To ja właśnie adoptuję ciebie.

Presteign ujął Foylea pod ramię.

– Muszę przedstawić cię mojej córce, Lady Olivii. Czy pozwolisz?

Przeszli przez hol recepcyjny. Foyle pomyślał przez chwilę, czy nie warto by przywołać Robin, aby ostrzegła go przed zbliżającym się niebezpieczeństwem, ale sukces za bardzo uderzył mu do głowy:

– „*On nie wie. Nigdy się nie dowie.*”

Potem przyszła wątpliwość.

– „Ale nigdy się też nie dowiem, czy on wie. Jest z tyglowej stali. Mógłby mnie nauczyć paru rzeczy o samokontroli.”

Fourmyle’a pozdrowiło grono znajomych.

– Fantastyczną sztuczkę zrobiłeś w Szanghaju.

– Cudowny był ten karnawał w Rzymie, prawda? Słyszałeś może o płonącym człowieku, który pojawił się na Schodach Hiszpańskich?

– Szukaliśmy cię w Londynie.

– Cóż to było za cudowne wejście – zawołał Harry Sherwin-Williams. – Zakasowałeś nas wszystkich, Fourmyle. Zrobiłeś z nas bandę jakichś cholernych zbieraczy petów.

– Zapominasz się, Harry – upomniał go zimno Presteign. – Wiesz przecież, że w moim domu nie pozwalam na żadną profanację.

– Przepraszam, Presteignie. Gdzie jest teraz twój cyrk, Fourmyle?

– Nie wiem – powiedział Fourmyle – ale zaczekaj chwilkę.

Wokół rozmawiających zebrał się spory tłumek gości, oczekujących z uśmiechami na twarzach na nowe szaleństwo Fourmyle’a. Fourmyle wyjął z kieszeni platynowy zegarek i zwalniając zatrząsk otworzył kopertę. Na cyferblacie pojawiła się twarz kamerdynera.

– Nnno... ty... jak ci tam... Gdzie w tej chwili stoimy?

Rozległ się głos cichy i metaliczny, jakby zapytany odpowiadał z blaszanej puszkii po konserwach:

– Wydałeś polecenie, aby twoją stałą rezydencją uczynić Nowy Jork, Fourmyle.

– Tak? Tak powiedziałem? No i?

– Kupiliśmy katedrę Św. Patryka, Fourmyle.

– A gdzie to jest?

– Stary Św. Patryk, Fourmyle. To tam gdzie kiedyś Piąta Aleja krzyżowała się z Pięćdziesiątą Ulicą. Obóz rozbiliśmy we wnętrzu.

– Dziękuję. – Fourmyle zatrząsnął kopertę platynowego Huntera. – Mój obecny adres: Stary Św. Patryk, Nowy Jork. Wyjętym spod prawa religiom trzeba przyznać jedno... Wznosiły chociaż świątynie na tyle duże, aby pomieściły cyrk.

Olivia Presteign siedziała na podwyższeniu, otaczana przez wielbicieli składających hołd tej pięknej córce-albinosce Presteigna. Była zdumiewająco i cudownie ślepa, ponieważ widziała tylko w podczerwieni, reagując na zakres fal o długościach zamykających się w przedziale od 7500 angstromów do jednego milimetra, rozciągającym się daleko poniżej normalnego spektrum widzialnego. Widziała na czerwonym tle fale cieplne, pola magnetyczne, fale radiowe, widziała swych adoratorów jako dziwną poświatę promieniowania organicznego.

Z koralowymi oczyma, koralowymi ustami, władcza, tajemnicza, nieosiągalna była Śnieżną Dziewicą, Królową Lodu. Foyle spojrział na nią i zanim jeszcze ślepy wzrok dziewczyny dostrzegł go w postaci fal elektromagnetycznych i promieniowania podczerwonego, spuścił zmieszany oczy. Puls zaczął mu bić szybciej, przez mózg przelatowały błyskawicami setki wyobrażeń, których bohaterami byli on sam i Olivia Presteign.

– „*Nie bądź głupcem!*” – pomyślał z desperacją. – „*Opanuj się. Przestań marzyć. To może być niebezpieczne...*”

Przedstawiono go. Przemówił doń silny, srebrzysty głos; podano mu chłodną, szczupłą dłoń; ta dłoń jednak zdała się eksplodować w jego własnej iskrami wyładowania elektrycznego. Było to coś na kształt pierwszego, wzajemnego rozpoznania... coś na kształt połączenia się emocjonalnym wstrząsem.

– „*To szaleństwo. Ona jest symbolem księżniczki z twych snów... Nieosiągalna... Opanuj się!*”

Walczył tak zawzięcie z samym sobą, że chyba nie zauważył nawet, iż dano mu łaskawie i obojętnie znak do usunięcia się. Nie mógł w to uwierzyć. Stał jak prostak z rozdziawionymi ustami.

– Cóż to? Ciągłe tu jesteś, Fourmyle?

– Nie mogę uwierzyć w to, że zostałem odprawiony, Lady Olivio.

– Niezupełnie, ale obawiam się, że stoisz na drodze moim przyjaciołom.

– Nie przywykłem, aby mnie odprawiano. („*Nie. Nie tak. Wszystko źle*”), przynajmniej przez kogoś, kogo chciałbym zaliczyć do grona swych przyjaciół.

– Nie bądź nudny, Fourmyle. Zejdź.

– Czym cię uraziłem?

– Uraziłeś? Teraz jesteś śmieszny.

– Lady Olivio... („*Czy nie potrafisz już nic powiedzieć dobrze? Gdzie jest Robin?*”). Czy możemy zacząć od początku?

– Jeśli starasz się być nietaktowny, Fourmyle, to cudownie ci się to udaje.

– Daj mi jeszcze raz swoją dłoń, proszę. O, dziękuję. Jestem Fourmyle z Ceres.

– No już dobrze – roześmiała się – Przyznaje, że dobry z ciebie kłown. Zejdź teraz. Jestem pewna, że znajdziesz sobie kogoś, kogo będziesz mógł rozśmieszać.

– Co się tym razem stało?

– No nie, sir. Starasz się mnie rozzłościć?

– Nie. („*Tak. Staram się. Staram się jakoś ciebie dotknąć... przebić się przez tę twoją lodową skorupę*”). Za pierwszym razem uścisk naszych dłoni był... gwałtowny. Teraz tak nie

było. Co się stało?

– Fourmyle – powiedziała znudzonym głosem Olivia. – Przyznam, że jesteś zabawny, oryginalny, dowcipny, fascynujący przyznam wszystko co chcesz, bylebyś tylko odszedł.

Zszedł niezgrabnie z podium.

– „*Suka. Suka. Suka. Nie. Ona jest właśnie tym marzeniem, o którym śniłem. Muszę zdobyć te lodową wieżę. Muszę przystąpić do oblężenia... wziąć ją szturmem... gwałtem... rzucić ją na kolana...*”

I nagle stanął oko w oko z Saulem Dagenhamem.

Stanął jak wryty, zmuszając się do zachowania zimnej krwi.

– Ach, Fourmyle – powiedział Presteign – przedstawiam ci Saula Dagenhama. Może nam poświęcić tylko trzydzieści minut, a jedną z nich chce spędzić z tobą.

– „*Czy on wie? Czy posłał po Dagenhama, żeby się upewnić? Atak. Toujours de laudace*”. Co się stało z twoją twarzą, Dagenham? – spytał jak gdyby nigdy nic Fourmyle.

Trupia główka uśmiechnęła się.

– Wydawało mi się, że jestem sławny. To skażenie promieniowaniem. Jestem gorący. Kiedyś mawiano „gorący jak pistolet”. Teraz mówi się „gorący jak Dagenham”. – Trupie oczy zmierzyły Foyla od stóp do głów. – Co się kryje za twoim cyrkiem?

– Żądza sławy.

– Sam jestem starym wygą kamuflażu. Znam się na rzeczy. Co ty ukrywasz?

– Czy Dillinger wydał Capone’a? – Foyle odwzajemnił uśmiech odzyskując pewność siebie i odprężając się – „*Obu wyprowadziłem w pole*”. Wyglądasz na szczęśliwszego, Dagenham – powiedział i natychmiast ugryzł się w język.

Dagenham z błyskiem w oku wyłowił to spotkanie.

– Szczęśliwszy niż kiedy? Wtedy gdy się ostatnio widzieliśmy?

– Nie szczęśliwszy niż kiedyś; szczęśliwszy niż ja. – Fourmyle zwrócił się do Presteigna.

– Zakochałem się bez pamięci w Lady Olivii.

– Minęło twoje pół godziny, Saul.

Dagenham i stojący z drugiego boku Foyla Presteign odwrócili się. Podeszła do nich pełna godności, wysoka kobieta w szmaragdowej sukni wieczorowej. Jej rude włosy błyszcząły. To była Jisbella McQueen. Ich spojrzenia spotkały się. Zanim szok zawrzał mu na twarzy Foyle odwrócił się na pięcie, przebiegł sześć kroków dzielących go od najbliższych drzwi i wypadł przez nie z sali.

Drzwi zatrzasnęły się za nim. Znajdował się w krótkim, ślepy korytarzyku. Rozległ się trzask, przez chwile było cicho, a potem jakiś metaliczny głos przemówił uprzejmie:

– Wtargnąłeś do prywatnej części rezydencji. Proszę wyjść.

Foyle walczył z sobą, dygocząc na całym ciele.

– Wtargnąłeś do prywatnej części rezydencji. Proszę wyjść.

– „Przecież nie wiedziałem... Myślałem, że tam zginęła... Poznała mnie...”

– Wtargnąłeś do prywatnej części...

– „Jestem skończony... Nigdy mi tego nie wybaczy... Na pewno mówi teraz o mnie Presteignowi i Dagenhamowi.”

Drzwi od holu recepcyjnego otworzyły się gwałtownie i Foylowi zdawało się przez chwilę, że widzi w nich swego płonącego sobowtóra. Potem uświadomił sobie, że patrzy na płomieniste włosy Jisbelli. Nie ruszała się. Stała nieruchomo, uśmiechając się doń w szaleńczym triumfie. Wyprostował się

– „Nie, na Boga. Nie podejść do niej ze skoleniem.”

Foyle wyszedł statecznym krokiem z korytarzyka, ujął Jisbellę pod ramię i poprowadził ją przez hol recepcyjny. Nie zawracał sobie nawet głowy rozglądaniem się za Dagenhamem, czy Presteignem. I tak we właściwym czasie stawia się tu tłumnie i zbrojnie. Uśmiechnął się do Jisbelli. Odwzajemniła mu się wciąż tryumfującym uśmiechem.

– Dzięki ci za to, że uciekłeś. Nigdy nie śniłam, że może mi to tak wyjść na dobre.

– Za to, że uciekłem? Moja droga Jiz!

– No, słucham?

– Nie potrafię wypowiedzieć, jak ślicznie dziś wyglądasz. Długą drogę przeszliśmy od Gouffre Martel, nieprawdaż?

Foyle skierował swe kroki w stronę sali balowej. – Zatańczymy?

Oczy Jisbelli rozszerzyły się, wyrażając podziw dla jego opanowania. Pozwoliła wprowadzić się do sali balowej i wziąć w ramiona.

– A propos, Jiz. W jaki sposób udało ci się wykręcić od ponownego wtrącenia do Gouffre Martel?

– Dagenham to załatwił. A więc potrafisz teraz tańczyć, Gully?

– Tańczę, władam od biedy czterema językami, studiuję nauki ścisłe i filozofię, piszę żalospną poezję, wysadzam się w powietrze idiotycznymi eksperymentami, uprawiam szermierkę jak głupiec, boksuję jak pajac... Krótko mówiąc jestem niepoprawnym Fourmyle z Ceres.

– Już nie jesteś Gully Foyle?

– Tylko dla ciebie, moja droga i dla każdego, komu mnie zdradziłaś.

– Tylko Dagenhamowi. Gniewasz się, że wydałam twoją tajemnicę?

– Rozumiem ciebie. Nie potrafiłaś zapanować nad sobą, tak samo zresztą jak ja.

– Tak, nie potrafiłam. Twoje nazwisko wyrwało mi się z ust po prostu mimo woli. Ile byś

mi zapłacił gdybym trzymała język za zębami?

– Nie wygłupiaj się, Jiz. Zarobisz na tym interesie 17 980 000 kredytek.

– Co to ma znaczyć?

– Powiedziałem kiedyś, że oddam ci wszystko co zostanie, kiedy wykończę. „Vorge”.

– Wykończyłeś ją? – spytała zdziwiona.

– Nie, kochanie. Ty wykończyłaś mnie. Ale dotrzymam obietnicy.

Roześmiała się.

– Wspaniałomyślny Gully Foyle. Bądź naprawdę wspaniałomyślny, Gully. Zorganizuj coś za te pieniądze. Zabaw mnie trochę.

– Piszcząc o łaskę, jak nędzny szczur? Nie wiem jak, Jiz. Umieję tylko polować.

– A więc wykończyłam tygrysa. Usatysfakcjonuj mnie chociaż, Gully. Powiedz, że byłeś blisko „Vorgi” i zrujnowałam cię, gdy do jej wykończenia brakowało ci tylko ostatniego pociągnięcia, tak było?

– Bardzo bym tego chciał, Jiz, ale tak nie było. Dalej jestem w lesie. Dziś wieczorem próbowałem znaleźć tu kolejny trop.

– Biedny Gully. Może uda mi się ci pomóc w wybrnięciu z tej pułapki. Mogę powiedzieć... że się pomyliłam... albo, że żartowałam... że tak naprawdę to ty nie jesteś Gully Foyle. Wiem jak oszukać Saula. Potrafię to zrobić, Gully... jeśli nadal mnie kochasz.

Spojrzał na nią z góry i pokręcił głową.

– Między nami nigdy nie było miłości, Jiz. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. Jestem zbyt zaślepiiony, aby być kimś innym niż myśliwym.

– Jesteś zbyt zaślepiiony, aby być kimś innym niż głupcem!

– Co chciałaś przez to powiedzieć, Jiz? Dagenham wystarał się, by cię nie wsadzili z powrotem do Gouffre Martel... Wiesz jak oszukać Saula Dagenhama? Co ty masz z nim wspólnego?

– Pracuję dla niego. Jestem jednym z jego kurierów.

– Chcesz przez to powiedzieć, że on cię szantażuje? Grozi wtrąceniem do Gouffre Martel, jeśli ty nie...

– Nie. Doszliśmy do porozumienia przy naszym pierwszym spotkaniu. On zaczął od pojmania mnie; ja skończyłam na usidleniu jego.

– Jak to zrobiłaś?

– Nie domyślasz się?

Spojrzał jej w oczy. Były przysłonięte powiekami, ale zrozumiał.

– Jiz! Z nim?

– Tak.

- Ale jak? On przecież...
- Istnieją środki ostrożności. To... Nie, nie chce o tym mówić, Gully.
- Przepraszam. Długo nie wraca.
- Kto nie wraca?
- Dagenham ze swoją armią.
- Ach tak, oczywiście – Jisbella roześmiała się znowu, a potem powiedziała cicho, rozwścieczonym tonem:
 - Nawet się nie domyślasz na jakiej balansowałeś linie, Gully. Gdybyś błagał albo próbował mnie przekupić, czy romansować ze mną... Na Boga, zniszczyłabym cię. Powiedziałabym całemu światu kim jesteś... Wykrzyczałabym to z dachów domów...
 - O czym ty mówisz?
 - Saul nie wróci. On nic nie wie. Możesz iść do piekła sam, na własny rachunek.
 - Nie wierzę ci.
 - Czy myślisz, że pojmanie ciebie zajęłoby mu tyle czasu? Saulowi Dagenhamowi?
 - Ale dlaczego mu nie powiedziałaś? Po tym, jak cię zostawiłem...
 - Bo nie chcę, żeby poszedł do piekła razem z tobą. Nie mówię w tej chwili o „Vordze”. Myślę o czym innym. O PirE. Przez to właśnie cię ściga. O to mu właśnie chodzi. O dwadzieścia funtów PirE.
 - Co to jest?
 - Czy kiedy otworzyłeś sejf, była w nim mała kasetka? Takie pudełeczko z Obojętnego Izomeru Ołowiu?
 - Tak, była.
 - Co było wewnątrz tej kasetki?
 - Dwadzieścia bryłek czegoś, co wyglądało jak sprasowane kryształki jodyny.
 - Co zrobiłeś z tymi bryłkami?
 - Dwie wysłałem do analizy. Nikt nie potrafił stwierdzić z czego są zrobione. Na trzeciej sam próbuję przeprowadzić analizę w moim laboratorium... kiedy nie pajacuję.
 - Och, naprawdę próbujesz? Po co?
 - Rozwijam się, Jiz – powiedział cicho Foyle. – Nietrudno było odgadnąć, że o to właśnie chodzi Presteignowi i Dagenhamowi.
 - Gdzie przechowujesz resztę bryłek?
 - W bezpiecznym miejscu.
 - Nie są tam bezpieczne. One nigdzie nie będą bezpieczne. Nie wiem czym jest PirE, ale wiem, że to prosta droga do piekła i nie chcę, żeby Saul na nią wkroczył.
 - Tak bardzo go kochasz?

– Tak bardzo go szanuje. On jest pierwszym mężczyzną, który okazał zrozumienie dla mego podwójnego życia.

– Czym jest to PirE, Jiz? Przecież ty to wiesz.

– Domyślam się tylko. Poskładałam sobie wszystkie napomknienia, które o nim słyszałam i doszłam do pewnego wniosku. Mogłabym ci go wyjawić, ale nie zrobię tego. – Furia malująca się na jej twarzy była wyraźnie widoczna. – Tym razem to ja cię opuszczam. Zostawiam cię, żebyś błądził bezradny w ciemnościach po omacku. Zobacz jak to smakuje, chłopczyku! Ciesz się!

Wyrwała się z jego objęć i pobięła przez salę balową ku wyjściu. W tym właśnie momencie spadły pierwsze bomby.

Nadleciały jak roje meteorów; nie tak liczne, ale o wiele bardziej śmiertelne. Nadleciały nad tę ćwiartkę kuli ziemskiej, na której rozpoczął się już nowy dzień, na której minęła już północ, ale nie zaświtał jeszcze poranek. Zderzyły się czołowo z wysuniętą naprzód półkulą Ziemi pędzącej po orbicie okołosłonecznej. Aby tu dotrzeć, pokonały odległość 400 milionów mil.

Ogromne prędkości, z jakimi gnały, mieściły się, choć z niewielkim tylko marginesem, w zakresie zdolności rozdzielczych szybkich komputerów ziemskiego systemu wczesnego wykrywania, który w przeciągu mikrosekund wysledził i przechwycił te noworoczne podarki od Satelitów Zewnętrznych. Na niebie rozbłysło na chwilę i zaraz zgasło mrowie nowych gorejących gwiazd; były to pociski wykryte i zdetonowane na wysokości 500 mil ponad celem, do którego zmierzały.

Margines zapasu między szybkością systemu obronnego, a szybkością ataku był jednak tak wąski, że wiele pocisków przedarło się przez zaporę. Przeniknęły przez warstwę zórz polarnych jonosfery, przebiły się przez strefę świecenia meteorów, przemknęły przez mezosferę, stratosferę i spadły na Ziemię. Ich niewidzialne trajektorie zaznaczyły swój kres tytanicznymi konwulsjami ziemskiej skorupy.

Pierwsza eksplozja nuklearna zniszczyła Newark, wstrząsając z nieprawdopodobną siłą rezydencją Presteigna. Zadygotały podłogi i ściany, a parkiety zasłały się zwałami ściętych z nóg gości, przewracanych mebli i roztrzaskanych dekoracji. Cały Nowy Jork drżał pod lejącym się z nieba, rozrzedzonym prysznicem. Wszyscy byli ogłuszeni, sparaliżowani strachem i zdezorientowani. Huk wybuchów, wstrząsy, rozbłyski trupiosinych błyskawic na horyzoncie były tak potężne, że odarły człowieczeństwo z rozumu, pozostawiając obłupione ze skóry stworzenia zdolne tylko do wrzasku, krycia się i umykania. W przeciągu pięciu sekund eleganckie przyjęcie u Presteigna przerodziło się w anarchię.

Foyle podniósł się z podłogi. Rozejrzał się po sali balowej i dostrzegł Jisbellę próbującą

wyczołgać się spod sterty ciał kłębiących się po parkiecie. Uczynił krok w jej stronę i zatrzymał się. Odwrócił w oszołomieniu głowę nie mogąc się oprzeć wrażeniu, iż nie stanowi ona części jego własnego ciała. Grzmot nie ustawał. W holu recepcyjnym dojrzał Robin Wednesbury, zataczającą się i sponiewieraną. Postąpił krok w jej kierunku i znowu się zatrzymał. Wiedział już gdzie musi iść.

Przyspieszył. Grzmot i oślepiający blask zjechały natychmiast w dół widma, rozczłonkowując się na poszczególne wybuchy i migotanie. Gwałtowne wstrząsy przeszły w ospałe falowanie. Foyle lotem błyskawicy przemierzał wielki gmach. Szukał, aż wreszcie znalazł ją w ogrodzie. Stała na palcach na marmurowej ławce i wyglądała dla jego przyspieszonych zmysłów jak marmurowy posąg... posąg egzaltacji.

Wyłączył przyspieszenie. Zmysły podskoczyły znowu w górę spektrum i ponownie zostały porażone straszliwymi wrażeniami bombardowania.

– Lady Olivio! – zawołał.

– Kto to?

– To ja, kłown.

– Fourmyle? – Tak.

– Szukałeś mnie? Jestem wzruszona, szczerze wzruszona.

– Jesteś szalona stojąc tak tutaj. Błagam cię...

– Nie, nie, nie. To jest piękne... Wspaniałe!

– Pozwól, że jauntuję cię w bezpieczne miejsce.

– Ach, pozujesz na rycerza w zbroi? Szlachetnego wybawcę? To do ciebie nie pasuje, mój drogi. Nie masz do tego smykałki. Idź sobie lepiej.

– Zostanę.

– Jak wspaniały kochanek?

– Jak kochanek.

– Wciąż jesteś nudny, Fourmyle. Dalej, wykrzesz z siebie trochę fantazji. Powiedz mi lepiej co widzisz.

– Nic takiego – odparł rozglądając się dokoła i krzywiąc twarz. – Nad całym horyzontem świeci jasna luna. Przelatują w pędzie jakieś świecące obłoki. W górze... coś jakby iskrzyło. Przypomina to trochę, migotanie zimnych ogni.

– Och, tak mało widzisz swoimi oczyma. Posłuchaj co ja widzę. Niebo przykryte jest kopułą, tęczową kopułą. Kolory tej tęczy zmieniają się od głuchego dzwonienia do oślepiającego świecenia. To właśnie nazywam kolorami. Czym może być ta kopuła?

– To ekran radarowy – mruknął Foyle.

– Są tam jeszcze ogromne, ogniste słupy, tryskające w górę, chwiejące się, falujące,

tańczące, przeczesujące niebo. Co to może być?

– To wiązki przechwytyjące. Widzisz po prostu cały elektroniczny system obronny.

– Widzę też spadające bomby... szybkie smugi tego co nazywasz czerwienią, ale nie twoją czerwienią – moją. Dlaczego je widzę?

– Nagrzewają się w atmosferze na skutek tarcia, ale mają skorupy z obojętnego ołowiu i dla nas są niewidoczne.

– No widzisz o ile jesteś pożyteczniejszy jako Galileusz niż jako Galahad? Och! Jedna spada na wschodzie. Obserwuj ją! Leci, leci, leci... Teraz!

Rozbłysk światła na wschodnim horyzoncie dowiódł, iż nie była to jej imaginacja.

– Tam, na północy, spada druga. Jest już bardzo nisko. Bardzo. Teraz!

Od północy nadleciała fala uderzeniowa.

– A eksplozje, Fourmyle... one są nie tylko obłokami światła. One są dla mnie namacalnymi tkaninami, materiałami... gobelinami zachodzących na siebie barw. Jakież one są piękne. Jak misternie tkane całuny.

– Bo też nimi są, Lady Olivio.

– Boisz się?

– Tak.

– No to uciekaj.

– Nie.

– Ach, więc jesteś buntownikiem.

– Nie wiem kim jestem. Boje się, ale nie ucieknę.

– Nadrabiasz więc brawurą. Popisujesz się męską odwagą – w jej matowym głosie dawało się wyczuć rozbawienie. – Zastanów się, Fourmyle. Ile czasu zajmie ci Jauntowanie się stąd? W ciągu paru sekund możesz być bezpieczny... w Meksyku, w Kanadzie, na Alasce. Tak, bezpieczny. Pewnie są tam już miliony ludzi. My dwoje jesteśmy prawdopodobnie ostatnimi, którzy pozostali jeszcze w mieście.

– Nie każdy potrafi jauntować się tak daleko i tak szybko.

– A zatem jesteśmy ostatnimi pozostałymi, którzy to potrafią. Dlaczego mnie nie zostawisz? Ratuj się. Niedługo zginę. Nikt się nigdy nie dowie, że schowałeś do kieszeni swoją ambicję i wycofałeś się

– Suka!

– Ach, więc jesteś zły? Co za oburzający język. To pierwsza oznaka słabości. Dlaczego nie pokierujesz się swoją lepszą oceną sytuacji i nie porwiesz mnie? To byłaby druga oznaka.

– A niech cię diabli!

Przesunął się blisko niej zaciskając z wściekłości pięści. Dotknęła zimną, spokojną dłonią

jego policzka i znowu nastąpił wstrząs elektryczny.

– Nie, już za późno, mój drogi – powiedziała. – Nadlatuje cały rój czerwonych smug... są coraz niżej... gnają prosto na nas. Nie będzie przed nimi ucieczki. Szybko! Uciekaj! Jauntuj się! Zabierz mnie ze sobą. Szybko! Szybko!

Porwał ją z ławki.

– Suko! Nigdy!

Mocno przycisnął dziewczynę do siebie znajdując słodkie koralowe usta i pocałował je. Miażdżył jej usta swoimi, czekając na ostateczny blackout. Wstrząs jednak nie następował.

– Oszukałaś mnie! – wykrzyknął. Roześmiała się. Pocałował ją znowu i wreszcie zmusił się do uwolnienia jej ze swych objęć. Przez chwilę łąpała spazmatycznie oddech, a potem znowu się roześmiała. Jej koralowe oczy błyszczały.

– Już po wszystkim – powiedziała.

– Jeszcze się nie zaczęło.

– O czym mówisz?

– O wojnie między nami.

– Wywołaj te wojnę – powiedziała gwałtownie. Jesteś pierwszym, który nie dał się zwieść moim wizjom. O Boże! Ci nudni rycerscy rycerze z tą ich mdlą miłością do księżniczek z bajki. Ale ja nią nie jestem... w środku. Nie jestem. Nie jestem. Nie. Wywołaj okrutną wojnę między nami. Nie pokonuj mnie – zniszcz mnie.

I nagle znowu stała się Lady Olivią, pełną gracji Śnieżną Dziewicą.

– Szkoda, że bombardowanie już się skończyło, mój drogi Fourmyle. Już po przedstawieniu. Cóż to było za podniecające preludium Nowego Roku. Dobranoc.

– Dobranoc? – powtórzył za nią z niedowierzaniem w głosie.

– Dobranoc – powiedziała jeszcze raz. – Doprawdy, mój drogi Fourmyle, tak dalece brak ci oglądy, że nigdy nie wiesz kiedy jesteś niepożądany? Możesz już odejść. Dobranoc.

Wahał się przez chwile szukając słów, a nie znalazłszy odwrócił się i chwiejnym krokiem opuścił gmach. Drżał z podniecenia i oszołomienia. Szedł jak ślepiec, nie zwracając uwagi na otaczający go chaos i zniszczenie. Horyzont oświetlało teraz czerwone morze płomieni. Falowe naloty gwałtownie wstrząsnęły atmosferą i nad pogorzelskim hulały w dziwnych porywach nieustające wiatry. Potężne eksplozje tak silnie wstrząsnęły miastem, że ulice zavalone były cegłami z przewróconych ścian domów, oberwanymi gzymsami, szkłem z potłuczonych szyb i wszelkiego rodzaju żelastwem, chociaż na Nowy Jork nie wykonano bezpośredniego ataku.

Ulice były wyludnione; miasto opustoszało. W rozpaczliwym poszukiwaniu bezpiecznego schronienia jauntowali się wszyscy mieszkańcy Nowego Jorku... każdego innego miasta.

Każdy jauntował do granic swoich możliwości... pięć mil, pięćdziesiąt mil, pięćset mil. Niektórzy wjauntowali się w samo centrum bezpośredniego uderzenia. Tysiące zginęły w jaunt–eksplozjach, bowiem jauntrampy publiczne nie były przystosowane do sprostanania takiemu masowemu exodusowi.

Foyle otrzeźwiał na widok pojawiającej się na ulicy Brygady Ratowniczej ubranej w białe pancerze. Adresowany doń kategoryczny sygnał ostrzegł, iż mają zamiar go wcielić z natychmiastowym skutkiem w szeregi służby porządkowej. Problemem ery jauntingu było nie to, jak ewakuować ludność z zagrożonego miasta, ale jak ją później ściągnąć z powrotem i zmusić do przywrócenia porządku. Foyle nie miał zamiaru spędzać najbliższego tygodnia na walce z pożarami i użeraniu się z szabrownikami. Przyspieszył i wymknął się Brygadzie Ratowniczej.

Zwolnił dopiero na Piątej Alei. Przyspieszanie kosztowało go tak dużo energii, że niechętnie włączał je na dłużej niż kilka chwil. Długie okresy przyspieszania, wymagały potem dobrych paru dni rekonwalescencji.

Pojedynczo i całymi grupami pracowali już na alei rabusie i Szaber–jauntowcy. Cichaczem, a mimo to z okrucieństwem szakale rozszarpywały ciało żywego jeszcze, ale bezsilnego zwierzęcia. Otoczyli Foyla. Dzisiejszej nocy wszystko było ich łupem.

– Dajcie mi spokój, nie jestem w nastroju – odezwał się do nich. – Poszukajcie sobie kogoś innego.

Wypróżnił kieszenie z pieniędzy i cisnął je im pod nogi. Pozbierali szybko banknoty, ale nie byli zadowoleni. Pragnęli rozrywki, a on był najwyraźniej bezbronnym gentlemanem. Kilku łotrów zbliżało się do Foyla, aby go podręczyć.

– Miły gentlemanie – uśmiechali się. – Urządźmy sobie małe przyjęcie.

Foyle widział już raz okaleczone ciało jednego z honorowych gości ich przyjęcia. Westchnął i otrząsnął się z wizji Olivii Presteign.

– Dobra, szakale – powiedział. – Pobalujemy.

Rabusie przygotowali się do wprawienia go w taniec wrzasku. Foyle przełączył klawiaturę w ustach i na dwanaście niszczycielskich sekund przedzierzgnął się w najbardziej morderczą maszynę, jaką kiedykolwiek wynaleziono – w Komandosa–Zabójcę. Wszystko odbywało się bez udziału jego świadomości, czy woli, jego ciało stosowało się jedynie do dyrektyw zakodowanych w mięśniach i odruchach. Pozostawił na ulicy sześć rozciągniętych ciał.

Odwieczna katedra Św. Patryka stała nienaruszona. Po zaśniedziałym, krytym miedzią dachu igrał odbłask szalejących wokół pożarów. Wewnątrz świątynia była pusta. Nawę główną zapełniały namioty Cyrku Four Mile. Były oświetlone i umeblowane, ale personel

cyrkowy znikł. Służba, kucharze, kamerdynerzy, atleci, filozofowie, ciury obozowe, kanciarze, wszyscy czmychnęli w popłochu.

– Wrócą pewnie na szaber – mruknął do siebie Foyle.

Wszedł do swojego namiotu. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, była postać w bieli siedząca na dywanie i nucąca sobie wesoło. Poznał w niej Robin Wednesbury. Jej suknia była w strzępach, w strzępach był jej umysł.

– Robin!

Nuciła dalej, nie zwracając na niego uwagi. Podniósł ją z dywanu, potrząsnął i uderzył w policzek. Rozpromieniła się i nuciła dalej. Napełnił strzykawkę i zaaplikował jej potężną dawkę Niacyny. Otrzeźwiający kop narkotyku wpłynął w okropny sposób na jej patetyczną ucieczkę od rzeczywistości. Satynowa skóra przybrała barwę popiołu. Piękna twarz skręciła się z bólu. Poznała Foyla; przypomniała sobie to, o czym próbowała zapomnieć. Krzyknęła i padła na kolana. Zaczęła płakać.

– Tak jest lepiej – powiedział do niej. – Jesteś pierwsza do ucieczki. Najpierw samobójstwo, teraz to. Co będzie następne?

– „Odejdź.”

– Prawdopodobnie religia. Już cię widzę jak dołączasz do sekty piwniczników z hasłem w rodzaju Pax Vobiscum na ustach. Przemyt biblii i umartwianie się w imię wiary. Czy nigdy niczemu nie potrafisz stawić czoła?

– „A ty nigdy nie uciekałeś?”

– Nigdy. Ucieczka jest dla kalek. Dla neurotyków.

– „Neurotyków. Najulubieńsze słowo *Dopiero-Co-Wydukanego Jasia*. Jesteś takim Jasiem, prawda? Taki opanowany. Taki zrównoważony. Uciekasz całe swoje życie.”

– Ja? Nigdy. Całe życie poluję.

– „Właśnie że uciekasz. Czy nigdy nie słyszałeś o *Ucieczce przez Atak*? O ucieczce od rzeczywistości przez atakowanie jej... wyparcie się jej... niszczenie jej? Tak właśnie robisz.”

– Ucieczka przez Atak? – Foyle zerwał się wzburzony na równe nogi. – Chcesz przez to powiedzieć, że przed czymś uciekam?

– „Najwyraźniej.”

– A niby przed czym?

– „Przed rzeczywistością. Nie potrafisz zaakceptować życia takim, jakie ono jest. Wzbranasz się przed tym. Atakujesz je... starasz się je nagiąć do własnych o nim wyobrażeń. Atakujesz i niszczysz wszystko, co stoi na przeszkodzie twojemu szalonemu stylowi życia.” – Podniosła mokrą od łez twarz i spojrzała mu prosto w oczy. – Nie jestem w stanie dłużej tego znosić. Chce, żebyś pozwolił mi odejść.

- Odejść? Dokąd?
- Tam, gdzie będę mogła żyć własnym życiem.
- A co z twoją rodziną?
- Sama je odnajdę.
- Dlaczego? Dlaczego właśnie teraz?
- Tego już za wiele jak dla mnie... ty i ta wojna... Bo ty jesteś tak samo zły jak wojna.

Gorszy. To co się stało ze mną dzisiejszej nocy, dzieje się każdej chwili kiedy jestem z tobą. Nie mogę już wytrzymać ani jednego, ani drugiego.

- Nie zgadzam się – powiedział. – Potrzebuję cię..
- Jestem gotowa wykupić się.
- Czym?
- Straciłeś wszystkie tropy prowadzące do „Vorgi”, prawda?
- No i?
- Znalazłam jeszcze jeden.
- Gdzie?
- Nieważne gdzie. Pozwolisz mi odejść jeśli ci go zdradzę?
- Mogę wyciągnąć to od ciebie siłą.
- No dalej, wyciągnij. – Oczy jej błyszczały. – Jeśli wiesz co to jest, nie napotkasz na

żadne trudności.

- Mogę cię zmusić, żebyś to mi wyjawiała.
 - Możesz? Po dzisiejszym bombardowaniu? Spróbuj.
- Był zaskoczony jej buńczuczną postawą.
- Skąd mam wiedzieć, że nie blefujesz?
 - Uchylę rąbka tajemnicy. Pamiętasz tego człowieka z Australii?
 - Forresta?
 - Tak. Próbował wyjawić ci nazwiska załogi. Pamiętasz to jedyne nazwisko, które zdołał

powiedzieć zanim umarł?

- Kemp.
- Umarł zanim skończył mówić. To nazwisko brzmi Kempsey.
- I to ten twój ślad?
- Tak. Kempsey. Nazwisko i adres jeśli obiecasz, że pozwolisz mi odejść.
- Zgadzam się – powiedział. – Możesz odejść. Mów.

Odwrociła się i podeszła do ubrania podróżnego, które miała na sobie w Szanghaju. Z jednej z kieszeni wyciągnęła arkusik nadpalonego papieru.

- Zobaczyłam to na biurku Sergeia Orela, kiedy próbowałam ugasić ogień... ogień, który

wznicił Płonący Człowiek... – Wręczyła arkusik Foylewi.

Był to fragment błagalnego listu:

„... zrób coś, żeby mnie wydostać z tych pól bakteryjnych. Czy człowiek tylko dlatego, że nie potrafi jauntować, ma być traktowany jak pies? Pomóż mi Serg, proszę cię. Pomóż staremu kamratowi ze statku, którego nazwy lepiej nie wspominajmy. Możesz chyba wydać 100 kredytek. Pamiętasz ile wyświadczyłem ci przysług? Przyślij 100 albo chociaż 50 kredytek. Nie daj mi tu zginąć.

Rodg Kempsey

Barak Nr. 3

Bacteria, Inc.

Mare Nubium

Księżyc”

– Na Boga! – wykrzyknął Foyle. – To jest ślad. Teraz nie może nam się nie udać. Już my będziemy wiedzieli co robić. Wyśpiewa wszystko... wszystko. – Uśmiechnął się do Robin. – Jutro w nocy lecimy na Księżyc. Zarezerwuj bilety. Albo nie. W związku z nalotem mogą z tym być kłopoty. Kup jakiś statek. Tak czy owak nie powinien teraz kosztować drogo.

– Mówisz „my”? – odezwała się Robin. – Myślisz chyba o sobie.

– Nie, myślę o nas – odparł Foyle. – Lecimy na Księżyc. Oboje.

– Ja odchodzę.

– Nigdzie nie odchodzisz. Zostajesz ze mną.

– Ale przecież obiecałeś...

– Zmądrzej wreszcie, dziewczyno. Musiałem obiecać ci co chciałaś, żeby się tego od ciebie dowiedzieć. Teraz potrzebuje cię bardziej niż kiedykolwiek. Tu nie chodzi o „Vorgę”. Z „Vorgą” sam sobie poradzę. Potrzebna mi jesteś do czegoś ważniejszego.

Popatrzył na jej twarz, na której malował się wyraz niedowierzania i uśmiechnął się smutnie.

– Niedobrze, mała. Gdybyś dała mi ten list dwie godziny temu, dotrzymałbym słowa. Ale teraz jest już za późno. Potrzebuję sekretarki do spraw Romansów. Zakochałem się w Olivii Presteign.

Płonąc gniewem zerwała się na nogi.

– „Kochasz ją? Olivię Presteign? Kochasz tego białego trupa?” – Przejmująca furia jej telenadawanie była dlań wstrząsającym odkryciem.

– „No to teraz mnie straciłeś. Straciłeś na zawsze. Teraz cię zniszczę!”

Zniknęła.

ROZDZIAŁ 12

W Kwaterze Centrali Wywiadowczej w Londynie kapitan Yáng–Yeovil wertował napływające raporty z szybkością sześciu na minutę. Informacje przekazywane były za pomocą telefonu, telegrafu, dalekopisu i jauntingu. Wyłaniał się z nich szybko obraz zniszczeń, jakie pociągnęło za sobą bombardowanie.

ATAKIEM ZOSTAŁY OBJĘTE AMERYKI PÓŁNOCNA I POŁUDNIOWA W PASIE ZAWIERAJĄCYM SIĘ MIĘDZY 60 A 120 STOPNIEM DŁUGOŚCI GEOGRAFICZNEJ ZACHODNIEJ. OD LABRADORU NA PÓŁNOCY PO EKWADOR NA POŁUDNIU. SZACUJE SIĘ, ŻE PRZEZ EKRAN PRZECHWYTUJĄCY PRZEDARŁO SIĘ OKOŁO DZIESIĘCIU PROCENT (10%) CAŁKOWITEJ LICZBY POCISKÓW. OFIARY ŚMIERTELNE W LUDZIACH SZACUJE SIĘ NA 10 DO 12 MILIONÓW...

– Gdyby nie jaunting – powiedział Yáng–Yeovil – straty byłyby pięciokrotnie wyższe. Mniejsza z tym, to był prawie nokaut. Jeszcze jedno takie uderzenie i Ziemia jest skończona.

Słowa te kierował do asystentów wjauntowujących się i wyjauntowujących z jego biura, pojawiających się i znikających, rzucających meldunki na jego biurko oraz nanoszących dane i równania na szklaną tablicę pokrywającą całą ścianę. Nieformalność była tu zasadą, więc Yáng–Yeovil zdziwił się wielce i zaczął wietrzyć jakiś podstęp, gdy jeden z dyżurnych zapukał służbiście do drzwi, po czym wszedł do gabinetu przyjmując wyszukanie sztywną postawę.

– Co to znowu za kawały? – spytał Yáng–Yeovil.

– Jakaś dama do ciebie, Yeo.

– Czy to pora na komedie? – Powiedział rozwścieczonym tonem Yáng–Yeovil. Wskazał palcem na widniejące na przezroczystej tablicy równania Whiteheada, opisujące obraz zniszczeń. – Przeczytaj to i zetrzyj wychodząc.

– To bardzo specjalna dama, Yeo. Twoja Wenus ze Schodów Hiszpańskich.

– Kto? Jaka znowu Wenus?

– Twoja Wenus z Kongo.

– Ach, ta? – Yáng–Yeovil zawahał się przez moment. – Wprowadź ją.

– Porozmawiasz z nią prywatnie, ma się rozumieć?

– Żadne ma się rozumieć. Toczy się wojna. Zajmij się lepiej nadchodzącymi meldunkami, ale przedtem uprzedź wszystkich, żeby zwracając się do mnie używali Tajnej Mowy.

Do biura weszła Robin Wednesbury wciąż jeszcze ubrana w podartą, białą suknię wieczorową. Nie tracąc czasu na przebieranie, jauntowała się natychmiast z Nowego Jorku do Londynu. Jej twarz, chociaż przemęczona, była śliczna. Yáng–Yeovil obrzucił ją taksującym spojrzeniem, co nie trwało dłużej jak ułamek sekundy i stwierdził, iż pierwsze wrażenie, jakie odniósł na Schodach Hiszpańskich nie było pomyłką. Robin również przyjrzała mu się uważnie i jej oczy rozszerzyły się.

– Przecież pan jest kucharzem ze Schodów Hiszpańskich! Angelo Poggi!

Jako oficer Wywiadu Yáng–Yeovil był świetnie przygotowany do tego typu kryzysowych sytuacji.

– Nie jestem kucharzem, madame. Nie miałem czasu, aby powrócić do swej normalnej, fascynującej osobowości. Proszę usiąść Miss...

– Wednesbury. Robin Wednesbury.

– Czarująco. Jestem kapitan Yáng–Yeovil. Jak to miło z pani strony, że mnie pani odwiedza. Oszczędziła mi pani wielu długich i żmudnych poszukiwań.

– „A... Ale ja nie rozumiem. Co w takim razie robiłeś na Schodach Hiszpańskich? Czego tam szukałeś...”

Yáng–Yeovil zauważył, że dziewczyna nie porusza ustami.

– Ach? Pani jest telepatką, Miss Wednesbury? Jak to możliwe? Myślałem, że znam wszystkich telepatów w układzie.

– „Nie jestem pełną telepatką. Jestem tylko telenadawczynią. Mogę tylko wysyłać myśli, ale nie potrafię ich odbierać.”

– Co, oczywiście, czyni panią bezwartościową dla świata. Rozumiem. – Yáng–Yeovil zrobił do Robin pełne sympatii oczko. – Co za paskudny pech, Miss Wednesbury... żeby zostać wyposażonym we wszystkie wady telepatii, i jednocześnie być pozbawionym wszystkich jej dobrych stron. Szczerze pani współczuję. Proszę mi wierzyć.

– „Coś takiego! Jest pierwszym, który zrozumiał to sam, bez tłumaczenia.”

– Ostrożnie, Miss Wednesbury, odbieram panią. Przejdźmy teraz do Schodów Hiszpańskich, dobrze?

Zamilkł, wsłuchując się uważnie w strumień wysyłanych przez nią myśli:

– „Na kogo tam polował? Czyżby na mnie? Nieprzyja... O Boże! Czy będą mnie torturować? Wyciągać... informacje? Ja...”

– Moja droga pani – powiedział łagodnie Yáng–Yeovil. Ujął zyczliwie jej dłoń i poklepał

ją uspokajająco. – Proszę mnie przez chwilę posłuchać. Nie ma się pani czego obawiać. Najwyraźniej w tym konflikcie stoi pani po przeciwnej stronie barykady, tak?

Skinęła głową.

– Tak się nieszczęśliwie składa, że nie to nam teraz w głowie. A co do wyciągania informacji od podejrzanych i szatkowania ich w tym celu, to tylko propaganda.

– Propaganda?

– Nie jesteśmy partaczami, Miss Wednesbury. Wiemy jak wyciągać informacje bez cofania się do średniowiecza. Legendę o torturach rozpuściliśmy po to, aby zawczasu zmiękczyć ludzi, zanim jeszcze wpadną w nasze ręce.

– *„Czy to prawda? Nie, on kłamie. To podstęp.”*

– To prawda, Miss Wednesbury. Często postępuję przebiegle, ale w pani przypadku nie jest to konieczne. Przecież przyszła tu pani z własnej, nieprzymuszonej woli, aby podzielić się z nami informacjami.

– *„On jest zbyt zręczny... zbyt bystry... On...”*

– Myśli pani jak osoba, którą niedawno boleśnie oszukano, Miss Wednesbury. Boleśnie dotknięto.

– Tak właśnie było. Właśnie tak. *„Głównie z mojej winy. Jestem głupia. Beznadziejnie głupia.”*

– Głupia pani nie jest na pewno, Miss Wednesbury, a już na pewno nie beznadziejnie. Nie wiem co tak zdruzgotało pani opinię o sobie samej, ale postaram się to naprawić. No więc... została pani oszukana, tak? Głównie z własnej winy? Wszyscy w takich przypadkach powinniśmy mieć pretensje tylko do siebie. Ale ktoś pani w tym dopomógł. Kto to był?

– Jeśli powiem, zadenuncjuję go.

– Niech więc mi pani nie mówi.

– Ale ja muszę odnaleźć moją matkę, i siostry... jemu już nie mogę ufać... Muszę to zrobić sama. – Robin wzięła głęboki oddech. – Chce panu powiedzieć o człowieku nazwiskiem Gulliver Foyle.

Yáng–Yeovil od razu przystąpił do wypełniania obowiązków służbowych.

* * *

– Czy to prawda, że przybył na przyjęcie pociągiem? – spytała Olivia Presteign. – Odkrytym wagonem ciągniętym przez lokomotywę? Cóż za cudowne zuchwalstwo.

– Tak, to nadzwyczajny młodzieniec – odparł Presteign. Stał z córką, stalowosiwy i stalowotwardy, w holu recepcyjnym swego domu. Strzegł jej honoru i życia, oczekując

powrotu służby i personelu z ratuj-się-ko-że jauntingu. Z niewzruszonym spokojem gawędził z Olivią, ani przez chwilę nie dopuszczając do tego, by uświadomiła sobie w jak śmiertelnym znajduje się niebezpieczeństwie.

– Jestem zmęczona, ojcze.

– Tak, to była ciężka noc, moja droga. Ale nie odchodź jeszcze, proszę.

– Dlaczego?

Presteign nie chciał jej niepokoić wyjaśnieniem, że z nim będzie bezpieczniejsza.

– Czuję się osamotniony, Olivio. Porozmawiajmy kilka minut.

– Uczyniłam coś wymagającego odwagi, ojcze. Obserwowałam atak z ogrodu.

– Moja droga! Sama?

– Nie. Był ze mną Fourmyle.

Drzwiami frontowymi, które Presteign zamknął na klucz, zaczęło wstrząsać potężne walenie.

– Co to?

– Łupieżcy – odparł spokojnym głosem Presteign. – Nie obawiaj się, Olivio. Nie wtargną tutaj. – Podeszedł do stołu i starannie, jakby układał pasjansa, rozłożył na nim arsenał broni.

– Nic nam nie grozi, kochanie. – Spróbował odciągnąć jej uwagę od nieustającego łomotu – Mówiłaś coś o Fourmyle'u...

– Ach tak. Oglądaliśmy wszystko razem... opisując sobie nawzajem bombardowanie.

– Bez damy do towarzystwa? To nie było rozważne, Olivio.

– Wiem, wiem. Zachowałam się haniebnie. Wydawał mi się taki wielki, tak pewny siebie, że potraktowałam go w stylu Lady Hauteur. Pamiętasz Miss Post, moją guwernantkę, która była tak sztywna i powściągliwa, że przezwalałam ją Lady Hauteur? Postępowałam tak, jak Miss Post, a on się wściekał, ojcze. To dlatego przyszedł potem szukać mnie do ogrodu.

– I pozwoliłaś mu pozostać? Jestem wstrząśnięty, moja droga.

– Ja również. Teraz wydaje mi się, że na wół postradałam zmysły z podniecenia. Jak on wygląda, ojcze? Powiedz mi, proszę, jak on dla ciebie wygląda?

– Jest wielki. Wysoki, bardzo śniady i raczej zagadkowy. Jak Borgia. Sprawia wrażenie kogoś, kto nie może się zdecydować czy być pewnym siebie, czy okrutnym.

– Ach, zatem jest okrutny? Sama to zauważyłam. Cały promieniuje niebezpieczeństwem. Większość ludzi ledwie iskrzy, a on wygląda jak piorun. To strasznie fascynujące.

– Moja droga – zaprotestował łagodnie Presteign – niezamężne niewiasty są zbyt skromne, aby dyskutować o takich sprawach. Nie byłbym zadowolony gdybyś zaczęła utrzymywać jakieś romantyczne stosunki z takim parweniuszem jak Fourmyle z Ceres.

Do holu recepcyjnego wjauntował się personel Presteigna: kucharze, kelnerki, odźwierni,

gońcy, stangreci, kamerdynerzy i pokojówki. Wszyscy byli jeszcze roztrzęsieni i mieli miny winowajców. Wstydziła się swej ucieczki przed śmiercią.

– Opuściliście swoje posterunki. Zostanie to wam zapamiętane – powiedział chłodno Presteign. – Moje bezpieczeństwo i honor są znowu w waszych rękach. Strzeżcie ich. Lady Olivia i ja udajemy się na spoczynek.

Ujął córkę pod rękę i poprowadził ją schodami na górę.

– Krew i pieniądze – mruknął po drodze.

– Słucham, ojczy?

– Myślałem o naszej rodzinnej wadzie, Olivio. Dziękowałem Bóstwu, że jej nie odziedziczyłaś.

– Co to za wada?

– Nie ma potrzeby, żebyś o niej wiedziała. To wada, którą ma również Fourmyle.

– Ach, więc on jest grzeszny? Wiem o tym. On jest niczym Borgia, sam to powiedziałaś. Grzeszny Borgia o czarnych oczach i liniach na twarzy. To musi być chyba jakiś wzór.

– Wzór, moja droga?

– Tak. Na jego twarzy dostrzegłam dziwny rysunek... to nie była zwykła elektryczność wytwarzana przez mięśnie i nerwy. To coś leży głębiej pod skórą. Zafascynowało mnie to od samego początku.

– A jaki to wzór?

– Fantastyczny... Cudownie diabelski. Mogę ci go narysować. Daj mi tylko coś do pisania.

Zatrzymali się przed liczącą sobie sześćset lat szafką Chippendale'a. Presteign wyjął z niej kryształową płytkę oprawioną w srebrną ramkę i podał ją Olivii. Dotknęła płytki czubkiem palca i na jej powierzchni pojawiła się czarna plamka. Posunęła palcem i plamka wyciągnęła się w linię. Szybkimi ruchami naszkicowała straszliwe wiry i zawijasy diabelskiej maski.

* * *

Saul Dagenham opuścił ciemną sypialnię. W chwilę później zalało ją światło z rozjaśniającej się ściany. Mogłoby się wydawać, że sypialnia Jisbelli odbija się w jakimś gigantycznym zwierciadle, gdyby nie pewien drobny szczegół: Jisbella leżała w łóżku sama, natomiast na domniemanym odbiciu, na krawędzi łóżka siedział samotnie Saul Dagenham. Lustro było w rzeczywistości taflą szkła ołowiowego, oddzielającą dwa identyczne pokoje. Dagenham właśnie włączył w swoim światło.

- Miłość z zegarkiem w ręku – rozległ się z głośnika głos Dagenhama. – Wstrętne.
- Nie, Saul, wcale nie.
- Frustrujące.
- Ależ skąd.
- Ale unieszczęśliwiająca.
- Nie. Nie bądź zachłanny. Ciesz się tym, co masz.
- To więcej niż miałem kiedykolwiek. Jesteś wspaniała.
- A ty jesteś ekstrawagancki. Połóż się już spać, kochanie. Jutro idziemy na narty.
- Nie, nie mogę.. W moich planach zaszyły pewne zmiany. Muszę popracować.
- Och, Saul... Obiecałeś. Koniec z pracą, z tym ciągłym zdenerwowaniem, zabieganiem... Nie dotrzymasz danego raz przyrzeczenia?
- Nie mogę, dopóki trwa wojna.
- Do diabła z wojną. Dostyc już dałeś z siebie na Tycho Sands. Nie mogą wymagać od ciebie więcej.
- Musze dokończyć pewną robotę.
- Pomogę, ci ją dokończyć..
- Nie. Lepiej trzymaj się z dala od tego, Jisbello.
- Nie ufasz mi?
- Nie chciałbym, żeby coś ci się stało.
- Nikt nam nic nie może zrobić.
- Foyle może.
- C... Co?
- Fourmyle to Foyle. Przecież o tym wiesz. Wiem, że wiesz.
- Ależ ja nigdy...
- Nie, nigdy mi tego nie powiedziałaś. Jesteś wspaniała. W ten sam sposób i mnie dochowuj wierności, Jisbello.
- Jak więc to odkryłeś?
- Foyle popełnił błąd.
- Jaki?
- Przybierając nazwisko Fourmyle.
- Fourmyle z Ceres? On kupił spółkę z Ceres.
- A skąd nazwisko Geoffrey Fourmyle?
- Wymyślił je sobie.
- Sądzi, że je wymyślił, ale w rzeczywistości je zapamiętał. Geoffrey Fourmyle to nazwisko, które nadano mu podczas testu na megalomanię w Połączonym Szpitalu w Mexico

City. Poddałem Foyla Megal Nastrojowi chcąc go wybadać. To nazwisko musiało mu utkwic gdzieś w podświadomości. Wyłowił je stamtąd i przyjął za oryginalne. To właśnie ono naprowadziło mnie na ślad.

– Biedny Gully.

Dagenham uśmiechnął się.

– Tak, tak. Żebyśmy nawet nie wiem jak bronili się przed światem zewnętrznym, to i tak coś nas zawsze podkopie od środka. Przed zdradą nie ma obrony, a wszyscy sami siebie zdradzamy.

– Co zamierzasz zrobić, Saul?

– Co zamierzam? Wykończyć go, oczywiście.

– Dla dwudziestu funtów PirE?

– Nie. Po to, żeby wygrać przegraną wojnę.

– Co takiego? – Jisbella wstała z łóżka i podeszła do szklanej szyby rozdzielającej obie sypialnie. – Ty jesteś patriotą, Saul?

Skinął głową, robiąc przy tym minę winowajcy.

– To zabawne. Groteskowe. Ale jestem patriotą. Zmieniłaś mnie całkowicie. Znowu jestem normalnym człowiekiem.

Przycisnął swoją twarz do szyby i pocałowali się przez trzy cale ołowiowego szkła.

* * *

Mare Nubium było miejscem nadającym się idealnie do hodowli niezbędnych w medycynie i przemyśle bakterii beztlenowych, organizmów glebowych, fagów, pleśni oraz innych mikroskopijnych form życia, których rozwojowi sprzyjało pozbawione powietrza środowisko. Bacteria, Inc. była ogromną mozaiką pól uprawnych, poprzecinanych pomostami roboczymi zbiegającymi się w centrum, które stanowiła grupka stłoczonych ciasno, jeden przy drugim, baraków mieszkalnych, biur i warsztatów. Każde poletko przykryte było gigantycznym szklanym kloszem o średnicy stu stóp, wysokim na dwanaście cali i grubym na dwie molekuly.

W dniu poprzedzającym dotarcie do Mare Nubium pełnąj wolno po powierzchni Księżyca linii świtu klosze napełniano pożywką. O wschodzie słońca, nagłym i oślepiającym na pozbawionym atmosfery Księżycu, obsiewano przykryte kloszami poletka i przez kolejne czternaście dni nieprzerwanego nasłonecznienia pielęgnowano je, ekranowano, regulowano, dokarmiano... Tam i z powrotem, po pomostach roboczych, snuli się doglądający pól robotnicy odziani w skafandry próżniowe. Kiedy do Mare Nubium dopełzała linia zmierzchu,

w kloszach odbywały się żniwa, po czym pozostawiano je, aby wymroziły się i wysterylizowały podczas zapadającej na dwanaście dni mroźnej księżycowej nocy.

Przy żmudnych, wlokących się w ślimaczym tempie pracach polowych jaunting nie miał żadnego zastosowania, przeto Bacteria, Inc. zatrudniała niezdolnych do jauntowania nieszczęśliwców, płacąc im głodowe stawki. Była to praca najniższej kategorii dla mętów i wyrzutków społecznych Układu Słonecznego, toteż podczas cyklicznych, dwunastodniowych przerw w pracy, baraki mieszkalne Bacteria, Inc. przypominały piekło. Foyle przekonał się o tym wchodząc do Baraku Nr 3.

Przywitało go przerażające widowisko. W ogromnym pomieszczeniu kłębiły się ze dwie setki ludzi; były tam prostytutki ze swymi patrzącymi spode łba rajfurami, byli zawodowi szulerzy ze swymi przenośnymi stoliczkami do gry, byli domokrażcy handlujący narkotykami, byli i lichwiarze. W powietrzu unosiły się opary gryzącego dymu i odór alkoholu, pomieszany ze smrodem jego substytutów. Po podłodze walały się w nieładzie szczątki umeblowania, rozmamlane barłogi, bezprzytomne ciała, puste butelki, nadpsute resztki jedzenia i lichy wie co jeszcze.

W panującym zgiełku pojawienie się Foylea przeszło niezauważone, był jednak przygotowany na taką ewentualność.

– Który to Kempsey? – spytał grzecznie pierwszej zarośniętej gęby, na jaką się nadział. Ublizono mu w odpowiedzi, mimo to uśmiechnął się i wręczył człowiekowi stukredytkowy banknot.

– Który to Kempsey? – spytał innego. Odpowiedziano mu przekleństwem. Zapłacił znowu i nie zrażając się przesuwał się niespiesznie w głąb baraku rozdając na prawo i lewo stukredytkowe banknoty w zamian za obelgi i inwektywy, którymi go obdarzano. Pośrodku sali znalazł informatora, bez wątpienia postrach baraku, nagiego, bezwłosego potwora w ludzkiej skórze pieszczącego dwie dziwki i pojonego whisky przez paru pochlebców.

– Który to Kempsey? – spytał go Foyle. – Szukam Rogera Kempseya.

– Toś, koleś, znalazł guza, bo mi przerywasz – warknął w odpowiedzi typ wyciągając wielgachną łapę po pieniądze Foylea. – Kopsaj.

Tłum zawył z zachwytu. Foyle uśmiechnął się i splunął bezwłosemu w oko. Zaległa pełna napięcia cisza. Bezwłosey zrzucił z kolan prostytutkę i zerwał się na równe nogi z zamiarem unicestwienia Foylea. W pięć sekund później wił się po podłodze pod postawioną na jego karku stopą Foylea.

– Pytałem o Kempseya – powiedział łagodnie Foyle. – Musze go, kurczę, znaleźć. Lepiej go wskaż, albo już po tobie, jak rany.

– Umywalnia – jęknął bezwłosey. – Siedzi w umywalni.

– Widzisz, teraz ty mi przerywasz – powiedział Foyle. Cisnął bezwłosemu resztę pieniędzy i oddalił się szybkim krokiem w kierunku umywalni.

Kempsey kulił się w kącie pod natryskami, przyciskając twarz do ściany i zawodząc w monotonnym rytmie, z czego można było wnioskować, iż znajduje się w tym stanie od kilku godzin.

– Kempsey? – spytał Foyle.

Odpowiedziało mu zawodzenie.

– Co ci jest, kurczę?

– Ubrania – chlipnął Kempsey. – Ubrania. Wszędzie ubrania. Jak plugastwo, jak zaraza, jak brud. Ubrania. Wszędzie ubrania.

– Człowieku, weź się w garść. Wstawaj.

– Ubrania. Wszędzie ubrania. Jak plugastwo, jak zaraza, jak brud...

– Kempsey, posłuchaj, człowieku. Przysyła mnie Orel.

Kempsey przestał chlipać i zwrócił złane łzami oblicze na Foyla.

– Kto? Kto?

– Przysyła mnie Sergei Orel. Wykupiłem cię. Jesteś wolny. Odlatujemy stąd.

– Kiedy?

– Zaraz.

– O Boże! Bóg mu zapłać. Pobłogosław mu Boże! – Kempsey zaczął brykać w niemrawym uniesieniu. Posiniaczona i rozlazła twarz rozciągała się w coś na podobieństwo uśmiechu.

Śmiejącego się i płasającego, Foyle wyprowadził z umywalni. Gdy Foyle wiódł go przez długą salę, nadzy rajfurzy zaczęli podrzucać w gore naręcza brudnych ubrań i potrząsać nimi przed oczyma Kempseya. Ten krzyknął i znowu uderzył w płacz. Pienił się i mamrotał coś pod nosem.

– Co mu jest, kurczę? – spytał Foyle bezwłosego.

Bezwłosey okazywał mu teraz neutralny szacunek, o ile nie przyjaźń.

– Podejrzany o grabież – odparł. – Z nim tak zawsze. Pokaż mu stare łachy, a dostaje kota.

– Dlaczego?

– Czort go wie. Wariat i tyle.

Po założeniu skafandrów w służbie powietrznej głównego biura, Foyle wyprowadził Kempseya na kosmodrom, gdzie dwadzieścia szybów raketowych wskazywało bladymi paluchami swych wiązek antygravitacyjnych wiszący na nocnym niebie sierp Ziemi. Zeszli do jednego z szybów, dostali się na pokład jachtu Foyla i tam zdjęli skafandry. Foyle wyjął

z szafki butelkę i żądło–ampułkę. Nalał Kempseyowi drinka i odstąpiwszy kilka kroków do tyłu przyglądał mu się z uśmiechem, ważąc żądło–ampułkę w dłoni.

Kempsey, wciąż oszołomiony, wciąż nie posiadający się z radości pociągnął spory łyk whisky.

– Wolny – mamrotał pod nosem. – Pobłogosław mu Boże! Wolny. Nie wiesz nawet przez co tu przeszedłem – popił znowu. – Wciąż nie mogę w to uwierzyć. To jest jak sen. Dlaczego nie startujesz, przyjacielu? Ja... – Kempsey zakrztusił się trunkiem i wypuszczając z rąk szklankę wybałuszył na Foylea przerażone oczy. – Twoja twarz! – wykrzyknął. – Mój Boże, twoja twarz! Co jej się stało?

– Ty jej się stałeś, sukinsynu! – wrzasnął Foyle, wykrzywając płonąca tygrysią maskę. Sprężył się nagle w sobie i cisnął ampułką jak nożem. Ugodziła Kempseya w szyję i utkwiała w niej drgając. Kempsey zatoczył się

Foyle przyspieszył, śmignął rozmazaną plamą ku ciału, pochwycił je zanim upadło na podłogę i przeniósł na rufę, do luksusowej kabiny położonej po prawej burcie. Na jachcie znajdowały się dwie kabiny luksusowe i Foyle już zawczasu odpowiednio przygotował obydwie. Kabina po prawej burcie została ogołocona z wyposażenia i przekształcona w salę operacyjną. Foyle przypasał bezwładne ciało Kempseya do stołu operacyjnego, otworzył futerał z narzędziami chirurgicznymi i przystąpił do skomplikowanej operacji, której tego dnia rano nauczył się w drodze hipno–treningu – operacji możliwej do przeprowadzenia tylko dzięki pięciokrotnemu przyspieszeniu wykonywanych przezeń ruchów.

Przeciął skórę i powieź, przepiłował się przez żebra klatki piersiowej, odsłonił serce, wyciął je, a żyły i arterie podłączył do skomplikowanej, pompy krwi stojącej obok stołu. Włączył pompę. Od momentu rozpoczęcia operacji upłynęło zaledwie dwadzieścia sekund czasu obiektywnego. Nałożył na twarz Kempseya maskę tlenową i włączył ssąco–tłoczącą pompę tlenu.

Wyłączył przyspieszenie swego ciała, zmierzył Kempseyowi temperaturę, zaaplikował mu serię dożylnych zastrzyków pobudzających i czekał. Krew, bulgocząc, płynęła przez pompę j ciało Kempseya. Po pięciu minutach Foyle zdjął mu maskę tlenową. Proces oddychania trwał nadal dzięki odruchowi bezwarunkowemu. Kempsey nie miał serca, ale żył. Foyle usiadł przy stole operacyjnym i czekał. Na twarzy pałało mu wciąż szkarłatne piętno.

Kempsey był ciągle nieprzytomny.

Foyle czekał.

Kempsey ocknął się z krzykiem.

Foyle zerwał się z krzesła, zacisnął pasy i pochylił się nad pozbawionym serca człowiekiem.

– Cześć, Kempsey – powiedział.

Kempsey krzyknął.

– Spójrz na siebie, Kempsey. Jesteś martwy.

Kempsey zemdlął. Foyle ocucił go, nakładając mu maskę tlenową.

– Pozwól mi umrzeć, na miłość boską!

– Co ci jest? Boli? Ja umierałem sześć miesięcy i nie skamlałem.

– Daj mi umrzeć.

– Wszystko w swoim czasie, Kempsey. Twój blok sympatyczny jest zneutralizowany, ale pozwolę ci umrzeć, kiedy nadejdzie na to pora i jeśli będziesz grzeczny. Byłeś na pokładzie „Vorgi” szesnastego sierpnia 2436 roku?

– Zaklinam cię na Chrystusa, daj mi umrzeć.

– Byłeś wtedy na pokładzie „Vorgi”?

– Tak.

– Minęliście w kosmosie wrak. Wrak „Nomada”. Wzywał pomocy, a wy jej mu nie udzieliliście, tak?

– Tak.

– Dlaczego?

– Chryste! O Chryste, dopomóż mi!

– Dlaczego?

– O Jezu!

– To ja byłem na „Nomadzie”, Kempsey. Dlaczego zostawiliście mnie tam, żebym zgnił?

– Słodki Jezu, dopomóż mi! Chryste, wybaw mnie!

– Ja ciebie wybawię, Kempsey, jeśli będziesz odpowiadał na pytania. Dlaczego zostawiliście mnie, żebym tam zgnił?

– Nie mogliśmy cię zabrać.

– Dlaczego?

– Mielśmy na pokładzie uchodźców.

– Aha! A więc słusznie się domyślałem. Transportowaliście uchodźców z Callisto?

– Tak.

– Ilu?

– Sześciuset.

– To sporo, ale mogliście przecież zrobić miejsce dla jeszcze jednej osoby. Dlaczego mnie nie zabraliście?

– Wyrzucaliśmy tych ludzi.

– Co!?! – krzyknął Foyle.

– Za burtę... wszystkich... sześciuset. Rozbieraliśmy ich do naga... zabieraliśmy im ubrania, pieniądze, klejnoty, bagaże... Wypychaliśmy ich partiami przez służbę powietrzną. Chryste! Te ubrania na całym statku... Te wrzaski... Jezus! Gdybym mógł to zapomnieć! Nagie kobiety... całe sine... rozrywające się w próżni... lecące za statkiem... Te ubrania na całym statku... Sześciuset... Wyrzuconych.

– Ty sukinsynu! Oszukaliście tych ludzi? Wzięliście od nich pieniądze nie mając nawet zamiaru przewieźć ich na Ziemię.?

– Tak, oszukaliśmy ich.

– I to dlatego mnie nie zabraliście?

– I tak musielibyśmy cię wyrzucić.

– Kto wydał ten rozkaz?

– Kapitan.

– Nazwisko?

– Joyce. Lindsey Joyce.

– Adres?

– Kolonia Skopców, Mars.

– Co!? – Foyle był oszołomiony. – On jest Skopcem? Chcesz przez to powiedzieć, że po całym roku tropienia nie mogę go tknąć... nie mogę nic mu zrobić... nie mogę doprowadzić do tego, żeby czuł to co ja czułem? – odwrócił się od rozciągniętego na stole operacyjnym, torturowanego człowieka, cierpiąc na równi z nim torturę pokrzyżowanych planów. – Skopiec! Jedyna rzecz, której nigdy bym się nie spodziewał... przygotowując dla niego tę luksusową kabinę na lewej burcie... Co robić? Na Boga, co robić? – ryczał z wściekłości, a piętno na jego twarzy zdawało się być żywe.

Wyrwał go z tego stanu rozpaczliwy jęk Kempseya. Odwrócił się z powrotem twarzą do stołu operacyjnego i pochylił się nad rozprutym ciałem.

– Podsumujmy to ostatecznie. Rozkaz wyrzucenia uchodźców za burtę, wydał ten Skopiec, Lindsey Joyce?

– Tak.

– I on kazał mnie pozostawić na pastwę losu?

– Tak, tak, tak. Dostyc. Daj mi już umrzeć.

– A żyj, ty świnió... ty ohydny, nieczuły skurwysynie! Żyj bez serca. Żyj i cierp. Utrzymam cię przy życiu na zawsze, ty...

Kątem oka dostrzegł Foyle niesamowity błysk światła. Podniósł głowę. Przez wielki, kwadratowy iluminator luksusowej kabiny prawej burty zaglądał do środka jego płonący sobowtór. Zanim zdążył dopaść do iluminatora, płonący człowiek znikł.

Foyle wypadł z kabiny i popędził na dziób, do sterowni głównej, skąd z pęcherza obserwacyjnego ogarniał wzrokiem 270 stopni przestrzeni. Płonącego Człowieka nigdzie nie było widać.

– Wydawało mi się – mruknął do siebie. – To nie mogła być jawa. To był znak, szczęśliwy znak... To Anioł Stróż. Ocalił mnie już na Schodach Hiszpańskich. Mówi mi, żebym nie rezygnował i odszukał Lindseya Joyce’a.

Przypiął się pasami w fotelu pilota, włączył silniki odrzutowe jachtu i gwałtownym ruchem dźwigni dał pełne przyspieszenie.

– Lindsey Joyce, Kolonia Skopców, Mars – myślał, wtłoczony głęboko w pneumatyczny fotel. – Skopiec... Pozbawiony zmysłów, uczuć rozkoszy i bólu. Ucieczka w stoicką krańcowość. Jak mam go ukarać? Jak torturować? Umieścić go w kabine lewej burty i pokazać co czułem na pokładzie „Nomada”? Psiakrew! To tak, jakby umarł. On przecież jest martwy. Musze znaleźć sposób, aby ożywić to martwe ciało i doprowadzić do tego, żeby poczuło ból. Żeby być już tak blisko końca i ujrzeć, jak drzwi zatrząskują ci się przed nosem... Co za cholerne zniweczenie moich wszystkich planów. Zemsta jest po to, aby o niej śnić... nigdy po to, aby wprowadzić ją w czyn.

W godzinę później uwolnił się spod przytłaczającego ciężarem wpływu przyspieszenia i własnej wściekłości. Rozpiął pasy i przypomniał sobie Kempseya. Przeszedł na rufę do sali operacyjnej. Maksymalne przyspieszenie z jakim statek wystartował z Księżyca zakłóciło na tyle prace pompy krwi, aby zabić Kempseya. Foyle zapalał nagle strasznym gniewem na siebie samego. Bezszykownie walczył z tym uczuciem.

– Co się z tobą dzieje, kurczę? – szeptał do siebie. – Pomyśl o tych sześciuset wypchniętych w próżnię... Pomyśl o sobie... Stałeś się świętoszkowatym Chryścjaninem Piwnicznym, który nadstawia drugi policzek i skamle o przebaczenie? Olivio, co ty ze mną robisz? Daj mi siłę, nie tchórzliwość...

Niemniej jednak odwrócił wzrok wyrzucając ciało za burtę.

ROZDZIAŁ 13

ZATRZYMAĆ W CELU PRZESŁUCHANIA WSZYSTKIE OSOBY, O KTÓRYCH WIADOMO, ŻE BYŁY ZATRUDNIONE PRZEZ FOURMYLE'A Z CERES LUB POZOSTAWAŁY Z NIM W JAKICHKOLWIEK STOSUNKACH. Y-Y: CENTRALA WYWIADOWCZA.

WSZYSCY ZATRUDNIENI W SPÓŁCE ZOBOWIĄZANI ZOSTAJĄ DO ZWRACANIA BACZNEJ UWAGI NA NIEJAKIEGO FOURMYLE'A Z CERES, A O JEGO POJAWIENIU SIĘ NATYCHMIAST MELDOWAĆ MAJĄ LOKALNEMU MR. PRESTO. PRESTEIGN.

WSZYSCY KURIERZY MAJĄ PRZERWAĆ NATYCHMIAST WYKONYWANIE BIEŻĄCYCH ZADAŃ I ZAMELDOWAĆ SIĘ W KWATERZE GŁÓWNEJ CELEM ODEBRANIA INSTRUKCJI W SPRAWIE FOYLA. DAGENHAM.

W ZWIĄZKU Z KRYZYSEM WOJENNYM BANK HOLIDAY ZOBOWIĄZANY ZOSTAJE NINIEJSZYM DO ZABLOKOWANIA WSZELKICH KONT FOURMYLE'A. Y-Y: CENTRALA WYWIADOWCZA.

KAŻDY DOPYTUJĄCY SIĘ O SS „VORGA” MA BYĆ BEZZWŁOZNIE DOPROWADZONY DO ZAMKU PRESTEIGNA CELEM PRZESŁUCHANIA. PRESTEIGN.

PRZYGOTOWAĆ NA PRZYBYCIE FOURMYLE'A WSZYSTKIE PORTY I KOSMODROMY NA PLANETACH WEWNĘTRZNYCH. WSZYSTKICH ŁĄDUJĄCYCH PODDAWAĆ KWARANTANNIE I REWIZJI CELNEJ. Y-Y: CENTRALA WYWIADOWCZA.

PRZESZUKAĆ I WZIAĆ POD OBSERWACJĘ KATEDRĘ ŚW. PATRYKA.
DAGENHAM.

CELEM UPZEDZENIA, JEŚLI TO MOŻLIWE, NASTĘPNEGO RUCHU FOYLA,
WYSZUKAĆ W AKTACH BOŃESA I UIGA NAZWISKA WSZYSTKICH OFICERÓW
I CZŁONKÓW ZAŁOGI „VORGI”. PRESTEIGN.

KOMISJA BADANIA ZBRODNI WOJENNYCH ZOSTAJE NINIEJSZYM
ZOBOWIĄZANA DO SPORZĄDZENIA LISTY WROGÓW PUBLICZNYCH, NUMER
PIERWSZY NADAJĄC NA NIEJ FOYLOWI. Y-Y: CENTRALA WYWIADOWCZA.

1 000 000 KREDYTEK NAGRODY ZA UDZIELENIE INFORMACJI, KTÓRE
DOPROWADZIŁYBY DO UJĘCIA FOURMYLE'A Z CERES, ALIAS GULLIVERA
FOYLA, ALIAS GULLY FOYLA, PRZEBYWAJĄCEGO AKTUALNIE NA WOLNOŚCI
NA PLANETACH WEWNĘTRZNYCH. PRIORYTET!

* * *

W dwa wieki po kolonizacji Marsa walka o powietrze na tej planecie wciąż jeszcze
znajdowała się w tak krytycznym stadium, że obowiązywało nadal Prawo L-W, czyli Prawo
Linczu Wegetacyjnego. Narażenie na szwank lub zniszczenie jakiegokolwiek rośliny
niezbędnej do przetworzenia składającej się głównie z dwutlenku węgla marsjańskiej
atmosfery w atmosferę tlenową, było wykroczeniem karanym śmiercią. Nietykalne było
każde źdźbło trawy; stawianie tabliczek z napisami „Nie deptać trawników” było całkowicie
zbędne. Mężczyzna, który zszedłby ze ścieżki na trawnik zostałby natychmiast zastrzelony.
Kobieta, która zerwałaby kwiatek, zostałaby bez litości zabita. Dwa wieki gwałtownej
śmierci, jaką karano niszczenie zieleni, wzbudziło dla tej ostatniej część porównywalną
niemal z religijnym kultem.

Foyle pamiętał o tym pędząc środkiem grobli wiodącej do Mars St. Michele. Z portu
kosmicznego Syrtis jauntował się prosto na rampę St. Michele, usytuowaną u wejścia na
groblę, która biegnąc na odcinku ćwierć mili przez zielone pola uprawne, kończyła się u bram
Mars St. Michele. Tę drogę trzeba było przebyć pieszo.

Podobnie jak oryginalna Mont St. Michele na francuskim wybrzeżu, Mars St. Michele
była majestatyczną, gotycką katedrą o strzelistych wieżycach i potężnych przyporach,
mającą na wzgórzu i sięgającą nieba. Na Ziemi katedrę Mont St. Michele opływały

oceaniczne fale. Katedrę Mars St. Michele na Marsie omywały zielone fale traw. Obydwie budowle były twierdzami. Mont St. Michele była twierdzą wiary, dopóki nie zdelegalizowano zorganizowanej religii. Mars St. Michele była twierdzą telepatii. Mieszkał w niej jedyny pełny telepata Marsa – Sigurd Magsman.

– Pozostały mi jeszcze te bastiony obronne, chroniące Sigurda Magsmana – zawodził monotonnie Foyle, a przypominało to coś pośredniego między historycznym wyciem, a odmawianiem litanii. – Po pierwsze: Układ Słoneczny, po drugie: prawo wojenne, po trzecie: Dagenham–Presteign i spółka, po czwarte: sama twierdza, po piąte: umundurowana straż, personel, służba i wielbiciele tego brodatego mędrca, którego wszyscy tak dobrze znamy – Sigurda Magsmana, sprzedającego swe przeraźliwe moce za przeraźliwe ceny...

Foyle wybuchnął niepohamowanym śmiechem:

– Ale po szóste: wiem, że Sigurd Magsman ma piętę achillesową... bo zapłaciłem 1 000 000 kredytek Sigurdowi III..., a może był to Sigurd IV?

Przeszedł bez przeszkód przez zewnętrzny labirynt katedry Mars St. Michele okazując sfalszowane listy uwierzytelniające i kusilo go, żeby blefować dalej prosząc o audiencję z samym Wielkim Człowiekiem, zamiast dostać się doń od razu poprzez akcje komandoską. Musiał oprzeć się pokusie, gdyż czas ponaglał, a nieprzyjaciel mógł być już blisko. Przyspieszył więc, przemknął rozmazaną plamą przez katedrę i w ogrodzonym wysokim murem ogrodzie znalazł skromnie wyglądający domek. Budynek miał brązowe okna i pokryty strzechą dach, przez co można go było wziąć za stodołę. Foyle wśliznął się do wnętrza.

W domku mieściło się przedszkole. W fotelach na biegunach siedziały bez ruchu, trzymając w zastygłych dłoniach niedokończone robótki, trzy sympatyczne nianie. Za ich plecami pojawiła się nagle rozmazana plama będąca Foylem i użądliła je bez pośpiechu żądło–ampułkami. Wyłączył przyspieszenie swego ciała i spojrzał na stare, stareńkie dziecko – zasuszonego, pomarszczonego chłopca, który siedział na podłodze i bawił się elektronicznymi kolejkami.

– Cześć Sigurd – pozdrowił chłopca Foyle.

Dziecko zaczęło płakać.

– Beksa! Czego się boisz? Nic ci nie zrobię.

– „*Jesteś złym człowiekiem o złej twarzy.*”

– Jestem twoim przyjacielem, Sigurd.

– „*Nie, nie jesteś. Chcesz mnie namówić do robienia brzydkich rzeczy.*”

– Jestem twoim przyjacielem. Posłuchaj, wiem wszystko o tym wielkim, owłosionym człowieku, który udaje, że jest tobą, ale nic nie powiem. Czytaj mnie i sam się przekonaj.

– „Chcesz mu zrobić krzywdę i chcesz, żebym z nim rozmawiał.”

– Z kim?

– „Z kapitanem. Skło... Skpo...” – dziecko jąkało się, lamentując coraz głośniejsze. – „Idź sobie. Jesteś zły. Zło jest w twojej głowie i płonący ludzie i...”

– Chodź no tu, Sigurd.

– „Nie pójdę. NIANIU! NIA-NIUUU!”

– Stul dziób, gówniarzu!

Foyle porwał z ziemi siedemdziesięcioletnie dziecko i potrząsnął nim w powietrzu.

– To będzie dla ciebie nowe doświadczenie, Sigurd. Po raz pierwszy w swoim życiu dostaniesz w skórę.

Podstarzałe dziecko odczytało go i zawyło.

– Zamknij się! Idziemy na wycieczkę do Kolonii Skopców. Musisz być grzeczny i robić, co ci każę. Potem odstawię cię bezpiecznie do domu i dam lizaka, czy czym cię tam, u diabła, przekupują. A jak nie będziesz grzeczny, to stłukę cię na kwaśne jabłko.

– „Nie, nie zrobisz tego... Nie zrobisz tego. Jestem Sigurd Magsman. Jestem Sigurd telepata. Nie odważysz się.”

– A ja jestem Gully Foyle, synku. Wróg Publiczny Numer Jeden Układu Słonecznego. Jestem o krok od zakończenia całorocznego polowania... ryzykuję własną głową, bo muszę wyrównać rachunki z sukinsynem, który... Jestem Gully Foyle, synku i nie ma takiej rzeczy, na którą bym się nie ważył.

Telepata zaczął nadawać przerażenie z takim natężeniem że w całym Mars St. Michele rozdzwięczały się dzwonki alarmowe. Foyle przycisnął do piersi stare dziecko, przyspieszył i wyniósł je z twierdzy, po czym jauntował się.

* * *

PILNE. SIGURD MAGSMAN UPROWADZONY PRZEZ CZŁOWIEKA ZIDENTYFIKOWANEGO TYMCZASOWO JAKO GULLIVER FOYLE, ALIAS FOURMYLE Z CERES, WRÓG PUBLICZNY NUMER JEDEN UKŁADU SŁONECZNEGO. PRAWDOPODOBNE MIEJSCE PRZEZNACZENIA USTALONO. ZAALARMOWAĆ BRYGADĘ KOMANDOSÓW. POWIADOMIĆ CENTRALĘ WYWIADOWCZĄ. PILNE!

* * *

Starożytna sekta Skopców z Białej Rusi, wierząc, iż korzeniem wszelkiego zła jest seks, praktykowała ohydny samokastrację celem wykarczowania tego korzenia. Nowocześni Skopcy, wierząc, iż korzeniem wszelkiego zła pozostają zmysły, praktykowali jeszcze bardziej barbarzyński zwyczaj. Wstępując do Kolonii Skopców i płacąc za ten przywilej fortunę, nowicjusze poddawali się radośnie operacji, w trakcie której odłączano im układ zmysłów postrzegania i dożywali swych dni pozbawieni zmysłów wzroku, słuchu, węchu, smaku, dotyku oraz mowy.

Kiedy nowicjusz po raz pierwszy wkraczał do monasteru, pokazywano mu elegancką, wyłożoną kością słoniową cele, w której, jak mu dawano do zrozumienia, spędzi troskliwie pielęgnowany resztę życia w skupionej kontemplacji. W rzeczywistości, pozbawione zmysłów stworzenia pakowano do katakumb, gdzie siedziały na nieociosanych, kamiennych płytach i były karmione oraz oporzędzane raz dziennie. Przez dwadzieścia trzy z dwudziestu czterech godzin każdej doby, nieszczęśnicy ci wegetowali samotnie w ciemnościach, nie pielęgnowani, nie strzeżeni i przez nikogo nie kochani.

– Żywe trupy – mruknął Foyle. Wyłączył przyspieszenie, postawił Sigurda Magsmana na ziemi i zapalił reflektorki siatkówkowe w swych oczach, próbując nimi przebić mrok. Na powierzchni była północ. Pod ziemią, w katakumbach, północ panowała wiecznie. Sigurd Magsman nadawał przerażenie i udrękę z takim telepatycznym rykiem, że Foyle zmuszony był znowu potrząsnąć dzieciakiem.

– Zamknij się! – szepnął. – Nie wolno ci obudzić tych trupów. Znajdź mi teraz Lindseya Joyce’a.

– „*Oni są chorzy... wszyscy chorzy... jakby mieli w głowach robaki i chorobę i...*”

– Chryste, sam to wiem. No, skończ już z tym. Będzie jeszcze gorzej.

Szli krętym labiryntem korytarzy katakumb. Ze ścian, od podłogi po sklepienie, sterczały półki. Skopcy, biali jak ślimaki, niemi jak trupy, nieruchomi jak Buddowie, wypełniali groty odorem żywych umarłych. Telepatyczne dziecko płakało i wrzeszczało. Foyle ani na chwilę nie poluził bezlitosnego chwytu jakim przyciskał je do siebie, ani na chwilę nie ustawał w tropieniu.

– Johnson, Wright, Keeley, Graff, Nastro, Underwood... Boże, są tu ich tysiące. – Foyle odczytywał brązowe tabliczki identyfikacyjne przymocowane do każdej płyty-półki. – Skup się, Sigurd. Znajdź mi Lindseya Joyce’a. Nie będziemy ich przecież odczytywać nazwisko po nazwisku. Regal, Cone, Brady, Vincent... Co u...?

Foyle odskoczył do tyłu. Jedna z kościstobiałych postaci przykuła jego wzrok. Kołysała się i wiła; jej twarz wykrzywiała się w dziwnych grymasach. Foyle rozejrzał się. Wszystkie białe ślimaki kręciły się i wiły na swych półkach. Nieprzerwany, telepatyczny przekaz udręki

i przerażenia nadawany przez Sigurda Magsmana dosięgnął ich mózgow i sprawiał im tortury.

– Zamknij się – warknął Foyle. – Przestań. Wyjdziemy stąd jak znajdziesz Lindseya Joyce’a. Skoncentruj się i odszukaj go.

– „*Tam*” – chlipnął Sigurd. – „*Tam, przed nami. Na dole. Siedem, osiem, dziewiąta półka od dołu. Ja chce do domu. Jestem chory. Ja...*”

Foyle na łeb na szyję pognał katakumbami ciągnąc za sobą Sigurda Magsmana i odczytując po drodze tabliczki identyfikacyjne, dopóki nie natrafił na tę, która głosiła:

„LINDSEY JOYCE. BOUGAINVILLE. VENUS”

To był jego wróg, sprawca jego moralnej śmierci i śmierci sześciuset ludzi z Callisto. To był wróg, w stosunku do którego snuł swe plany zemsty i którego tropił przez wiele miesięcy. To był wróg, któremu przygotowywał cierpienia w luksusowej kabinie z lewej burty swego jachtu. To była „Vorga”. Była kobietą.

Foyle stanął jak rażony piorunem. W owych czasach, czasach podwójnego kryterium, kiedy to kobiety trzymano w odosobnieniu, krążyło wiele pogłosek o przypadkach podawania się kobiet za mężczyzn, celem dostania się do zamkniętego dla ich płci świata, nigdy jednak nie słyszał o kobiecie, która by służyła w marynarce handlowej... maskowała się przez całą, długą drogę do najwyższej rangi oficerskiej.

– To? – wykrzyknął wreszcie rozwścieczony. – To jest Lindsey Joyce? Lindsey Joyce z „Vorgi”? Spytaj ją.

– „*Nie wiem co to jest „Vorga.*”

– Spytaj ją.

– „*Ale ja nie... Ona była... Ona lubiła rozkazywać.*”

– Czy była kapitanem?

– „*Nie podoba mi się to, co w niej jest. Wszystko tam jest chore i ponure. To boli. Ja chcę do domu.*”

– Spytaj ją. Spytaj, czy była kapitanem „Vorgi”.

– „*Tak, była. Proszę cię, proszę, proszę, nie każ mi już w nią wchodzić. Tam jest źle i boli. Nie lubię jej.*”

– Powiedz jej, że jestem człowiekiem, którego nie zabrała na pokład 16 sierpnia 2436 roku. Powiedz jej, że zabrało mi to dużo czasu, ale w końcu przyszedłem, żeby wyrównać rachunki. Powiedz jej, że zamierzam się zemścić.

– „*N... nie rozumiem. Nie rozumiem.*”

– Powiedz jej, że ją zabiję. Umrze powoli i w męczarniach. Powiedz, że na jachcie mam kabinę urządzonej tak samo, jak mój schowek na pokładzie „Nomada”, w którym gnilem przez sześć miesięcy... w którym zostawiono mnie z jej rozkazu, żebym umarł. Powiedz jej, że

będzie gnąć i umierać tak jak ja. Powiedz jej! – Foyle potrząsnął ze złością zasuszonym dzieciakiem. – Zrobię tak, żeby to poczuła. Nie ucieknie przed tym, chociaż została Skopcem. Powiedz jej, że ją zarżnę. Czytaj mnie i mów jej wszystko!

– „*Ona... O... ona nie wydała tego rozkazu.*”

– Co takiego?

– „*Nie mogę jej zrozumieć.*”

– Nie wydała rozkazu porzucenia mnie w kosmosie?

– „*Boję się w nią wchodzić.*”

– Wchodź, mały sukinsynu, albo rozerwę cię na sztuki. Co ona ma na myśli?

Dzieciak wył; kobieta skręcała się; Foyle szalał z wściekłości:

– Wchodź w nią! Wchodź! Wyciągnij to z niej. Jezu Chryste, dlaczego jedyny telepata na Marsie musi być dzieciakiem? Sigurd! Sigurd, posłuchaj. Zapytaj ją: Czy to ona wydała rozkaz wyrzucenia za burtę uchodźców?

– „*Nie. Nie!*”

– To znaczy nie wydała, czy ty w nią nie wejdiesz?

– „*Ona go nie wydała.*”

– Czy to ona wydała rozkaz pozostawienia „Nomada” własnemu losowi?

– „*Ona jest spaczona i chora. Och, proszę! NIA–NIUUU! Chce do domu. Chce stąd wyjść.*”

– Czy to ona wydała rozkaz pozostawienia „Nomada” własnemu losowi?

– „*Nie.*”

– Nie wydała?

– „*Nie. Odprowadź mnie do domu.*”

– Spytaj jej, kto go wydał.

– „*Chcę do mojej niani.*”

– Spytaj, kto mógł jej rozkazywać. Była kapitanem na swoim własnym statku. Kto mógł jej rozkazywać. Spytaj ją o to.

– „*Chcę do mojej niani.*”

– Zapytaj ją.

– „*Nie. Nie. Nie. Boję się. Ona jest chora. Ona jest ciemna i czarna. Ona jest zła. Nie rozumiem jej. Chcę do mojej niani. Chcę do domu.*”

Dzieciak wrzeszczał i trzął się na całym ciele; Foyle krzyczał. Echo huczało. W momencie, gdy Foyle wyciągnął rękę chcąc zatkać Sigurdowi usta, oślepiło go jaskrawe światło. Całe katakumby oświetlał Płonący Człowiek. Przed Foylem stał w płonącym ubraniu jego sobowtór o straszliwej twarzy i błyszczącymi oczyma wpatrywał się w Skopca, którego

nazwisko brzmiało Lindsey Joyce.

Płonący Człowiek otworzył swe tygrysie usta. Wydobył się z nich zgrzytliwy dźwięk, przypominając ognisty śmiech.

– Ona cierpi – usłyszał Foyle.

– Kim jesteś? – wyszeptał.

Płonący Człowiek skrzywił się z bólu.

– Za jasno – jęknął. – Mniej światła.

Foyle postąpił krok naprzód i Płonący Człowiek zasłonił dłońmi uszy. Na jego twarzy malowała się śmiertelna udręka.

– Za głośno – krzyknął. – Poruszaj się ciszej.

– Czy jesteś moim Aniołem Stróżem?

– Oślepiasz mnie. Sza! – powiedział Płonący Człowiek i nagle roześmiał się znowu. – Posłuchaj jej. Ona krzyczy. Ona błaga. Ona nie chce umierać. Ona nie chce cierpieć. Słuchaj jej.

Foyle zadrżał.

– Ona nam mówi, kto wydał ten rozkaz. Czy nie słyszysz? Słuchaj oczyma – Płonący Człowiek wskazał szponiastym palcem na skręcającego się w konwulsjach Skopca. – Ona mówi: Olivia.

– Co?!

– Ona mówi Olivia. Olivia Presteign. Olivia Presteign. Olivia Presteign.

Płonący Człowiek zniknął.

W katakumbach znowu zapanowały ciemności.

Wokół Foyla wirowały kolorowe światła i kakofonia ech. Dyszał ciężko i chwiał się na nogach.

– Ślepy Jaunting – mruczał. – Olivia. Nie. Nie. Nigdy. Olivia...

Poczuł jak jego dłoni dotyka jakaś inna dłoń.

– Jiz? – wyrzęził.

I dopiero teraz uświadomił sobie, że to Sigurd Magsman trzyma go za rękę i płacze. Wziął chłopca na ręce.

– „Cierpię” – wychlipał Sigurd.

– Ja też cierpię, synu.

– „Chcę do domu.”

– Zaraz cię tam odprowadzę.

Ciągle trzymając chłopca na rękach powlókł się przez katakumby.

– Śmierć za żyda – mamrotał do siebie. – Dołączyłem do nich.

Znalazł kamienne stopnie prowadzące z podziemi do budynku monasteru. Wspiął się po nich mozolnie, rozkoszując się myślą o śmierci i swym nieutulonym żalem. Dostrzegł nad sobą jasne światło i przez chwile myślał, że to już świt. Potem zdał sobie sprawę, że cały klasztor skąpany jest w potokach sztucznego światła. Słyszał tupot obutych stóp i niski pomruk wydawanych komend. Przystanął w połowie schodów i wziął się w garść.

– Sigurd – szepnął – kto jest na górze? Wybadaj to.

– „*Wojsko*” – odparł dzieciak.

– Żołnierze? Jacy żołnierze?

– „*Komandosi*” – pomarszczona twarz Sigurda rozjaśniła się – „*Przyszli po mnie. Chcą mnie zabrać do niani. TUTAJ JESTEM! TUTAJ JESTEM!*”

Telepatycznemu wrzaskowi odpowiedziały okrzyki na górze. Foyle przyspieszył i przemierzając resztę schodów wpadł rozmazaną plamą do klasztoru. Znalazł się w czworokącie romańskich łuków, okalających zielony trawnik. Pośrodku trawnika rósł gigantyczny, libański cedr. Wytyczone chorągiewkami ścieżki roily się od doborowych oddziałów komandosów i Foyle stanął oko w oko z równym sobie przeciwnikiem, bowiem w chwili po dostrzeżeniu wypadającej z katakumb na powierzchnię rozmazanej plamy, komandosi przyspieszyli również, przemieniając się dla świata zewnętrznego w identyczne, poruszające się błyskawicznie plamy.

Ale Foyle miał ze sobą chłopca. Tylko dzięki temu nie został z miejsca ostrzelany. Unosząc w ramionach Sigurda przemknął przez klasztor niczym uczestnik biegu z przeszkodami gnający do mety. Nikt nie ważył się zastąpić mu drogi, bowiem czołowe zderzenie dwóch ciał pozostających pod pięciokrotnym przyspieszeniem pociągnęłoby za sobą fatalne dla obu skutki. Dla postronnego obserwatora, cały ten karkołomny pościg wyglądał jak trwający pięć sekund zygzak błyskawicy.

Foyle wyprysnął z klasztoru, przeleciał jak strzała przez nawę główną monasteru, minął w pełnym pędzie labirynt i dopadł do publicznej jauntrampy za główną bramą. Tam zatrzymał się, wyłączył przyspieszenie i jauntował się na odległy o pół mili kosmodrom. Kosmodrom był również rzęsiście oświetlony i roił się od Komandosów. Każdy szyb antygravitacyjny zajęty był przez statek Brygady. Jego własny jacht znajdował się pod strażą.

W jedną piątą sekundy po pojawieniu się na kosmodromie Foyla, przyjauntowała tam za nim pogoń z monasteru. Rozejrzał się rozpaczliwie dokoła. Otaczało go pół regimentu Komandosów; wszyscy pod przyspieszeniem; wszyscy gotowi do walki na śmierć i życie; wszyscy dorównujący mu sprawnością albo przewyższający go w niej. Szanse na zwycięstwo były żadne.

I wtedy Satelity Zewnętrzne odwróciły te szanse. Dokładnie w tydzień po nalocie na

Ziemię uderzyły na Marsa.

Pociski spadły znowu na tę pogrążoną w mroku nocy ćwiartkę planety, na której minęła już północ, a nie nastał jeszcze świt. Znowu niebiosa zamigotały wybuchami przechwytywanych przez system obronny bomb, horyzont eksplodował wielkimi kłębami światła, a ziemia drżała od detonacji pocisków docierających do celu. Tym jednak razem nastąpiło upiorne urozmaicenie, gdyż oto na niebie rozerwała się oślepiająco jasna nova, oblewając nocną półkulę globu jaskrawym światłem. To rój głowic nuklearnych zderzył się z małym satelitą Marsa – Fobosem, zmieniając go w jednej chwili w obłok pary.

Zaskoczenie, jakie wywołał wśród Komandosów ten przerażający atak, dało Foylowi szansę. Przyspieszył ponownie i przedarł się przez kordon zdezorientowanych żołnierzy do swego jachtu. Zatrzymał się przed lukiem głównym, którego strzegł oszołomiony oddział wartowniczy, wahający się czy kontynuować starą akcję, czy też zareagować na zaistniałą sytuację. Foyle z całych sił cisnął Sigurda Magsmana w powietrze jak starożytny Szkot miotający pniakiem i gdy oddział wartowniczy rzucił się jak jeden mąż, aby pochwycić chłopca, zanurkował między nimi i wpadł przez luk do jachtu zatrzasnąwszy za sobą klapę i ryglując ją.

Wciąż pod przyspieszeniem, nie tracąc czasu na sprawdzenie, czy na jachcie ktoś nie pozostał, pomknął na dziób do sterowni, popchnął dźwignie zwalniającą i gdy tylko jacht zaczął się wznosić po wiązce antygravitacyjnej, dał pełny ciąg 10G. Nie przypasał się do fotela pilota. Wpływ zrywu 10G na jego pozostające w stanie przyspieszenia i nie zabezpieczone ciało był potworny.

Siła przeciążenia porwała go w swoje szpony i wyrzuciła z fotela. Jak lunatyk, cał po calu, posuwał się w kierunku tylnej ściany sterowni. Dla jego przyspieszonych zmysłów, ściana zdawała się najeżdżać na niego. Wyciągnął przed siebie ręce i oparł się o nią obiema dłońmi. Spowolniona siła, pchająca go w kierunku rufy, rozkrzyżowała mu ramiona i przyciskając do ściany, zrazu lekko, potem coraz to silniej i silniej, wgniotła wreszcie w metal jego twarz, szczeki, pierś i całe ciało.

Narastające przeciążenie stawało się nie do wytrzymania. Czynił wysiłki, aby przełączyć językiem klawiaturę w ustach, ale przygniatająca go do ściany siła odrzutu uniemożliwiała wykonanie najmniejszego choćby ruchu odkształconymi ustami. Grzmot eksplozji, który doszedł go gdzieś z dolnego krańca pasma częstotliwości akustycznych powiedział mu, że Brygada Komandosów ostrzeliwuje jacht z powierzchni planety. Statek rwał pełnym ciągiem w granatowo–czarny mrok kosmosu, a on zaczął wrzeszczeć skrzeczącym głosem nietoperza, aż wreszcie litościwi bogowie odebrali mu przytomność!

ROZDZIAŁ 14

Foyle ocknął się w ciemnościach. Przyspieszenie zmysłów było wyłączone, ale ze stanu wyczerpania w jakim się znajdował mógł wnioskować, że w czasie nieprzytomności pozostawał jakiś czas pod przyspieszeniem. Albo wyczerpał się zasilacz, albo... powoli sięgnął ręką za plecy. Zasilacza nie było. Wyjęto go.

Pomacał wokół siebie trzęsącymi się palcami. Leżał w łóżku. Słyszał cichy pomruk licznych wentylatorów i klimatyzacji oraz trzaski i buczenie serwomechanizmów. Znajdował się na pokładzie jakiegoś statku. Był przypięty do łóżka pasami. Statek leciał z wyłączonym ciągiem silników.

Foyle odpiął się, wparł łokcie w materace i wznosił się w górę. Szybował poprzez mrok szukając po omacku wyłącznika światła lub przycisku dzwonka. Dłonie natrafiły nagle na karafkę z wodą. Na gładkim szkle naczynia wyczuł wypukłe litery. Rozpoznawał je przesuwając po zgrubieniach opuszkami palców. S, S – wyczuł – V, O, R, G, A.

– „Vorga” – krzyknął. Drzwi kabiny otworzyły się. Wpłynęła przez nie jakaś postać rysująca się ciemną sylwetką na tle jasno oświetlonej luksusowej kabiny.

– Tym razem cię zabraliśmy – odezwała się znajomym głosem.

– Olivia?

– Tak.

– A więc to prawda?

– Tak, Gully.

Foyle poczuł, że z oczu płyną mu łzy.

– Jesteś jeszcze osłabiony – powiedziała łagodnie Olivia Presteign. – Chodź, połóżysz się.

Nakłoniła go, żeby wszedł do jej kabiny i położył się na kanapie. Była jeszcze ciepła od jej ciała.

– Byłeś nieprzytomny przez sześć dni. Nie sądziliśmy, że przeżyjesz. Zanim chirurg znalazł na twych plecach baterię, uszły z ciebie wszystkie siły.

– Gdzie jest ta bateria? – wyrzęził.

– Dostaniesz ją, kiedy tylko będziesz chciał. Nie przejmuj się tym teraz, mój drogi.

Spojrzał na nią przeciągle; na swoją Śnieżną Dziewicę, na swoją ukochaną Królową Lodu... ta satynowo biała skóra, te ślepe, koralowe oczy i subtelne koralowe usta. Dotknęła jego wilgotnych powiek pachnącą chusteczką.

– Kocham cię – powiedział.

– Sza. Wiem o tym, Gully.

– Ty wiesz o mnie wszystko. Od jak dawna?

– Od początku wiedziałam, że Gully Foyle, kosmonauta z „Nomada”, jest moim wrogiem. Do chwili naszego pierwszego spotkania nie wiedziałam, że Fourmyle to ty. Ach, gdybym wiedziała o tym wcześniej. Ileż oszczędziłoby to nam kłopotów.

– Wiedziałaś wszystko i śmiałaś się ze mnie.

– Nie.

– Obserwowałaś mnie z boku i trzęsałaś się ze śmiechu.

– Obserwowałam cię z boku i powoli zaczynałam cię kochać... Nie, nie przerywaj mi. Próbuje być racjonalna, a to nie jest dla mnie łatwe – rumieniec okraszył jej marmurowe lica. – Nie igrasz teraz z tobą. Ja... zdradziłam cię mojemu ojcu. Tak, zdradziłam. Była to, jak myślę, samoobrona. Teraz, kiedy się wreszcie na nim poznałam, widzę, że jest zbyt niebezpieczny. W godzinę później wiedziałam już, że popełniłam błąd, gdyż zdałam sobie sprawę, iż cię kocham. Teraz płacę za to. Nie potrzeba, żebyś wiedział...

– Myślisz, że w to uwierzę?

– Po co więc tu jestem? – drżała lekko. – Dlaczego przyleciałam tu za tobą? To bombardowanie było upiorne. Gdybyśmy nie wzięli cię na pokład, zginąłbyś w przeciągu minuty. Twój jacht był wrakiem...

– Gdzie teraz jesteśmy?

– Co to za różnica? Orbitujemy wokół Ziemi.

– Jak zdołałaś mnie wytropić?

– Wiedziałam, że będziesz szukał Lindseya Joyce’a. Wzięłam jeden ze statków mojego ojca. Tak się złożyło, że jest to znowu „Vorga”.

– Czy on o tym wie?

– Nigdy nie wie co robię. Żyje swoim własnym, prywatnym życiem.

Nie mógł oderwać od niej oczu, chociaż patrzenie na nią sprawiało mu ból. Pragnął i nienawidził... pragnął, aby rzeczywistość nie była faktem dokonanym, nienawidził prawdy za to, czym była. Przyłapał się na tym, że gładzi drżącymi palcami jej chusteczkę.

– Kocham cię, Olivio.

– Kocham cię, Gully, mój wrogu.

– Na miłość boską! – wybuchnął. – Dlaczego to zrobiłaś? Byłaś na pokładzie „Vorgi”,

gdy przewoziła oszukanych uchodźców. Wydałaś rozkaz wyrzucenia ich w próżnię. Wydałaś rozkaz pozostawienia mnie na pastwę losu. Dlaczego! Dlaczego!

– Co? – odskoczyła od niego. – Żądasz przeprosin?

– Żądam wyjaśnień.

– Nie będę się przed tobą tłumaczyć!

– Krew i pieniądze, jak mawia twój ojciec. Ma racje. Och... Suka! Suka! Suka!

– Tak, krew i pieniądze; i nie wstydzę się tego.

– Tonę, Olivio. Podaj mi rękę.

– To toń. Mnie nikt nigdy nie ratował. Nie, nie... To nie tak, wszystko nie tak. Poczekaj, mój drogi, poczekaj. – Uspokoła się i zaczęła mówić bardzo czule. – Mogłabym skłamać, kochany Gully i zrobić to w taki sposób, że uwierzyłbyś, ale będę szczerą. Wyjaśnienie jest proste. Żyję swoim własnym, prywatnym życiem. Wszyscy tak żyjemy. Ty także.

– Ale jakie jest to twoje życie?

– Nie różni się od twojego... nie różni się od trybu życia, jaki prowadzi reszta świata.

Oszukuję, kłamię, niszczę... jak wszyscy. Jak wszyscy jestem kryminalistką.

– Ale dlaczego? Dla pieniędzy? Ty ich nie potrzebujesz.

– Nie, nie potrzebuję.

– Więc dla kontroli... dla władzy?

– Nie dla władzy.

– No to dlaczego?

Wzięła głęboki oddech, jakby to co miała wyznać, było pierwszą prawdą jaka przechodzi przez jej usta i to sprawiało jej cierpienie.

– Z nienawiści... Żeby wam odpłacić, wam wszystkim.

– Za co?

– Za to, że jestem ślepa – powiedziała ledwo dosłyszalnym głosem. – Za to, że oszukuję. Za to, że jestem bezradna. Powinni byli mnie zabić, kiedy tylko przyszłam na świat. Czy ty wiesz, co to znaczy być ślepy? Czerpać życie z drugiej ręki? Być ciągle zdanym na kogoś, błagającym kaleką? „Sprowadzić ich do mojego poziomu” powiedziałam sobie w moim sekretnym życiu. „Jeśli jesteś ślepa, uczyn ich jeszcze bardziej ślepy. Jeśli jesteś ślepa, uczyn ich bezradnymi, okalecz ich. Odpłać im... im wszystkim”.

– Olivio, jesteś szalona.

– A ty?

– Kocham potwora.

– Jesteśmy parą potworów.

– Nie!

– Nie? Ty nim nie jesteś? – wybuchnęła gniewem. – A czym jest twoje postępowanie jeśli nie takim samym odpłacaniem światu? Czym jest twoja zemsta, jeśli nie wyrównywaniem swoich prywatnych porachunków z brakiem szczęścia w życiu? Jak można nie nazwać cię potworem? Mówię ci, Gully, jesteśmy dobraną parą. Nie mogliśmy się nie pokochać.

Był oszołomiony prawdą jej słów. Próbował przymierzyć do siebie jej zarzuty i pasowały jak ulał, przylegając ściślej niż wytatuowana na jego twarzy tygrysia maska.

– To prawda – powiedział wolno. – Nie jestem lepszy od ciebie. Nawet gorszy. Ale, na Boga, nigdy nie zamordowałem sześciuset ludzi.

– Mordujesz właśnie sześć milionów.

– Co takiego?

– Może i więcej. Znajdujesz się w posiadaniu czegoś, co jest potrzebne, aby zakończyć tę wojnę i nie chcesz tego udostępnić.

– Chodzi ci o PirE?

– Tak.

– Co to jest; ten pojednawca, te dwadzieścia funtów cudownej substancji, o którą walczą?

– Nie wiem. Wiem tylko, że tego potrzebują, ale nic mnie to nie obchodzi. Tak, jestem teraz szczerą. Nic mnie to nie obchodzi. Niech mordują się milionami. To nie robi nam żadnej różnicy. Nie dla nas, Gully, bo my stoimy z boku. Stoimy z boku i kształtujemy swój własny świat. Jesteśmy silni.

– Jesteśmy przeklęci.

– Jesteśmy błogosławieni. Wreszcie się odnaleźliśmy – roześmiała się niespodziewanie i wyciągnęła ramiona. – Przekonuję cię, jakby potrzeba tu było słów. Chodź do mnie, mój kochany... Chodź do mnie, gdziekolwiek jesteś...

Dotknął ją i objął ramionami. Odszukał jej usta i przywarł do nich żarłocznie, ale coś kazało mu ją puścić.

– Co się stało, Gully, mój kochany?

– Nie jestem już dzieckiem – powiedział znużonym głosem. – Nauczyłem się rozumieć, że nic nie jest proste. Nie ma nigdy prostej odpowiedzi. Można kogoś kochać, a zarazem czuć do niego wstręt.

– Ty tak możesz, Gully?

– Sprawiasz, że brzydzę się sobą samym.

– Nie, mój kochany.

– Całe życie byłem tygrysem. Ćwiczyłem... uczyłem się... wciąż starałem się wszelkimi siłami, aby stać się jeszcze silniejszym tygrysem, o jeszcze dłuższych pazurach i jeszcze ostrzejszych zębach... szybkim i siejącym śmierć...

– I jesteś takim. Jesteś najgroźniejszym tygrysem.

– Nie, nie jestem. Posunąłem się za daleko. Wyrosłem z prymitywizmu. Stałem się istotą myślącą. Patrzę w twoje ślepe oczy, moja miłości, której nienawidzę, i dostrzegam w nich siebie. Nie ma już tygrysa. Odszedł.

– Nie ma takiego, miejsca, do którego mógłby odejść tygrys. Jesteś osaczony, Gully; przez Dagenhama, przez Wywiad, przez mojego ojca, przez cały świat.

– Wiem.

– Ale ze mną jesteś bezpieczny. Jesteśmy bezpieczni trzymając się razem. Oboje. Nie przyjdzie im nawet do głowy, żeby cię szukać przy mnie. Możemy wspólnie planować, wspólnie walczyć i wspólnie ich zniszczyć.

– Nie, nie będziemy działać wspólnie.

– Co to znaczy? – znowu zapłonęła gniewem. – Nadal na mnie nastajesz? To o to ci chodzi? Nadal pragniesz zemsty? No to zaspokój swoją żądzę. Stoję przed tobą. No... zniszcz mnie.

– Nie. Skończyłem już z niszczeniem.

– Ach wiem, o co ci chodzi – w jednej chwili znowu stała się czuła. – O twoją twarz, biedaku. Wstydzisz się swojej tygryskiej twarzy, ale ja ją kocham. Płoniesz dla mnie tak jasno. Płoniesz poprzez moją ślepotę. Wierz mi...

– Mój Boże! Jesteśmy parą ohydnych potworów.

– Co ci się stało? – zdziwiła się. Odsunęła się gwałtownie od niego. Jej koralowe oczy błyszczały. – Gdzie jest ten mężczyzna, który obserwował ze mną nalot? Gdzie jest ten bezwstydnym barbarzyńca, który...

– Odszedł, Olivio. Straciłaś go. Oboje go straciliśmy.

– Gully!

– Już go nie ma.

– Ale dlaczego? Cóż takiego uczyniłam?

– Nie zrozumiesz tego, Olivio.

– Gdzie jesteś? – wyciągnęła rękę, dotknęła go i nagle przywarta doń całym ciałem. – Słuchaj mnie, kochany. Jesteś zmęczony, wyczerpany. To wszystko. Nic nie jest stracone – słowa same cisnęły się jej na usta. – Masz rację. Oczywiście, że masz rację. Byliśmy oboje źli. Ohydni. Ale to już minęło. Nic nie jest stracone. Grzeszyliśmy, bo byliśmy samotni i nieszczęśliwi. Ale odnaleźliśmy się; możemy się wzajemnie ocalić. Kochaj mnie, Gully. Kochaj mnie zawsze. Na zawsze. Tak długo cię szukałam, tak długo czekałam, karmiłam się nadzieją, modliłam się..

– Nie. Ty kłamiesz, Olivio, i dobrze o tym wiesz.

– Na miłość boską, Gully!

– Sprowadź „Vorgę” na dół, Olivio.

– Mam wylądować?

– Tak.

– Na Ziemi?

– Tak.

– Co chcesz zrobić? Jesteś szalony. Tropią cię... czekają na ciebie... obserwują. Co chcesz zrobić?

– Myślisz że łatwo mi to przychodzi? – odparł. – Robię to, co muszę zrobić. Wciąż coś mnie gna. Nie uniknie tego nigdy żaden człowiek, a te ostrogi bolą. Bolą jak cholera.

Stłumił gniew i uspokoił się. Ujął jej dłonie i złożył na nich pocałunek.

– Miedzy nami wszystko skończone, Olivio – powiedział łagodnie. – Ale kocham cię. Zawsze będę cię kochał. Nigdy cię nie zapomnę.

* * *

– Podsumujmy – powiedział Dagenham uderzając pięścią w stół. – Zbombardowano nas tej nocy, której zdemaskowaliśmy Foyla. Zgubiliśmy go na Księżycu i znaleźliśmy znowu w tydzień później na Marsie. Tam znowu nas zbombardowano. Umknął nam po raz drugi. Od tygodnia brak o nim wszelkich wieści. Znosi się na następne bombardowanie, nie wiadomo tylko, na którą z Planet Wewnętrznych teraz kolej. Na Wenus? Na Księżyc? Znowu na Ziemię? Któż to wie. Ale wszyscy wiemy jedno: jeszcze jeden taki nalot bez odwetu z naszej strony i jesteśmy zgubieni.

Popatrzył po twarzach mężczyzn siedzących wokół stołu. Na tle wyłożonej kością słoniową i złotem Komnaty Gwiazdzistej Zamku Presteigna jego twarz, wszystkie trzy twarze wyglądały na skupione. Yáng–Yeovil spuścił oczy, marszcząc przy tym brwi. Presteign zaciskał swe cienkie wargi.

– Wiemy również – ciągnął Dagenham – że nie możemy wziąć odwetu nie dysponując PirE, a bez Foyla nie potrafimy ustalić gdzie znajduje się PirE.

– Wydałem chyba instrukcje – wtrącił Presteign – aby nie wymieniać nazwy PirE publicznie.

– Po pierwsze – warknął Dagenham – jest to narada prywatna. Po drugie, omawiana sprawa wykracza poza prawa własności. Dyskutujemy o przetrwaniu, a w tym względzie wszyscy mamy równe prawa. Tak, Jiz?

Do Komnaty Gwiazdzistej wjauntowała się Jisbella Mc Queen. Była przejęta

i rozwścieczona.

– Wciąż ani śladu Foyla.

– Katedra św. Patryka ciągle pod obserwacją?

– Tak.

– Brygada Komandosów nie meldowała jeszcze z Marsa?

– Nie.

– To zdaje się moja sprawa i do tego ściśle tajna – zaprotestował łagodnie Yáng–Yeovil.

– Masz tak samo mało tajemnic przede mną, jak ja przed tobą – Dagenham uśmiechnął się niewesoło. – Zobaczymy, Jiz, czy zdołasz wyprzedzić Centralę Wywiadowczą i wrócić tu z tym meldunkiem przed nimi. Ruszaj.

Zniknęła.

– Wracając do praw własności – mruknął Yáng–Yeovil – to czy wolno mi będzie zapewnić Presteigna, że Centrala Wywiadowcza gwarantuje mu pełną odpłatność za jego prawa, tytuł i zainteresowanie względem PirE?

– Nie rozpieszczaj go, Yeovil.

– Nasza narada jest rejestrowana – oznajmił chłodno Presteign. – Oferta kapitana znajduje się już w aktach – tu zwrócił swą bazyliżkową twarz ku Dagenhamowi. – Pracuje pan dla mnie, Mr. Dagenham. Proszę, aby powstrzymał się pan od wygłaszania takich aluzji pod moim adresem.

– I pod adresem twoich praw własności? – zapytał Dagenham z uśmiechem denata. – Ty i te twoje cholerne prawa własności. To wy z waszymi prawami własności wpędziliście nas w tę kabałę. W imię twojego prawa własności cały układ znajduje się na granicy unicestwienia. Wcale nie przesadzam. Ta wojna, jeśli jej nie przerwiemy, będzie trwała tak długo, dopóki wszyscy się nie powyrzynamy.

– Zawsze istnieje możliwość kapitulacji – odparł Presteign.

– Wykluczone – odezwał się Yáng–Yeovil. – Dyskutowano już o tym w dowództwie i stanowczo odrzucono taką ewentualność. Znamy plany, jakie Satelity Zewnętrzne przygotowały na wypadek odniesienia zwycięstwa. Dotyczą one całkowitego wyeksploatowania Planet Wewnętrznych. My mamy być wyniszczeni i pracować, dopóki nic nie pozostanie. Kapitulacja byłaby dla nas tak samo zgubna, jak klęska.

– Ale nie dla Presteigna – dodał Dagenham.

– Czy nie należałoby raczej powiedzieć: wyłączając tu obecnych? – spytał wdzięcznie Yáng–Yeovil.

– W porządku, Presteignie – Dagenham bujał się na swym krześle. – Mów.

– Że co proszę, sir?

– Dowiedzmy się wreszcie wszystkiego o PirE. Mam pomysł, jak zmusić Foyla do mówienia i jak zlokalizować miejsce, w którym ukrył on ten towar, ale najpierw muszę wszystko o nim wiedzieć. Teraz ty wnieś w to swój udział.

– Nie – odparł Presteign.

– Co nie?

– Postanowiłem wycofać się z naszego stowarzyszenia informacyjnego. Nic nie powiem na temat PirE.

– Na miłość boską, Presteignie! Czyś oszalał? Co w ciebie wstąpiło? Znowu walczysz przeciwko partii liberalnej Regisa Sheffielda?

– To bardzo proste, Dagenham – wtrącił Yáng–Yeovil. – Z moich informacji na temat sytuacji, jaka rozwinęłaby się w następstwie naszej kapitulacji lub klęski wynika, że Presteign poprawiłby swoją pozycję. Nie ulega wątpliwości, iż nosi się on z zamiarem prowadzenia negocjacji w sprawie sprzedaży substancji PirE nieprzyjacielowi, w zamian za... korzyści osobiste.

– Czy nic już cię nie wzrusza? – spytał Dagenham Presteigna. W jego głosie brzmiała pogarda. – Czy niczym już nie można cię dotknąć? Jesteś samą własnością, niczym więcej? Odejdź, Jiz! To wszystko na nic.

Do Komnaty Gwiazdzistej wjauntowała się ponownie Jisbella.

– Nadszedł meldunek od Brygady Komandosów – powiedziała. – Wiemy już co się stało z Foylem.

– No, co?

– Wpadł w ręce Presteigna.

– Co?! – Dagenham z Yáng–Yeovilem zerwali się z miejsc.

– Odleciał z Marsa prywatnym jachtem, został zestrzelony i widziano, jak zabiera go na pokład SS „Vorga” Presteigna.

– Niech cię diabli, Presteignie – warknął Dagenham. – To dlatego byłś...

– Zostaw go – rzucił Yáng–Yeovil. – Dla niego to też nowina. Popatrz tylko na niego.

Przystojna twarz Presteigna przybrała barwę popiołu. Próbował podnieść się z krzesła i opadł na nie z powrotem.

– Olivia... – wyszeptał. – Z nim... Z tym mętem...

– Presteignie?

– Moja córka, panowie... od pewnego czasu zaangażowana jest w... pewnego rodzaju działalność. To wada rodzinna. Krew i... Staralem się przymykać na to oczy... Utwierdziłem się niemal w przekonaniu, iż się mylę. Ale... Foyle! Ten lump! Ta gnida! Trzeba go zniszczyć! – głos Presteigna osiągnął zatrważająco wysoką nutę, głowa opadła mu do tyłu, jak

wisielcowi, a ciałem zaczęły wstrząsać gwałtowne drgawki.

– Co ci...?

– To epilepsja – powiedział Yáng–Yeovil. Ściągnął Presteigna z krzesła na podłogę. – Łyżeczkę, Miss McQueen. Szybko! – Podważył Presteignowi zęby i wsunął między nie łyżeczkę, zabezpieczając w ten sposób język przed odgryzieniem. Atak skończył się tak samo nagle, jak się zaczął. Drgawki ustały. Presteign otworzył oczy.

– „Petit mal” – mruknął Yáng–Yeovil, wyciągając łyżeczkę z ust Presteigna. – Ale będzie przez chwile oszołomiony.

Wtem Presteign zaczął mówić niskim, monotonnym głosem:

– PirE jest stopem piroforycznym. Pirofor to metal, który uderzony lub zadrapany emituje iskry. PirE emituje energie i dlatego do przedrostka Pir dodano literę E – symbol energii. PirE jest roztworem izotopów transplutonowców w stanie starym i wyzwala energie termojądrową, której wielkość porównać można z energią wytwarzaną podczas wybuchu gwiazdy. Jego odkrywca był zdania, że wyprodukował ekwiwalent pierwotnej protomaterii, z eksplozji której powstał Wszechświat.

– Mój Boże! – krzyknęła Jisbella.

Dagenham uciszył ją ruchem ręki i pochylił się nad Presteignem.

– W jaki sposób jest on sprowadzany do masy krytycznej, Presteignie? Jak jest wyzwalana ta energia?

– Tak samo, jak z chwilą ruszenia zegara Wszechświata, uwolniona została pierwotna energia – odparł monotonnym głosem Presteign. – Za sprawą Woli i Idei.

– Dochodzę do przekonania, że on jest Chryścijaninem Piwnicznym – mruknął Dagenham do Yáng–Yeovila. Podniósł głos. – Może nam to bliżej wyjaśnisz, Presteignie.

– Za sprawą Woli i Idei – powtórzył Presteign. – PirE można detonować tylko przez psychokinezę. Jego energię wyzwolić można jedynie myślą. Trzeba chcieć, żeby eksplodował i przekazać ten rozkaz myślą bezpośrednio do niego. To jedyny sposób.

– I nie ma żadnego klucza? Żadnej formuły?

– Nie. Potrzebne są tylko Wola i Idea – błyszczące oczy zamknęły się.

– Słodki Boże! – Dagenham otarł czoło z potu. – Czy to powstrzyma Satelity Zewnętrzne przed dalszymi atakami, Yeovil?

– To powstrzyma przed atakami nas wszystkich.

– To prosta droga do piekła – odezwała się Jisbella.

– A więc odnajdźmy to i usuńmy z drogi. To moje zdanie, Yeovil. Foyle już majstrował przy tym diabelstwie w swoim laboratorium u św. Patryka, starając się dokonać jego analizy.

– Powiedziała ci to w największej tajemnicy – wybuchnęła Jisbella.

– Przepraszam cię, kochana. Nie pora teraz na dyskrecję i przyzwoitość. Słuchaj, Yeovil, musiały pozostać jakieś okruchy tego świństwa... rozsypane tu i tam... jak kurz. W roztworach, w osadach. Musimy zdetonować te pozostałości i wydmuchać całe to diabelstwo z cyrku Foyla.

– Dlaczego?

– Żeby zaczął działać w pośpiechu. Przeważającą część PirE musiał gdzieś dobrze ukryć. Uda się tam, żeby ją uratować.

– A co będzie, jeśli ona również wybuchnie?

– Nie wybuchnie. Nie może wybuchnąć, ponieważ jest zamknięta w sejfie z Obojętnego Izomeru Ołowiu.

– Może nie wszystko jest zamknięte w sejfie.

– Jiz mówi, że jest... przynajmniej tak twierdził Foyle.

– Nie mieszaj mnie do tego – powiedziała Jisbella.

– Tak czy inaczej, musimy ryzykować.

– Ryzykować! – wykrzyknął Yáng–Yeovil. – Igrać z wybuchem gwiazdy? Zmienisz Układ Słoneczny w zarzewie kolejnej nowej.

– A co nam pozostało? Wskaż inny sposób... i to też będzie sposób grozący zagładą. Czy mamy jakikolwiek wybór?

– Możemy poczekać – wtrąciła Jisbella.

– Na co? Aż Foyle, majsterkując, sam wysadzi nas wszystkich w powietrze?

– Możemy go ostrzec.

– Nie wiemy, gdzie jest.

– Możemy go odszukać.

– Ile czasu to zajmie? Czy to też nie będzie ryzyko? A co, jeśli to świństwo leży porozsypywane po różnych kątach i tylko czeka, aż ktoś przemysli je w energię? Założmy, że jakiś szaber–jauntowiec włamuje się do miejsca, w którym jest ukryte i szukając kosztowności rozpruwa sejf? A wtedy mielibyśmy już nie tylko pył czekający na przypadkową myśl, ale całe dwadzieścia funtów.

Jisbella pobladła. Dagenham zwrócił się do agenta Wywiadu.

– Decyduj, Yeovil. Robimy tak, jak proponuję, czy czekamy?

Yáng–Yeovil westchnął ciężko.

– Tego się obawiałem – powiedział. – Niech diabli porwą wszystkich naukowców. Będę zmuszony podjąć swą decyzję w oparciu o fakty, których nie znasz, Dagenham. Tą sprawą zajmują się również Satelity Zewnętrzne. Mamy powody, aby przypuszczać, że ich agenci szukają Foyla nie przebijając w środkach. Jeżeli będziemy zwlekać, mogą dopaść go przed

nami. Prawdę mówiąc, już mogą go mieć.

– Jaka jest więc twoja decyzja?

– Detonować. Być może zmusimy tym Foyla do działania w pośpiechu.

– Nie! – krzyknęła Jisbella.

– Jak? – spytał Dagenham, ignorując dziewczynę całkowicie.

– Mam odpowiednią osobę do tej roboty. To półtelepatka nazwiskiem Robin Wednesbury.

– Kiedy?

– Natychmiast. Ewakuujemy całą okolicę. Komunikat nadamy na wszystkich kanałach w dzienniku telewizyjnym. Jeśli Foyle przebywa gdzieś na Planetach Wewnętrznych, usłyszy o tym.

– Nie o tym – powiedziała z rozpaczą w głosie Jisbella. – On usłyszy TO. To będzie ostatnia rzecz, jaką każde z nas usłyszy.

– Wola i Idea – szepnął Presteign.

* * *

Jak zawsze, po powrocie z burzliwej rozprawy w leningradzkim sądzie cywilnym, Regis Sheffield był z siebie zadowolony jak zarozumiały bokser zawodowy, który wygrał właśnie trudną walkę. Po drodze zatrzymał się w Berlinie, gdzie wypił drinka i porozmawiał trochę o wojnie, drugiego drinka wychylił w prawniczej speluncie na Quai D’Orsay, gdzie również prowadził dyskusję o wojnie, a trzecią, podobną sesję odbył w Skin and Boñes, naprzeciwko Tempie Bar. Kiedy dotarł wreszcie do swojego nowojorskiego biura, był już nieźle wstawiony.

Osobista sekretarka z pełną garścią mnemopaciorków przywitała go, gdy wielkimi krokami przemierzał gwarne korytarze i biura zewnętrzne...

– Zakasowałem Djargo–Danczenkę – oznajmił tryumfalnie Sheffield. – Wyrok i pełne odszkodowanie. Stary DD był zły jak diabli. Prowadzę z nim teraz 11:5. – Wziął mnemopaciorka, pożonglował nimi trochę i zaczął je rozrzucać po całym biurze, celując do najmniej oczekiwanych naczyń, włączając w to rozdziawione usta zagapionego urzędnika.

– Naprawdę, panie Sheffield?! Czy pan pił?

– Fajrant na dzisiaj. Wieści z wojny są zbyt ponure. Muszę coś ze sobą zrobić, żeby pozostać w dobrym nastroju. Co by pani powiedziała, gdybyśmy tak poszumieli na ulicy?

– Ależ panie Sheffield!

– Czy czeka na mnie coś, co nie może poczekać jeszcze jeden dzień?

– Jakiś gentleman jest w pańskim biurze.

– Wpuściła go pani tak daleko? – Sheffield sprawiał wrażenie przejętego. – Kim on jest?

Bogiem, czy jak?

– Nie podał swojego nazwiska. Wręczył mi tylko to.

Sekretarka wręczyła Sheffieldowi zapieczętowaną kopertę. Widniał na niej napis PILNE. Sheffield rozerwał ją. Jego otępieła twarz pofałdowała się z ciekawości. Wybałuszył oczy. W kopercie znajdowały się dwa banknoty po 50 000 kredytek każdy. Sheffield odwrócił się bez słowa i wpadł jak bomba do swego prywatnego biura. Foyle podniósł się z krzesła.

– One są autentyczne – wykrzyknął Sheffield.

– O ile mi wiadomo, to tak.

– Dokładnie dwadzieścia sztuk takich banknotów wydrukowano w zeszłym roku. Wszystkie złożono do depozytu w skarbcach ziemskich. Jakim cudem wszedł pan w posiadanie tych dwóch?

– Przekupiłem kogo trzeba.

– Po co one panu?

– Pomyślałem sobie wtedy, że wygodnie będzie mieć je do dyspozycji.

– Do jakiej dyspozycji? Na następne łapówki?

– Jeżeli honorarium prawnika można nazwać łapówką...

– Sam ustaliam wysokość moich honorariów – powiedział Sheffield wciskając banknoty z powrotem Foylowi. – Możesz je pan znowu wyciągnąć, jeśli zdecyduję się wziąć pańską sprawę i jeżeli zdecyduję, że jestem ich wart. Jakie masz pan kłopoty?

– Natury kryminalnej.

– Nie wchodzi pan jeszcze zbyt w szczegóły. No więc...?

– Chcę się oddać w ręce sprawiedliwości.

– Znaczy się policji?

– Tak.

– Za jaką zbrodnię?

– Za zbrodnie.

– Wymień pan dwie.

– Rabunek i gwałt.

– Wymień pan jeszcze dwie.

– Szantaż i morderstwo.

– Są jeszcze jakieś inne pozycje?

– Zdrada i ludobójstwo.

– Czy to wyczerpuje pański katalog?

– Myślę, że tak. Kiedy dojdziemy do szczegółów, uda się może wyłowić jeszcze parę.
– Napracowałeś się pan, co? Albo jesteś pan Królem Łajdaków, albo szaleńcem.
– Jestem i jednym, i drugim, panie Sheffield.
– Dlaczego chce się pan ujawnić?
– Opamiętałem się – odparł cierpko Foyle.
– Coś mi się nie wydaje. Kryminalista nigdy się nie podda, dopóki jest na fali. Po panu widzę, że jesteś pan na fali. Co jest więc przyczyną tej decyzji?

– Najcholemlniejsza rzecz, jaka może przytrafić się człowiekowi. Zapadłem na rzadką chorobę, która zwie się sumieniem.

Sheffield parsknął.

– Tak, to często może się fatalnie skończyć.
– To już się fatalnie skończyło. Nagle zdałem sobie sprawę, że postępowałem jak zwierzę.
– I teraz chce się pan oczyścić?
– Nie, to nie takie proste – powiedział ponuro Foyle. – Dlatego właśnie przyszedłem do pana... na poważną operację. Człowiek, który zapaskudził społeczeństwu morfologię, jest rakiem. Człowiek, który stawia swoje prywatne sprawy ponad interesy społeczeństwa, jest kryminalistą. Ale istnieją jeszcze reakcje łańcuchowe. Oczyszczenie z winy tutaj nie wystarcza. Trzeba to wszystko naprawić. Proszę Boga, żeby dało się wszystko wyleczyć przez wysłanie mnie z powrotem do Gouffre Martel lub rozstrzelanie.

– Z powrotem? – przerwał mu ostro Sheffield.
– Mam się wdawać w szczegóły?
– Jeszcze nie. Proszę mówić dalej. Perorujesz pan tak, jakby narastały w panu skrupuły natury etycznej.

– Tak właśnie jest. – Foyle przechadzał się wzburzony po gabinecie mnąc nerwowo banknoty w palcach. – To jest jedna, cholerna bryndza, Sheffield. Jest pewna dziewczyna, która musi zapłacić za wstrętą, ohydłą zbrodnię. Fakt, że ją kocham... Nie, mniejsza z tym. Ona ma raka, którego trzeba wyciąć... tak samo jak mnie. To by znaczyło, że do mojego katalogu będę musiał dodać donosicielstwo. Fakt, że jednocześnie sam się ujawniam, nie robi to żadnej różnicy.

– Co ma znaczyć ten cały groch z kapustą?

Foyle odwrócił się do Sheffielda.

– Jedna z noworocznych bomb wchodzi do pańskiego biura i mówi: „Napraw to wszystko. Poskładaj mnie z powrotem do kupy i odeślij tam, skąd przyleciałam. Odbuduj miasto, które zrównałam z ziemią i ożyw ludzi, których rozszarpałam na strzępy”. Do tego chcę właśnie pana zaangażować. Nie wiem jak rozumuje większość kryminalistów, ale...

– Rozsądnie, jeśli o to chodzi. Jak dobrzy biznesmeni, którzy mieli pecha – odparł szybko Sheffield. – To jest właśnie zachowanie się zawodowego kryminalisty. Jest dla mnie oczywiste, że pan jesteś amatorem, jeżeli w ogóle można pana uważać za kryminalistę. Mój drogi panie, bądź pan rozsądny. Przychodzi pan tutaj, oskarżając się ekstrawagancko o rabunek, gwałt, morderstwo, ludobójstwo, zdradę i Bóg raczy wiedzieć o co jeszcze. Czy spodziewa się pan, że potraktuję go poważnie?

Do gabinetu wjauntował się Bunny, aplikant Sheffielda.

– Szefie! – krzyknął w podnieceniu. – Wyszło na jaw coś nowiutkiego. Lubieżny jaunting! Dwaj smarkacze z wyższych sfer przekupili kokotę C klasy, żeby... OOooop. Przepraszam. Nie zauważyłem, że ma pan... – Bunny urwał i gapił się na Foyla. – Fourmyle! – wykrzyknął w końcu.

– Co? Kto? – zawołał Sheffield.

– Nie zna go pan, szefie? – wyjąkał Bunny. – To Fourmyle z Ceres – Gully Foyle.

Przed ponad rokiem Regis Sheffield został, podczas seansu hipnotycznego, specjalnie zaprogramowany i uczulony na tę właśnie chwilę. Jego ciało przygotowano do odpowiedniego zareagowania bez udziału myśli i reakcja ta była piorunująca. Sheffield rozłożył Foyla w pół sekundy; skroń, krtań, krocze. Zdecydowano się nie uzależniać tej akcji od wszelkiego rodzaju broni, gdyż tej, w krytycznym momencie, mogło nie być akurat pod ręką.

Foyle upadł. Sheffield rzucił się na Bunny'ego i grzmotnął go z taką siłą, że biedak przeleciał przez cały pokój. Potem splunął w dłoń. Zdecydowano nie wykorzystywać w tym celu żadnych narkotyków, gdyż w krytycznym momencie mogło akurat nie być ich pod ręką. Gruczoły ślinowe Sheffielda spreparowano tak, aby zareagowały na bodziec nadczynnością wydzielania. Sheffield rozdarł rękaw marynarki Foyla i wbił paznokiec głęboko w zagłębienie łokcia swej ofiary, przecinając skórę. W powstałą ranę szarpaną wcisnął swoją ślinę i zacisnął mocno dwie krawędzie przecięcia.

Z ust Foyla wyrwał się dziwny wrzask; na jego twarzy wykwitł szkarłatny tatuaż. Zanim oszołomiony aplikant zdołał wykonać jakikolwiek ruch, Sheffield zarzucił sobie Foyla na plecy i jauntował się

Przybył do św. Patryka, pojawiając się w samym środku Cyrku Four Mile. Było to śmiałe, ale i wyrafinowane posunięcie. Św. Patryk był ostatnim miejscem, w którym spodziewano by się go znaleźć, a zarazem pierwszym miejscem, w którym on mógł spodziewać się odnalezienia PirE. Był gotowy do rozprawienia się z każdym, kogo mógł napotkać w katedrze, ale w cyrku nie było żywego ducha.

Puste namioty nadymały się w nawie jak balony i wyglądały na zdewastowane; już je

splądrowano. Sheffield dał nurka do pierwszego, który wpadł mu w oko. Była to przewoźna biblioteka Fourmyle'a, wypełniona setkami książek i tysiącami błyszczących powieściopaciorków. Szaber-jauntowców nie interesowała literatura. Sheffield rzucił Foylea na podłogę i dopiero teraz wydobył z kieszeni pistolet.

Foyle zamrugał powiekami i otworzył oczy.

– Jesteś pod wpływem narkotyku – powiedział szybko Sheffield. – Nie próbuj jauntować. I nie ruszaj się. Ostrzegam cię, jestem gotowy na wszystko.

Foyle, półprzytomny, próbował wstać. Sheffield bez cienia wahania wystrzelił i osmalił mu ramię. Foylem rzuciło z powrotem o kamienną posadzkę. W uszach mu huczało, a wraz z krwią płynęła jego żyłami trucizna.

– Ostrzegam cię – powtórzył Sheffield. – Jestem gotowy na wszystko.

– Czego chcesz? – wyszeptał słabym głosem Foyle.

– Dwóch rzeczy. Dwudziestu funtów PirE i ciebie. Przede wszystkim ciebie.

– Ty wariacie! Ty cholerny maniaku! Przychodzę do twojego biura, żeby się ujawnić... oddać to...

– Satelitom Zewnętrznym?

– Sate... Co?

– Satelitom Zewnętrznym? Mam ci to przeliterować?

– Nie... – mruknął Foyle. – Mogłem się tego domyślać. Patriota Sheffield agentem Satelitów Zewnętrznych. Powinienem się tego domyślić. Głupiec ze mnie.

– Jesteś najcenniejszym głupcem na świecie, Foyle. Chcemy cię mieć nawet bardziej niż PirE. O PirE, nie wiemy nic, natomiast sporo wiemy o tobie.

– O czym ty mówisz?

– Mój Boże! To ty nie wiesz, co? Nadal niczego nie podejrzewasz?

– Co mam podejrzewać?

– Posłuchaj – powiedział grzęjącym głosem Sheffield. – Cofam się dwa lata wstecz, na „Nomada”. Rozumiesz? Z powrotem do momentu śmierci „Nomada”. Wykończył go jeden z naszych rajderów. Znaleźli cię na pokładzie wraka – ostatniego żywego człowieka.

– A więc to statek Satelitów Zewnętrznych rozwalił „Nomada”?

– Tak. Nie pamiętasz tego?

– Nie pamiętam nic, co się wtedy wydarzyło. Nigdy chyba sobie tego nie przypomnę.

– Zaraz ci wszystko opowiem. Rajderowi nasunął się chytry pomysł. Urządzili z ciebie wabika... taką siedzącą kaczkę, rozumiesz? Byłeś półżywy, ale zabrali cię na pokład i połatali. Potem ubrali cię w skafander próżniowy i wypchnęli w kosmos, żebyś tam dryfował z włączoną mikrofalówką. Nadawałeś sygnały alarmowe i jęczałeś o pomoc na

wszystkich zakresach fal. Pomysł sprowadzał się do tego, że oni, czając się w pobliżu, ustrzelą statki Planet Wewnętrznych, które przylecą cię ratować.

Foyle zaczął się śmiać.

– Wstaję – powiedział zuchowato. – Strzelaj sobie, sukinsynu, a ja wstaję.

Podniósł się z wysiłkiem z podłogi, przyciskając dłonią zranione ramię.

– A więc „Vorga” słusznie zrobiła, że mnie nie zabrała – śmiał się Foyle. – Byłem wabikiem. Nikt nie powinien się do mnie zbliżać. Byłem przynętą, pułapką... Czy to nie szczyt ironii? Po pierwsze „Nomad” nie miał żadnego prawa żądać pomocy. Po drugie ja nie miałem żadnego prawa do zemsty.

– Wciąż nic nie rozumiesz – zagrział Sheffield. – Oni, wypychając cię w kosmos, nie znajdowali się wcale w pobliżu „Nomada”. Byli wtedy w odległości 600 000 mil od „Nomada”.

– Sześćset ty...?

– „Nomad” dryfował zbyt daleko od szlaków komunikacyjnych. Chcieli wyrzucić cię tam, gdzie będą kursowały statki. Wywieźli cię 600 000 mil od „Nomada” i dopiero tam porzucili w próżni. Wypchnęli cię przez śluzę powietrzną i wycofali się obserwując jak dryfujesz. Światelka pozycyjne twojego skafandra mrugały, a ty skamlałeś o pomoc na mikrofalach. Nagle zniknąłeś.

– Zniknąłem?

– Nie było cię. Ani światełek, ani transmisji. Wrócili, aby sprawdzić co się stało. Nie pozostał po tobie żaden ślad. A potem dowiedzieliśmy się... że wróciłeś z powrotem na „Nomada”.

– Przecież to niemożliwe.

– Człowieku, ty jauntowałeś przez kosmos – krzyknął dziko Sheffield. – Byłeś cały połatany i majaczyłeś, ale kosmo-jauntowałeś. Jauntowałeś się przez próżnię, na odległość 600 000 mil, z powrotem na wrak „Nomada”. Dokonałeś czegoś, czego nikomu przed tobą nie udało się dokonać. Bóg jeden wie jak to zrobiłeś. Sam nawet tego nie wiesz, ale my to wyjaśnimy. Zabieram cię ze sobą na Satelity, a tam wydobędziemy od ciebie te tajemnicę, nawet gdybyśmy mieli ci ją wydrzeć.

Chwycił Foyla swą silną dłonią za gardło, w drugiej ważył pistolet.

– Ale najpierw muszę mieć PirE i ty mi je oddasz, Foyle. Niech ci się nie zdaje, że tego nie zrobisz. – Rąbnął Foyla rękojeścią pistoletu w czoło. – Zrobię wszystko, żeby to zdobyć. Niech ci się nie zdaje, że tego nie zrobię. – Uderzył Foyla jeszcze raz; zimno, skutecznie. – Jeżeli szukałeś pokuty, człowieku, to właśnie ją znalazłeś.

* * *

Bunny zeskoczył z publicznej jauntrampy przy Five-Points i jak wystraszony królik wpadł głównym wejściem do nowojorskiego biura Centrali Wywiadowczej. Przemknął jak pocisk przez zewnętrzny kordon straży, przez labirynt zabezpieczający i wtargnął do biur wewnętrznych. Ściągając na siebie pogoń zdenerwowanych strażników znalazł się wkrótce oko w oko z co sprawniejszymi wartownikami, którzy zachowując zimną krew jauntowali się przed niego i czekali. Bunny zaczął krzyczeć:

– Yeovil! Yeovil! Yeovil!

Ciągle w oszalałym pędzie kluczył między biurkami przewracając kopniakami krzesła i powodując nieopisany harmider. Ani na chwile nie przestawał wrzeszczeć:

– Yeovil! Yeovil! Yeovil!

Mieli mu właśnie skrócić cierpienie, gdy pojawił się Yáng-Yeovil.

– Co tu się dzieje? – warknął. – Wydałem przecież polecenie, żeby zapewnić Miss Wednesbury absolutną ciszę.

– Yeovil! – wrzasnął Bunny.

– Kto to jest?

– Asystent Sheffielda.

– Co... Bunny?

– Foyle! – zawył Bunny. – Gully Foyle.

Yáng-Yeovil pokonał dzielące ich pięćdziesiąt stóp dokładnie w sekundę i sześćdziesiąt sześć setnych.

– Co z Foylem?

– Sheffield go złapał – wysapał zdyszany Bunny.

– Sheffield? Kiedy?

– Pół godziny temu.

– Dlaczego nie dostarczył go tutaj?

– On go porwał. Wydaje mi się, że Sheffield jest agentem Satelitów Zewnętrznych...

– Dlaczego nie przyszedłeś do mnie od razu?

– Sheffield jauntował się z Foylem. Znokautował go i zniknął. Szukałem ich. Wszędzie. Zaryzykowałem. Zrobiłem chyba z pięćdziesiąt jauntowań w dwadzieścia minut...

– Amator! – wykrzyknął z irytacją Yáng-Yeovil. – Dlaczego nie zostawiłeś tego profesjonalistom?

– Znalazłem ich.

– Znalazłeś ich? Gdzie?

– U św. Patryka. Sheffield szuka tam...

Ale Yáng–Yeovil odwrócił się już na pięcie i gnał korytarzem wrzeszcząc:

– Robin! Robin! Stój! Przestań!

I nagle ich uszy poraził ryk pioruna.

ROZDZIAŁ 15

Wola i Idea rozprzestrzeniały się tak, jak kręgi rozchodzące się po gładkiej tafli jeziora, wyszukując, naciskając i zwalniając subatomowy wyzwalacz PirE. Myśl natrafiała na okruchy, pył, dym, parę, cząsteczki i molekuly. Wola i Idea transformowały je wszystkie.

Na Sycylii, gdzie docent Franco Torre przez cały, wyczerpujący miesiąc pracował nad rozwiązaniem tajemnicy jednej bryłki PirE, odpadki i strącenia wyrzucone zostały do rury kanalizacyjnej, która odprowadzała ścieki do morza. Śródziemnomorskie prądy przez wiele miesięcy rozwlekały te resztki po morskim dnie. Wybuch, który w jednej chwili spiętrzył powierzchnią morza na wysokość pięćdziesięciu stóp, zarejestrowany został przez przyrządy sejsmograficzne od Sardynii w kierunku północno-wschodnim po Trypolis na południowym zachodzie. Powierzchnia Morza Śródziemnego uniosła się w jednej mikrosekundzie, przybierając kształt poskręcane go odlewu gigantycznej dżdżownicy, która owinęła się wokół wysp Pantelleria, Lampeduza, Linoza i Malta.

Nieco pozostałości spalono; uleciały kominem wraz z dymem i parą, aby dryfować setki mil, zanim osiadły na powierzchni ziemi. Drobinki te ujawniły się tam, gdzie ostatecznie opadły, czyli w Maroku, w Algierii, w Libii i w Grecji, oślepiającymi, maleńkimi eksplozjami o niewiarygodnej wprost mikroskopijności i natężeniu. Niektóre natomiast pyłki, wciąż jeszcze unoszące się w stratosferze, zdradziły swoją obecność jaskrawymi rozbłyskami, przypominającymi wybuchy umierających gwiazd.

W Teksasie, gdzie profesor John Mantley prowadził te same, kłopotliwe eksperymenty z PirE, większość resztek dostała się do wyeksploatowanego szybu naftowego, wykorzystywanego również jako składowisko odpadków radioaktywnych. Część substancji przeniknęła do wód podskórnych i rozprzestrzeniła się powoli na obszarze kilkudziesięciu mil kwadratowych. Dziesięć mil kwadratowych teksańskich prerii zadrżało, zafalowało i sprządkowało się na podobieństwo welwetu. Gaz z ogromnych nie odkrytych jeszcze złóż znalazł wreszcie ujście i trysnął spod ziemi, a iskry, powstałe przy zderzeniu się fruwających we wszystkich kierunkach kamieni, spowodowały jego zapłon. Rycząca pochodnia osiągnęła dwieście stóp wysokości.

Miligram PirE osadzony na krążku bibuły filtracyjnej, dawno już wyrzuconej i zapomnianej, dostał się w tryby maszyny do przemiału makulatury, aby w końcu, wprasowany w formę drukarską, zniszczyć cały wieczorny nakład „Glasgow Observera”. Odprysk PirE, przyczepiony do fartucha laboratoryjnego, dawno już przerobionego na papier szmaciany, zniszczył bilecik o treści „Dziękuję”, skreślony ręką Lady Shrapnel, a przy okazji tonę ważnej korespondencji, przewożonej właśnie wagonem pocztowym.

Mankiet koszuli, zanurzony nieopatrznie w kwaśnym roztworze PirE, dawno wyrzucony razem z koszulą i noszony obecnie pod futrem z norek przez Szaber–jauntowca, wybuchając oderwał mu dłoń wraz z nadgarstkiem w jednej, ognistej amputacji. Decymiligram PirE, wciąż przyczepiony do kryształowej tacki wchodzącej kiedyś w skład parownicy w laboratorium chemicznym, a służącej obecnie za popielniczkę wzniecił pożar, który strawił biuro niejakiego Bakera, kolekcjonera wybryków natury i producenta potworów.

Wzdłuż i wszerz całej planety następowały eksplozje izolowane, łańcuchy eksplozji, fajerwerki pożarów, maleńkie rozbłyski ognia i meteorytowe błyski na niebie.

Ziemię, od eksplozji następujących w jej wnętrzu, poryły wielkie kratery i wąskie szczeliny.

U św. Patryka, w laboratorium Fourmyle’a, spoczywała nie izolowana jedna dziesiąta grama PirE. Reszta znajdowała się w specjalnym sejfie z Obojętnego Izomeru Ołowiu, który zabezpieczał ją przed przypadkowym oraz umyślnym zapłonem psychokinetycznym. Oślepiający błysk energii uwolnionej przez tę jedną dziesiątą grama rozsadził mury katedry i rozłupał posadzki, jak gdyby budowla targnęła jakieś wewnętrzne trzęsienie ziemi. Strzeliste kolumny podtrzymywały przez ułamek sekundy strop, po czym rozsypały się. Grzmiącą lawiną runęły wieże, iglice, filary, przypory i dach, aby w równowadze chwiejnej zawisnąć pogmatwanym rumowiskiem nad krawędzią ziejącego w posadzce krateru. Jedno tchnienie wiatru, jeden najdrobniejszy wstrząs i wszystko to runęłoby w czeluść wyrwy, zasypując ją aż po brzegi sproszkowanym gruzem.

Ciepło wytworzone podczas eksplozji porównywalne z temperaturą panującą we wnętrzu gwiazdy, wznieciło setki pożarów i stopiło zaśnieżone ze starości, miedziane blachy, którymi pokryty był zapadnięty dach. Jeśli zdetonowanego PirE byłoby o miligram więcej, ciepło wytworzone podczas wybuchu spowodowałoby natychmiastowe wyparowanie metalu. Ale zamiast tego, rozżarzony do białości, zaczął on płynąć. Spływał strumyczkami ze szczątków zdruzgotanego dachu szukając sobie drogi w dół poprzez galimatias kamieni, żelaza, drewna i szkła niczym jakaś potworna, płynna pleśń pełzająca przez splecione sito.

Dagenham i Yáng–Yeovil przybyli na miejsce katastrofy niemal równocześnie. W chwilę później pojawiła się tam Robin Wednesbury, a za nią Jisbella McQueen. Wraz z Jaunt–

Gwardią Presteigna i policją przyjauntowało przed katedrę z tuzin funkcjonariuszy Wywiadu oraz sześciu kurierów Dagenhama. Utworzyli zaraz kordon wokół płonącej budowli, ale gapiów było bardzo niewiele. Po szoku jakim był sylwestrowy nalot, ta pojedyncza eksplozja wywołała taką panikę, że w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia jauntowało się na ośle pól Nowego Jorku.

Ryk ognia był przerażający, a grozę sytuacji potęgowało masywne rumowisko ton gruzu, grożące w każdej chwili zawaleniem. Trzeba było krzyżeć, aby być słyszalnym, to z kolei stwarzało niebezpieczeństwo wywołania wibracji, które mogłyby się okazać fatalnymi w skutkach. Yáng–Yeovil wyrzeszczał Dagenhamowi do ucha najnowsze wieści o Foylu i Sheffieldzie. Dagenham skinął głową, a na ustach wykwitł mu jego uśmiech denata.

– Musimy tam wejść – krzyknął.

– Skafandry ognioodporne – odkrzyknął mu Yáng–Yeovil.

Znikł na moment i pojawił się ponownie z dwoma białymi skafandrami ognioodpornymi, jakie nosiły Oddziały Ratownicze. Na ten widok Robin z Jisbellą zaczęły wykrzykiwać histeryczne sprzeciwy. Dwaj mężczyźni, nie zwracając najmniejszej uwagi na protesty kobiet, wśliznęli się w ochronne pancerze i stąpając ostrożnie, weszli w szalejące piekło.

Wnętrze św. Patryka wyglądało tak, jakby jakaś monstrualnych wielkości łapa wymiesiła tu wieloskładnikowy dżem z drewna, kamienia i metalu. Poprzez każdą szparę pełzały języki płynnej miedzi, spływając z wolna w dół, podpalając po drodze drewno, krusząc cegły i miażdżąc szkło. Miedź pełzająca zwartym strumieniem ledwie się jarzyła, jednak skapując z wysokości, rozbryzgiwała się na wszystkie strony oślepiającymi kroplami rozgrzanego do białości metalu.

Poniżej dżemu, tam gdzie jeszcze niedawno znajdowała się podłoga katedry, ział czarny krater. Eksplozja rozerwała kamienne płyty posadzki, odsłaniając znajdujące się głęboko pod nią podziemia, lochy i krypty. Te również zasypane były rumowiskiem cegieł, kamieni, belek, rur, drutu i strzępów namiotów Cyrku Four Mile. Po tym wszystkim pełgały chwiejne ogniki. I w tym właśnie momencie, do krateru skapywać zaczęły pierwsze krople miedzi, oświetlając jaskrawymi, płynnymi rozbryzgami jego mroczną czeluść.

Dagenham trącił Yáng–Yeovila w ramie, pragnąc zwrócić jego uwagę na coś, co wskazywał palcem. W połowie drogi do dna krateru, na samym środku rumowiska, spoczywało ciało Regisa Sheffielda, obdarte ze skóry i poćwiartowane przez eksplozję. Z kolei Yáng–Yeovil trącił w ramie Dagenhama i wskazał coś palcem. Na samym niemal dnie krateru leżał Gully Foyle i gdy oświetlił go następny rozprysk płynnej miedzi, dostrzegli, że się porusza. Obaj mężczyźni zawrócili natychmiast i wyczołgali się z katedry celem odbycia krótkiej narady.

– Żyje.

– Jak to możliwe?

– Można się tylko domyślać. Widziałeś te strzepy namiotu, walające się przy nim? Wybuch musiał nastąpić w drugim końcu katedry i namioty, za którymi stał Foyle, zamortyzowały falę uderzeniową. Potem spadł na dół przez krater, jaki otworzył się w posadzce, zanim coś zdążyło go uderzyć.

– Kupuje to. Musimy go stamtąd wydostać. Jest jedynym człowiekiem, który wie, gdzie znajduje się PirE.

– Czy ono może ciągle być gdzieś tutaj... nie zdetonowane?

– Jeżeli leży w sejfie, to tak. Ten materiał jest odporny na wszystko. Nie zwracaj sobie teraz tym głowy. Pomyśl lepiej jak go wyciągnąć.

– Nie możemy się spuścić na dół.

– Dlaczego?

– Czy to nie oczywiste? Jeden fałszywy krok i cała ta masa runie.

– Widziałeś te miedz spływającą na dół?

– Tak, na Boga!

– Jeśli nie wyciągniemy go w przeciągu dziesięciu minut, znajdzie się na samym dnie kałuży płynnej miedzi.

– Co robić?

– Mam pewien pomysł.

– Jaki?

– Po drugiej stronie ulicy stoją budynki dawnego RCA. Ich piwnice znajdują się na tym samym poziomie, co podziemia świętego Patryka.

– No i...?

– Zejdziemy do nich i spróbujemy przebić tunel. Może tą drogą uda nam się wyciągnąć Foyle'a.

Brygada ratowników włamała się do starodawnych budynków RCA, opuszczonych i zapieczętowanych dwie generacje temu. Dostali się do arkadowych piwnic, rozwalając po drodze muzealne magazyny detali z zamierzchłych czasów, znaleźli szyby starożytnych wind i spuścili się nimi na drugi poziom podziemi, wypełniony instalacjami elektrycznymi, ciepłowniczymi oraz systemami chłodniczymi. Stamtąd zeszli jeszcze niżej, do kanałów, zanurzając się po pas w wodzie pochodzącej ze strumieni prehistorycznej wyspy Manhattan, strumieni, które wciąż płynęły pod pokrywającymi je ulicami.

Brnąc tak po pas w wodzie kanałem prowadzącym w kierunku północno-wschodnim i z każdym krokiem zbliżając się do położonych po przeciwnej stronie ulicy krypt katedry św.

Patryka stwierdzili nagle, że przed nimi smolistą czernią, w której do tej pory się poruszali, rozprasza migotliwy poblask ognia. Dagenham krzyknął i rzucił się do przodu. Eksplozja, która odsłoniła drugi poziom podziemi katedry św. Patryka, rozerwała również ścianę oddzielającą znajdujące się tam krypty od piwnic budynku RCA. Wychylając się poprzez postrzępioną dziurę w kamieniu i ziemi mogli zajrzeć na dno piekła.

Pięćdziesiąt stóp od wyrwy dostrzegli Foyla uwikłanego w labirynt poskręcanych belek, kamieni, rur, blach i drutu. Oświetlały go ryczące na górze płomienie i pełgające wokół niego, chwiejne ogniki. Paliło się na nim ubranie a na twarzy pulsował szkarłatny tatuaż. Poruszał się niemrawo, jak zdeorientowane zwierze schwyte w potrzask.

– Mój Boże! – wykrzyknął Yáng–Yeovil. – Płonący Człowiek!

– Co?

– Płonący Człowiek, którego widziałem na Schodach Hiszpańskich. Mniejsza z tym. Co robimy?

– Wchodzimy, ma się rozumieć.

Nagle, niemal ocierając się o Foyla, przetoczyła się w dół jasna, rozżarzona do białości kula miedzi i osiągając położone dziesięć stóp niżej dno krateru rozprysnęła się na sto skwierczących kropli. Za nią spłynęła druga, trzecia i po chwili płynął tamtędy nieprzerwany strumień roztopionego metalu. Zaczęła tworzyć się kałuża. Dagenham i Yáng–Yeovil nasunęli na twarze szyby ochronne swych hełmów i wpełzli przez dziurę w murze do środka. Po trzech minutach daremnych wysiłków zdali sobie sprawę, że nie przedrą się do Foyla przez tę płataninę. Była nie do przebycia od zewnątrz, ale można się było przedostać przez nią od środka. Dagenham i Yáng–Yeovil wycofali się na naradę.

– My go nie wydostaniemy – krzyknął Dagenham – ale może wyjść stamtąd sam.

– Jak? Przecież nie może jauntować, bo inaczej dawno by go już tam nie było.

– Nie. Może się wspiąć na górę. Popatrz. Idzie w lewo, potem pod górę, odwraca się, obchodzi tamtą belkę, prześlizguje się pod nią i przeciska przez ten kłęb drutu. Tych drutów nie da się przebyć od naszej strony i dlatego nie możemy do niego dotrzeć, ale można się precyzyjnie przecisnąć między nimi od środka, a więc musi się stamtąd wydostać o własnych siłach. To jest droga jednokierunkowa.

Kałuża płynnej miedzi dopelzała już do stóp Foyla.

– Jeśli zaraz stamtąd nie wyjdzie, upiecze się żywcem.

– Będziemy musieli mu mówić jak ma iść... co ma robić. Obaj mężczyźni zaczęli krzyczeć:

– Foyle! Foyle! Foyle!

Płonący Człowiek poruszał się wciąż niemrawo w swym potrzasku. Ulewa skwierczącej

miedzi przybrała na sile.

– Foyle! Obróć się w lewo. Słyszysz, Foyle! Obróć się w lewo i wspinaj się pod górę. Wydostaniesz się stamtąd, jeśli będziesz robił co mówię. Obróć się w lewo i wspinaj się pod górę. Potem... Foyle!

– Nie słyszy. Foyle! Gully Foyle! Słyszysz nas?

– Poślij po Jiz. Może jej usłucha.

– Nie, lepiej po Robin. Jest telenadawczynią. Będzie musiał jej słuchać.

– Ale czy ona to zrobi? Czy będzie chciała ocalić akurat jego?

– Będzie musiała. To coś ważniejszego niż nienawiść. W tej chwili nie ma ważniejszej sprawy na tym cholernym świecie. Sprowadzę ją. – Yáng–Yeovil zaczął się wyczołgiwać.

Dagenham powstrzymał go.

– Czekaj, Yeo. Popatrz no na niego. On migocze.

– Migocze?

– Popatrz tylko... Mruga jak robaczek świętojański. Patrz! Raz go widać, a raz nie widać.

Postać Foyla to pojawiała się, to znikła i tak na przemian z bardzo dużą częstotliwością. Przywodziło to na myśl świetlika schwytanego w płonącą pułapkę.

– Co on wyprawia? Co on próbuje zrobić? Co się dzieje?

* * *

Próbował uciec. Szaleńczo miotał się na wszystkie strony niczym usidlony świetlik albo ćma, która wpadła do klosza płonącej lampy naftowej... niczym osmalone ogniem stworzenie tłukące się na oślep po nieznanym.

Dźwięk docierał doń jako obraz, jako dziwne, świetlne wzory. Widział dźwięk wykrzykiwanego w oślepiającym rytmie własnego nazwiska:

FOYLE FOYLE FOYLE

FOYLE FOYLE FOYLE

FOYLE FOYLE FOYLE

FOYLE FOYLE FOYLE

FOYLE FOYLE FOYLE

Ruch odczuwał jako dźwięk. Słyszał trzepotanie płomieni, słyszał kłęby dymu, słyszał migotliwe, drwiące cienie, wszystko przemawiało ogłuszająco dziwnymi językami:

– BURUU GYARRR? – pytała para.

– Asza. Asza, rit–kit–dit–zit m’gid–od – odpowiadały szybkie cienie.

– Ochhh. Achhh. Hiii. Tiii – wrzeszczały fale ciepła.

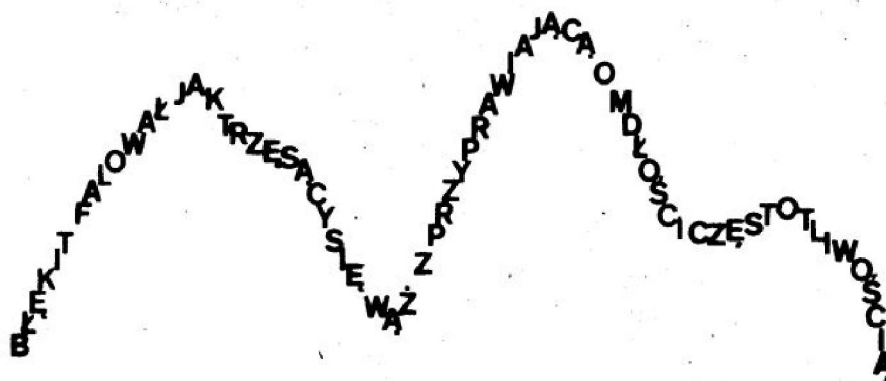
Nawet płomienie pełzające po jego własnym ubraniu ryczały mu żargonem w uszy:

– MANTERGEISTMANN! – wyły.

Barwa była dlań bólem... ciepłem, zimnem, ciśnieniem, wrażeniami wysokości nie do zniesienia i głębin bez dna, straszliwych przyspieszeń i miażdżących przeciążeń:

CZERWIEN’ UMKNĘŁA ODEŃ

ZAATAKOWAŁO ŚWIATŁO ZIELONE



Dotyk był dlań smakiem – czuł w ustach kwaskowaty smak drewna i słony metalu, kamień dotknięty palcami smakował kwaśno–słodko, a kontakt ze szkłem zepsuł mu apetyt mdlącą słodyczą.

Węch był dlań dotykem – gorący kamień pachniał jak pieszczący policzek aksamit. Dym i popiół były szorstkim, obcierającym skórę tweedem, przypominającym w dotyku namoknięty brezent. Płynny metal pachniał jak stukot jego walącego w piersiach serca, a jonizacja wywołana wybuchem PirE wypełniała powietrze ozonem, który pachniał jak przeciekająca przez palce woda.

Nie był ślepy, ani głuchy, ani pozbawiony czucia. Spłynęło nań dziwne doznanie, ledwie przefiltrowane przez system nerwowy, pogmatwany i pozwierany na skutek szoku wywołanego wybuchem PirE. Cierpiał na synestezję – ten zadziwiający stan, w którym zmysły odbierają bodźce ze świata obiektywnego i przekazują je do mózgu, ale tam, w mózgu, wrażenia zmysłowe zostają przemieszane. I tak dźwięk rejestrowany był przez

mózg Foyla jako obraz, ruch jako dźwięk, barwa sprawiała ból, dotyk stawał się smakiem, a zapach dotykiem. Był uwięziony nie tylko w labiryncie piekła szalejącego pod ruinami katedry św. Patryka; był również więźniem kalejdoskopu własnych, przemieszanych zmysłów.

I znowu, zdesperowany, na upiornej krawędzi zagłady, zrzucił wszystkie więzi i nawyki życiowego doświadczenia, czy też może został z nich wyzwolony. Powrócił od uwarunkowanego iloczynu środowiska i doświadczenia do kierującej się instynktem istoty pragnącej uciec i przetrwać i wkładającej w to wszystkie swoje siły. I znowu, jak przed dwoma laty, zdarzył się cud. Nieodłączna energia całego ludzkiego organizmu, energia zawarta w każdej komórce, każdym włóknie, każdym nerwie i mięśniu umożliwiła mu zrealizowanie tego pragnienia i Foyle znowu kosmo–jauntował.

Gnał wzdłuż linii hiperdezyjnych, zakrzywiającego się wszechświata z prędkością myśli, daleko przewyższającą szybkość światła. Jego prędkość względem słońca była tak przerażająco wielka, że przypisana mu oś czasu odgięła się od prostej przeciągniętej pionowo od Przeszłości poprzez Teraźniejszość ku Przyszłości. Gnał migocząc wzdłuż nowej, niemal poziomej teraz osi, wzdłuż tej nowej, czasoprzestrzennej linii hiperdezyjnej, kierowany geniuszem ludzkiego umysłu nie blokowanym już pojęciem niemożliwości.

Dokonał znowu tego, czego nie udało się dokonać Helmutowi Grantowi, Enzo Dandridge'owi i dziesiątkom innych eksperymentatorów, bowiem ślepa panika, jaka nim owładnęła, kazała mu zapomnieć o czasoprzestrzennych zakazach, które udaremniły wcześniejsze próby. Nie jauntował się do Gdziekolwiek, ale do Kiedykolwiek. Co jednak najważniejsze, świadomość czwartego wymiaru, kompletnego obrazu Wektora Czasu i swojego na nim położenia, która, choć skryta gdzieś głęboko przez rutynę życia, drzemie w każdym człowieku – była u Foyla tuż pod powierzchnią. Jauntował wzdłuż hiperdezyjnych linii czasoprzestrzeni do Gdziekolwiek i Kiedykolwiek przenosząc dzięki wspaniałemu aktowi wyobraźni „j” – pierwiastek kwadratowy z minus jedności – ze zbioru liczb urojonych do zbioru liczb rzeczywistych.

Jauntował.

Jauntował się wstecz wzdłuż osi czasu do przeszłości. Stał się Płonącym Człowiekiem, który wzbudzał w nim takie przerażenie i zdumienie na plaży w Australii, w gabinecie szarlatana z Szanghaju, na Schodach Hiszpańskich w Rzymie, na Księżycu i w Kolonii Skopców na Marsie. Jauntował się wstecz poprzez czas, odwiedzając ponownie pola okrutnych bitew, które stoczył w swym tygrysim polowaniu Gully Foyle – mściciel. Jego ogniste pojawienia były czasami zauważane, czasami nie.

Jauntował się.

Był na pokładzie „Nomada” dryfującego w mroźnej pustce kosmosu. Stał w drzwiach donikąd.

Chłód miał smak cytryny, a próżnia drapała mu skórę pazurami. Słońce i gwiazdy były febrą trzęsącą jego kośćmi.

– GLOMMHA FREDNIS! – ryczał mu w uszy ruch.

Korytarzem oddalała się jakaś postać odwrócona do niego plecami; postać z miedzianym kotłem wypełnionym racjami żywnościowymi na ramieniu; postać rzucająca się przed siebie, płynąca w próżni, posuwająca się gwałtownymi skrętami ciała poprzez nieważkość. To był Gully Foyle.

– MEEHAT JESSROT – wyło mu w uszach na widok tego ruchu.

– Aha! Oho–ho! M’git not to kak – odpowiadało migotanie świateł i cieni.

– Oooooooch? Soooooo? – pomrukiwała rozbudzona ze snu szumowina gratów.

Smak cytryny w ustach stał się nie do zniesienia. Drapanie pazurów po skórze było torturą.

Jauntował się.

W niecałą sekundę po zniknięciu, pojawił się znowu w piecu pod gruzami św. Patryka. Jak ćmę ciągnęło go do płomieni, od których usiłował uciec. Tylko przez chwile wytrzymał ryczącą mękę.

Jauntował się.

Był w otchłani Gouffre Martel.

Aksamitna ciemność była dlań rozkoszą, rajem, błogosławieństwem.

– Ach! – krzyknął z ulgą.

– Ach! – wróciło echo jego głosu a dźwięk ten przeistoczył się w oślepiającą mozaikę, światła:

AHA HA HA HA HA HA HA HA HA

AHA HA HA HA HA HA HA HA HA

AHA HA HA HA HA HA HA HA HA

AHA HA HA HA HA HA HA HA HA

AHA HA HA HA HA HA HA HA HA

AHA HA HA HA HA HA HA HA HA

AHA HA HA HA HA HA HA HA HA

Płonący Człowiek skrzywił się z bólu.

– Dość! – zawołał oślepiiony hałasem i znowu nadleciała olśniewająca mozaika światła:

DoŚćDoŚćDoŚć
ŚćDoŚćDoŚćDoŚćDo
DoŚćDoŚćDoŚćDoŚćDoŚć
ŚćDoŚćOoŚćDoŚćDoŚćDoŚćOo
DoŚćDoŚćDoŚćDoŚćDoŚć
ŚćDoŚćDoŚćDoŚćDo
DoŚćDoŚćDoŚć

W łagodnych wzorach zórz polarnych doszedł jego oczu odległy tupot nóg:

t t t t t t t t
u u u u u u u u
p p p p p p p p
o o o o o o o o
t t t t t t t t

ROZLEGŁ SIĘ KRZYK JAK
GYZ GZAK BŁYSK
WA
YCJA

ZAATAKOWAŁ GO SNOP ŚWIATŁA

To była grupa pościgowa ze szpitala Gouffre Martel, tropiąca Foyla i Jisbellę McQueen geofonem. Płonący Człowiek znikł, ale przedtem, nieświadomie, odciągnął ścigających z tropu zbiegów.

Był z powrotem pod gruzami św. Patryka, pojawiając się tam w chwilę po swym ostatnim zniknięciu. W swych dzikich wypadach w nieznane błąkał się po przypadkowych liniach hiperdezyjnych czasoprzestrzeni, które nieuchronnie sprowadzały go z powrotem do Teraźniejszości, od której pragnął uciec, bowiem na odwróconej krzywej siodłowej czasoprzestrzeni, jego Teraźniejszość była punktem położonym najniżej.

Mógł, wzdłuż linii hiperdezyjnych, poruszać się w górę w przyszłość i przeszłość, ale zawsze potem musiał spaść znowu do swej własnej Teraźniejszości, jak popchnięta po pochylej ściance z dna dołka o nieskończonej głębokości piłka, która toczy się coraz to wolniej i wolniej, aby w końcu zatrzymać się na moment w bezruchu i stoczyć z powrotem w otchłań.

Ale zrozpaczony, wciąż miotał się w nieznane.

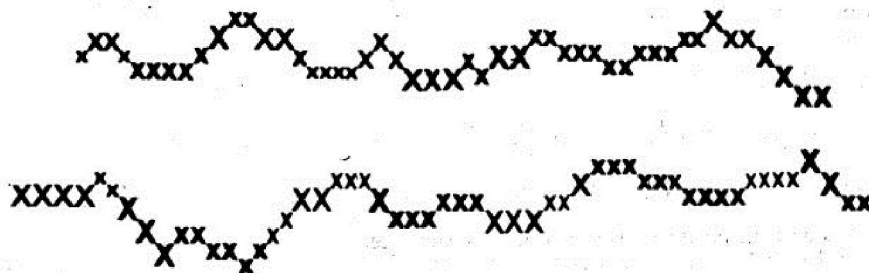
Znowu się jauntował.

Był na australijskim wybrzeżu, na plaży Jervis Beach.

Ruch bijących o brzeg fal wyrzaskiwał:

– LOGGERMIST CROTEHAVEN!

Szum przyboju oślepił go światłami baterii reflektorów.



Przed nim stali Gully Foyle i Robin Wednesbury. Na piasku, który w ustach Płonącego

Człowieka wywoływał smak octu, leżało ciało mężczyzny. Wiatr smagający mu twarz smakował jak szary papier.

Foyle otworzył usta i krzyknął. Dźwięk ten rozbłysnął w płonących, jasnych jak gwiazdy bąblach.

Foyle postąpił krok.

– GRASZ? – wrzasnął ruch.

Płonący Człowiek jauntował się

Był w biurze Sergeia Orela w Szanghaju.

Przed nim znowu stał Foyle mówiący świetlnymi wzorami:

K J T K J T K J T
I E E Ś I E E Ś I E E Ś
M S Ś M S Ś M S Ś

Mignął ponownie do katedry św. Patryka i znowu się jauntował.

BYŁ NA ROZWRZESZCZANYCH SCHODACH HISZPAŃSKICH. BYŁ NA ROZWRZESZCZANYCH SCHODACH HISZPAŃSKICH. BYŁ NA ROZWRZESZCZANYCH SCHODACH HISZPAŃSKICH. BYŁ NA ROZWRZESZCZANYCH SCHODACH HISZPAŃSKICH. BYŁ NA ROZWRZESZCZANYCH SCHODACH HISZPAŃSKICH. BYŁ NA ROZWRZESZCZANYCH SCHODACH HISZPAŃSKICH. BYŁ NA ROZWRZESZCZANYCH SCHODACH HISZPAŃSKICH.

Płonący Człowiek jauntował się

Znowu było zimno smakiem cytryny i próżnią drapiącą mu skórę ohydnyimi pazurami. Zaglądał przez iluminator srebrzystego jachtu. W tle wznosiły się postrzępione, księżycowe góry. Wewnątrz widział hałaśliwy szczek pompy krwi i pompy tlenu i słyszał ryk ruchu, który Gully Foyle wykonał w jego kierunku. Szponiasta próżnia ścisnęła go za gardło rozdzierającym chwytem.

Hiperdezyjne linie czasoprzestrzeni zepchnęły go z powrotem do Teraźniejszości, pod ruiny św. Patryka, gdzie od momentu, kiedy podjął swą szaleńczą walkę nie upłynęły jeszcze dwie sekundy. I znów rzucił się płonąca włócznią w nieznane.

Był w katakumbach Skopców na Marsie. Przed nim wił się biały ślimak, będący Lindseyem Joyce'em.

– NIE! NIE! NIE! – krzychały jego ruchy. – NIE RAŃ MNIE. NIE ZABIJAJ MNIE. PROSZĘ CIĘ, NIE... NIE... NIE.

Płonący Człowiek otworzył swe tygrysie usta i roześmiał się

– Ona cierpi – powiedział. Dźwięk własnego głosu poraził mu oczy.

O O O
N N N
A A A
C C C
I I I
E E E
R R R
PPP
ONACIERPIPREICANO
PPP
R R R
E E E
I I I
C C C
A A A
N N N
O O O

– Kim jesteś? – szepnął Foyle.

K K K K K K K K K K K K K K K K
I I I I I I I I I I I I I I I I
M M M M M M M M M M M M M M M M

J J J J J J J J J J J J J J J J
E E E E E E E E E E E E E E E E
S S S S S S S S S S S S S S S S

T T T T T T T T T T T T T T T T
E E E E E E E E E E E E E E E E
S S S S S S S S S S S S S S S S

Płonący Człowiek skrzywił się z bólu.

– Za jasno – powiedział. – Mniej światła.

Foyle postąpił krok naprzód.

– BLAA–GAA–DAA–MAŁŁ! – zawył ruch.

Płonący Człowiek zatkał sobie uszy dłońmi w śmiertelnej udręce.

– Za głośno! – krzyknął. – Nie ruszaj się tak głośno.

Ruch wijącego się Skopca wrzeszczał wciąż błagalnie:

– NIE RAŃ MNIE. NIE RAŃ MNIE.

Płonący Człowiek roześmiał się znowu. Była niema dla normalnych ludzi, lecz dla jego przemieszanych zmysłów treść jej błagań była jasna.

– Słuchaj jej; ona krzyczy. Błaga. Nie chce umierać. Nie chce cierpieć. Słuchaj jej.

– TO OLIVIA PRESTEIGN WYDAŁA TEN ROZKAZ. OLIVIA PRESTEIGN, NIE JA. NIE RAŃ MNIE. TO OLIVIA PRESTEIGN.

– Ona mówi kto wydał ten rozkaz. Czy nie słyszysz? Słuchaj oczyma. Ona mówi że to Olivia.

Połykliwa szachownica pytania Foyla przekraczała już jego wytrzymałość. Płonący Człowiek ponownie zinterpretował drgawki Skopca.

– Ona mówi, że to Olivia Presteign. Olivia Presteign. Olivia Presteign.

Jauntował się.

Spadł z powrotem pod ruiny św. Patryka i nagle zamęt w głowie i bezgraniczna rozpacz powiedziały mu, że nie żyje. To był koniec Gully Foyla. To była wieczność, a piekło było realne. To co widział, było przeszłością przesuwaną się przed jego rozsypującymi się zmysłami w ostatnim momencie życia. To co znosił, musiał znosić po wsze czasy. Nie żył. Wiedział, że nie żył.

Nie chciał poddać się wieczności.

Znowu rzucił się na oślep w nieznane.

Płonący Człowiek jauntował się.

Był w roziskrzanej mgłę, w śnieżnym obłoku gwiazd, pod prysznicem płynnych diamentów. Poczul na skórze muśnięcie skrzydłem motyla. W ustach rozchodził się smak sznura zimnych pereł. Jego przemieszane jak w kalejdoskopie zmysły nie mogły mu powiedzieć gdzie się znajduje, ale wiedział, że chce pozostać w tym Nigdzie na zawsze.

– „Cześć, Gully.”

– Kto to?

– „To ja, Robin.”

– Robin?

– „Dawniej Robin Wednesbury.”

– Dawniej?

– „Teraz Robin Yeovil.”

– Nie rozumiem. Czy ja umarłem?

– „Nie, Gully.”

– Gdzie ja jestem?

– „Daleko, daleko od św. Patyka.”

– Ale gdzie?

– „Nie mogę tracić czasu na wyjaśnienia, Gully. Pozostaniesz tu tylko kilka chwil.”

– Dlaczego?

– „Bo nie umiesz jeszcze jauntować przez czasoprzestrzeń. Musisz wrócić i nauczyć się tego.”

– Ale ja umiem. Na pewno umiem. Sheffield powiedział mi, że kosmojauntowałem na „Nomada”... 600 000 mil.

– „To był przypadek, Gully, ale dokonasz tego znowu... kiedy się nauczysz... Teraz jeszcze nie umiesz. Nie wiesz jak się zatrzymać... jak odwrócić wszelką Teraźniejszość w rzeczywistość. Za chwile stoczysz się z powrotem do św. Patyka.”

– Robin, właśnie sobie coś przypomniałem. Mam dla ciebie złe wieści.

– „Wiem, Gully.”

– Twoja matka i siostry nie żyją.

– „Wiem o tym od dawna, Gully.”

– Od jak dawna?

– „Od trzydziestu lat.”

– To niemożliwe.

– „Mylisz się, to jest możliwe. Jesteś daleko, daleko od św. Patyka. Czekałam tu na

ciebie, żeby ci powiedzieć jak uratować się z pożaru, Gully. Posłuchasz?”

– To ja nie umarłem?

– „Nie.”

– Dobrze, posłucham.

– „*Wszystkie twoje zmysły są przemieszane. To zaraz przejdzie, ale nie będę ci podawała wskazówek w rodzaju na prawo, w lewo, w górę, czy w dół. Powiem ci wszystko tak, żebyś mógł mnie zrozumieć w tej chwili, wstanie w jakim teraz się znajdujesz.*”

– Dlaczego mi pomagasz? Po tym, co ci zrobiłem?

– „*Wszystko ci wybaczyłam i zapomniałam, Gully. Słuchaj mnie teraz. Kiedy wrócisz do św. Patryka obracaj się, dopóki nie staniesz twarzą do najgłośniejszego cienia. Rozumiesz?”*

– Tak.

– „*Idź w stronę skąd będzie dochodził hałas, aż poczujesz na skórze silne ukłucie. Wtedy zatrzymaj się.*”

– Wtedy mam się zatrzymać.

– „*Zrób pół obrotu tak, żeby poczuć ucisk i odnieść wrażenie spadania. Idź w tamtą stronę.*”

– Mam tam pójść.

– „*Miniesz lite tafle światła i poczujesz smak chininy. To będzie w rzeczywistości kłęb drutu. Przeciskaj się przez chininę, dopóki nie zobaczysz czegoś co będzie brzmiało jak uderzenie młotów. Wtedy będziesz ocalony.*”

– Skąd to wszystko wiesz, Robin?

– „*Pouczył mnie ekspert, Gully.*” – Poczul śmiech. – „*Teraz w każdej chwili możesz spaść w przeszłość. Są tu że mną Peter i Saul. Mówią ci au revoir i życzą powodzenia. Jiz Dagenham również. Powodzenia, drogi Gully...*”

– Spadnę w przeszłość? A więc to jest przyszłość?

– „*Tak, Gully.*”

– Czy ja tu jestem? Czy jest tu... Olivia...?

I wtedy zaczął się staczać coraz to niżej i niżej po liniach hiperdezyjnych czasoprzestrzeni z powrotem do straszliwej jamy Teraźniejszości.

Zmysły rozplatały mu się w wyłożonej kością słońsiową i złotem Komnacie Gwiazdzistej Zamku Presteigna. Wzrok stał się znowu wzrokiem i Foyle ujrzał lustro oraz witrażowe szyby okien i bibliotekę książek o tłoczonych złotem grzbietach z androidem bibliotekarzem na bibliotecznej drabinie. Słuch stał się słuchem i Foyle usłyszał androida sekretarza stukającego na ręcznym mnemorejstratorze przy biurku w stylu Ludwika XV. Smak stał się smakiem, a on sączył koniak podany mu przez robota barmana.

Wiedział, że jest osaczony, że stoi przed swą życiową decyzją, nie zwracał jednak uwagi na otaczających go nieprzyjaciół, przyglądając się nieustającej promienności wyrzeźbionej na robocim obliczu barmana – klasycznemu, irlandzkiemu uśmiechowi.

- Dziękuję – odezwał się Foyle.
- Cała przyjemność po mojej stronie, sir – odparł robot i czekał na dalsze zamówienia.
- Ładny mamy dziś dzień – zauważył Foyle.
- Zawsze gdzieś jest ładny dzień, sir – promieniał robot.
- Okropny dzień – powiedział Foyle.
- Zawsze gdzieś jest ładny dzień, sir – odparł robot.
- Dzień – rzucił Foyle.
- Zawsze gdzieś jest ładny dzień, sir – powiedział robot.

Foyle zwrócił się do pozostałych:

– To cały ja – powiedział wskazując robota ruchem głowy. – Tacy właśnie wszyscy jesteśmy. Bajdurzymy o nieprzymuszonej woli, ale nie jesteśmy w istocie niczym innym jak mechaniczną odpowiedzią... rutynową reakcją w utartych schematach. No więc... jestem tutaj. Jestem tutaj i czekam, żeby zareagować. Naciśnijcie guzik, a podskoczę – naśladował blaszany głos robota. – Czego ode mnie chcecie?

Poruszyli się niespokojnie. Foyle palono, poniewierano, karano..., a jednak przejmował inicjatywę.

– Na początek zastanówmy się nad pogroźkami, jakie mogą za chwile tu paść – powiedział Foyle nie doczekawszy się odpowiedzi z ich strony. – Powiedzmy, że zostanę powieszony, wypatroszony, poćwiartowany, że cierpieć będę piekielne męki, jeżeli nie... no właśnie, jeżeli nie co? Czego chcecie?

- Żądam zwrotu mojej własności – powiedział Presteign uśmiechając się zimno.
- Osiemnastu z kawałkiem funtów PirE. Tak. Co w zamian oferujesz?
- Nic w zamian nie oferuję. Żądam zwrotu tego, co należy do mnie.

Yáng–Yeovil i Dagenham zaczęli coś mówić równocześnie. Foyle uciszył ich ruchem dłoni.

– Jeden guzik naraz, panowie. Teraz Presteign próbuje wprawić mnie w podskoki. – Zwrócił się do Presteigna. – Naciśnij mocniej, krew i pieniądze, albo poszukaj innego guzika. Kim obecnie jesteś, aby wysuwać jakieś żądania?

Presteign zacisnął usta.

– Prawo... – zaczął.

– Co prawo? Straszysz? – Foyle roześmiał się. – Czy nadal uważasz mnie za kogoś, kogo można zmusić do czegokolwiek straszaniem? Nie rób z siebie imbecyla. Mów do mnie

w sposób, w jaki to czyniłeś w Sylwestra, Presteignie... bez litości, bez wybaczenia, bez hipokryzji.

Presteign skłonił się, wziął głęboki oddech i przestał się uśmiechać.

– Proponuje ci władzę – rzekł. – Proponuję ci adopcję, co uczyni z ciebie mego dziedzica, współnictwo w prowadzeniu przedsiębiorstwa Presteigna oraz objęcie szefostwa klanu i septy. Działając razem, możemy zawładnąć światem.

– Czy przy pomocy PirE?

– Tak.

– Twoja propozycja zostaje odnotowana i odrzucona. Czy zaoferujesz swoją córkę?

– Olivię? – Presteign zachnął się i zacisnął pięści.

– Tak, Olivię. Gdzie ona jest?

– Ty lumpie! – krzyknął Presteign. – Ty łachudro... złodziejaszku... Jak śmiesz?

– Czy w zamian za PirE zaoferujesz swoją córkę?

– Tak – odparł ledwie dosłyszalnym głosem Presteign.

Foyle zwrócił się do Dagenhama:

– No, teraz twoja kolej, trupia główko. Naciskaj swój guzik.

– Jeśli dyskusja ma być prowadzona na takim poziomie... – warknął Dagenham.

– Będzie. Bez litości, bez wybaczenia, bez hipokryzji. Co oferujesz?

– Sławę.

– Co ty powiesz?

– Nie możemy zaoferować ci władzy, ani pieniędzy. Możemy natomiast zapewnić ci sławę. Gully Foyle – człowiek, który ocalił Planety Wewnętrzne przed anihilacją. Możemy zaoferować ci bezpieczeństwo. Usuniemy z akt całą twoją kryminalną przeszłość. Unieśmiertelnimy twoje nazwisko, zagwarantujemy miejsce w alei zasłużonych.

– Nie – ucięła krótko Jisbella McQueen. – Nie zgadzaj się na to. Jeśli chcesz być zbawicielem, zniszcz tę tajemnicę. Nie oddawaj PirE nikomu.

– Czym jest to PirE?

– Cisza! – warknął Dagenham.

– To termonuklearny materiał wybuchowy, detonowany samą myślą... poprzez psychokinezę – powiedziała Jisbella.

– Jaką myślą?

– Żądaniem zdetonowania skierowanym wprost do niego. To sprowadza go do masy krytycznej, jeśli nie jest odizolowany od otoczenia Obojętnym Izomerem Ołowiu.

– Mówiłem przecież, żebyś była cicho – burknął Dagenham.

– Jeśli wszyscy mamy mieć jakiś udział w przekonywaniu go, to ja też chce mieć swój.

– To więcej niż idealizm.

– Nic nie jest większe od idealizmu.

– Jest tajemnica Foyla – mruknął Yáng–Yeovil – Wiem jak stosunkowo mało znaczące jest teraz PirE – uśmiechnął się do Foyla. – Aplikant Sheffielda podsłuchał fragment waszej krótkiej dyskusji u św. Patryka. Wiemy już o kosmo–jauntingu.

Zaległa cisza.

– Kosmo–jaunting? – wykrzyknął wreszcie Dagenham. – To niemożliwe. Chyba jesteś w błędzie.

– Nie jestem w błędzie. Foyle dowiódł, że kosmo–jaunting jest możliwy. Jauntował się na odległość 600 000 mil z rajdera Satelitów Zewnętrznych na wrak „Nomada”. Jak już powiedziałem, jest to coś daleko większego niż PirE. Te sprawę chciałbym najpierw poruszyć.

– Każdy mówi tu czego chce – powiedziała wolno Robin Wednesbury – a czego chcesz ty, Gully Foyle?

– Dziękuję – odparł Foyle. – Chce zostać ukarany.

– Co?

– Chcę zmazać swe winy – powiedział zduszonym głosem. Na jego obandażowaną twarz zaczęło z wolna wypływać szkarłatne piętno. – Chcę zapłacić za to co zrobiłem i wyrównać wszystkie rachunki. Chce się pozbyć tego cholernego krzyża, który dźwigam... tego bólu, od którego pękają mi plecy. Chcę wrócić do Gouffre Martel. Chcę, żeby poddano mnie lobotomii, jeśli na to zasłużyłem... a wiem, że zasłużyłem. Chcę....

– Chcesz uciec – przerwał mu Dagenham. – Nie ma drogi ucieczki.

– Chcę odzyskać wolność!

– Nie ma mowy – wtrącił się Yáng–Yeovil. – W twojej głowie zamkniętych jest zbyt wiele wartościowych rzeczy, aby stracić je poprzez lobotomię.

– Jesteśmy ponad takie dziecinne sprawy, jak zbrodnia i kara – dodał Dagenham.

– Nie – zaprotestowała Robin. – Zawsze tam gdzie istnieje wina, musi też istnieć wybaczenie. Nigdy nie jesteśmy ponad to.

– Korzyść i strata, wina i wybaczenie, idealizm i realizm – uśmiechnął się Foyle. – Wszyscy jesteście tacy wspaniałomyślni, tacy prostolinijni, tacy jednomyślni. Ja jeden mam wątpliwości. Zobaczmy jak wspaniałomyślni jesteście naprawdę. Oddasz Olivię, Presteignie? Oddasz mi ją, co? Czy wydasz ją również w ręce sprawiedliwości? Jest morderczynią.

Presteign spróbował wstać i opadł z powrotem na krzesło.

– Mówisz, że zawsze musi istnieć wybaczenie, Robin? A czy wybaczysz Olivii Presteign?

Zamordowała twoją matkę i siostry.

Robin poszarżała na twarzy. Yáng–Yeovil spróbował zaprotestować.

– Satelity Zewnętrzne nie mają PirE, Yeovil. Wyjawiał mi to Sheffield. Czy i tak użyłbyś go przeciwko nim? Czy uczyniłbyś z mego nazwiska popularną klątwę – tak jak to uczyniono z nazwiskami Lyncha i Boycotta?

Foyle zwrócił się do Jisbelli.

– Czy twój idealizm każe ci wrócić do Gouffre Martel i odbyć tam resztę kary? A ty, Dagenham, puścisz ją? Pozwolisz jej odejść?

Prześląknięty goryczą, z trudem panując nad sobą, słuchał przez chwilę okrzyków oburzenia i obserwował ich zmieszanie.

– Życie jest takie proste – powiedział w końcu. – Tak łatwo podjąć decyzję, nieprawdaż? Czy mam respektować prawa własności Presteigna? Kierować się dobrem Planet? Podzielić idealizm Jisbelli? Realizm Dagenhama? Uszanować sumienie Robin? Naciśnijcie guzik i przyglądajcie się jak podskakuje robot. Ale ja nie jestem robotem. Jestem dziwolągiem Wszechświata – myślącym zwierzęciem – i staram się widzieć jasno swoją drogę przez to bagno. Czy mam zwrócić światu PirE i pozwolić na to, żeby sam siebie unicestwił? Mam nauczyć świat kosmo–jauntingu i umożliwić naszemu teatrykowi dziwolągów rozprzestrzenienie się galaktyka po galaktyce po całym Wszechświecie? Jak brzmi odpowiedź?

Robot barman cisnął szklankę, w której jeszcze przed chwilą mieszał drinki. Przeleciała przez całą salę i roztrzaskała się o ścianę. W pełnej zdumienia ciszy, która zaległa po tym incydencie, Dagenham chrząknął:

– Cholera! Moje promieniowanie znowu rozstroiło twoje kukły, Presteignie.

– Odpowiedź brzmi: tak – odezwał się zupełnie wyraźnie robot.

– Co? – zapytał zaskoczony Foyle.

– Odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak.

– Dziękuję ci – powiedział Foyle.

– Cała przyjemność po mojej stronie, sir – odparł robot. – Człowiek jest przede wszystkim członkiem społeczeństwa, a dopiero potem indywidualną jednostką. Musisz iść ze społeczeństwem, niezależnie od tego, czy wybiera ono samozagładę, czy też nie.

– Całkowicie zbzikował – odezwał się niecierpliwie Dagenham.

– Wyłącz go, Presteignie.

– Poczekaj – rozkazał Foyle. Zerknął na wieczny uśmiech wygrawerowany na stalowej twarzy robota. – Ale społeczeństwo może być takie głupie. Takie podzielone. Byłeś przecież świadkiem tej rozmowy.

– Tak, sir, ma pan racje, ale musi pan je uczyć, a nie dyktować mu swoją wolę. Musi pan uczyć społeczeństwo.

– Kosmo–jauntingu? Po co? Po co sięgać do gwiazd i galaktyk? Po co?

– Bo jest pan obdarzony życiem. Równie dobrze mógłby pan zapytać: po co jest życie? Niech pan o to nie pyta. Niech pan je przeżywa.

– Zupełnie oszalał – mruknął Dagenham.

– Ale to jest fascynujące – szepnęła Yáng–Yeovil.

– W życiu musi być coś więcej niż samo tylko jego przeżywanie – powiedział Foyle do robota.

– A więc niech pan znajdzie w sobie to coś, sir. Niech pan nie zatrzymuje świata w jego ruchu tylko dlatego, że pan ma jakieś wątpliwości w tym względzie.

– Dlaczego wszyscy nie możemy posuwać się naprzód?

– Ponieważ wszyscy jesteście inni. Nie jesteście lemingami. Niektórzy z was muszą przewodzić i mieć tylko nadzieję, że reszta pójdzie za nimi.

– A kto przewodzi?

– Ludzie, którzy muszą... ludzie, którzy czują wewnętrzną potrzebę, ludzie dążący do jakiegoś celu.

– Ludzie–dziwolągi.

– Wszyscy jesteście dziwolągami, sir. Zawsze nimi byliście. Samo życie jest dziwolągiem. To jego nadzieja i chwała.

– Bardzo ci dziękuje.

– Cała przyjemność po mojej stronie, sir.

– Uratowałeś ten dzień.

– Zawsze gdzieś jest ładny dzień, sir – powiedział robot z nieodłącznym uśmiechem, po czym zasyczał, szczechnął i zwałił się na podłogę.

Foyle zwrócił się do pozostałych:

– To pudło ma racje – powiedział – a wy się mylicie. Kim my właściwie jesteśmy, kim jest każdy z nas, żeby podejmować decyzje w imieniu świata? Niech świat sam za siebie decyduje. Kim my jesteśmy, żeby mieć przed światem tajemnice? Niech świat dowie się wszystkiego i sam zadecyduje. Chodźcie do św. Patryka.

Jauntował się, a reszta podążyła za nim. Kwadratowa budowla była wciąż otoczona kordonem i do tego czasu zebrał się już wokół niej ogromny tłum. W dymiące ruiny wjauntowywało się tak wielu zuchwalców i odważnych, że policja zainstalowała ochronne pole indukcyjne, żeby ich tam nie wpuścić, ale i to nie powstrzymało łobuzów, ciekawskich i nieodpowiedzialnych od wjauntowywania się w dymiące zgliszczą po to tylko, aby po

przypaleniu polem indukcyjnym odskakiwać ze skowitem.

Na sygnał dany przez Yáng–Yeovila pole wyłączono. Foyle przeszedł przez dymiące rumowisko do wschodniej ściany katedry, wznoszącej się na wysokość piętnastu stóp. Pomacał dymiące kamienie, coś nacisnął, coś podważył i ze zgrzytem uchyliła się kamienna płyta o wymiarach 3x5 stóp. Foyle chwycił ją oburącz i pociągnął. Płyta drgnęła, potem zardzewiałe zawiasy puściły, a sama płyta rozsypała się na kawałki.

Przed dwoma wiekami, kiedy to zniesiono zorganizowaną religie, a ortodoksyjnych wiernych zepchnięto do podziemia, jakieś pobożne owieczki zbudowały w katedrze św. Patryka te sekretną wnękę i urządziły w niej ołtarz. Złoto krucyfiksu błyszczało wciąż jasnością odwiecznej wiary, u stóp krzyża spoczywała mała, czarna kasetka z Obojętnego Izomeru Ołowiu.

– Czyżby to był znak? – szepnął zdyszany Foyle. – Czy to odpowiedź, której szukam?

Porwał ciężki sejf i zanim ktokolwiek zdołał go pochwycić, jauntował się o sto jardów na szczątki katedralnych schodów wychodzących na Piątą Aleję. Tam, na oczach gapiącego się tłumu, otworzył kasetkę. Z ust agentów Wywiadu, którzy znali prawdę o jej zawartości, wyrwał się okrzyk przerażenia.

– Foyle! – krzyknął Dagenham.

– Foyle, na miłość boską! – krzyknął Yáng–Yeovil.

Foyle wyjął z kasetki pałeczkę PirE koloru kryształków jodyny i wielkości papierosa – jeden funt izotopów transplutonowców w roztworze stałym.

– PirE! – ryknął w stronę tłumu. – Bierzcie to! Trzymajcie! To wasza przyszłość! – cisnął pałeczkę w tłum i wrzasnął przez ramię: – San Fran, rampa Rosyjskie Wzgórze.

Jauntował się trasą St. Louis – Denver do San Francisco, przybywając na rampę Rosyjskie Wzgórze, gdzie była akurat czwarta po południu i ulice roiły się od jauntowców załatwiających spóźnione sprawunki.

– PirE! – zawył Foyle. Jego diabelska twarz pałała krwawoczerwoną barwą. Stanowił przerażający widok. – PirE! To niebezpieczeństwo! To śmierć! Jest wasze. Wymuście na nich, żeby wam powiedzieli co to jest. Nome! – zawołał w stronę pościgu, który przybył za nim i jauntował się

W Nome była akurat pora obiadowa i drwalami zjauntowującymi się z okolicznych tartaków na kielbaski z różną zakrapiane piwem wstrząsnął widok mężczyzny o tygrysiej twarzy, który cisnął między nich jednofuntowy kawałek stopu koloru jodyny i zaczął krzyczeć żargonem:

– PirE! Słyszycie mnie, ludzie? Słuchajcie mnie, kurczę! PirE to dla was plugawa śmierć. Dla was wszystkich! Nie wyężajcie waszych mózgownic, kurczaki. Przyciśnijcie ich do

mur, żeby wam wyśpiewali wszystko o PirE i kropka!

Do Dagenhama, Yáng–Yeovila i innych, przyjauntowujących za nim jak zwykle o parę sekund za późno, krzyknął:

– Tokio. Rampa Cesarska! – Znikł na ułamek sekundy przed tym, zanim dosięgnęły go ich kule.

O godzinie dziewiątej rzeńskiego, czystego poranka w Tokio, kłębiący się w tej godzinie porannego szczytu wokół Rampy Cesarskiej tłum sparalizowany został pojawieniem się samuraja o twarzy tygrysa, który cisnął w sam jego środek kawałkiem niezwykłego metalu oraz zasypał obecnych lawiną niezapomnianych przestrog i upomnień.

Foyle przeniósł się następnie do Bangkoku, gdzie lał deszcz oraz do Delhi, gdzie szalał monsun... cały czas ścigany trop w trop jak wściekły pies. W Bagdadzie była akurat trzecia rano i tłum bywalców nocnych klubów i piwiarni, który jauntując bez przerwy naokoło świata wyprzedzał o wieczne trzydzieści minut godzinę zamknięcia swych przybytków, zgotował mu pijacką owację. W Paryżu, a następnie w Londynie była północ, kiedy gawiedź z Pól Elizejskich i Piccadily Circus zelektryzowana została pojawieniem się Foylea i jego zarliwym nawoływaniem.

Przeprowadziwszy swych prześladowców w ciągu pięćdziesięciu minut trasą równą co do długości trzem czwartym obwodu kuli ziemskiej, Foyle pozwolił im się wreszcie dopaść w Londynie. Dał się znokautować, wyrwać sobie z rąk sejf, przeliczyć pozostałe bryłki PirE i zatrzaskać wieko.

– Zostało wystarczająco dużo na prowadzenie wojny. Sporo tylko czeka na zniszczenie... na anihilację... jeśli się na to odważycie. – Śmiał się i płakał w histerycznym tryumfie.

– Miliony na obronę, ale ani centa na przetrwanie.

– Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś, ty cholerny morderco? – krzyknął Dagenham.

– Wiem co zrobiłem.

– Dziewięć funtów PirE rozsiane po całym świecie! Jedna myśl i wszyscy... Jak możemy to odzyskać nie wyjawiając im prawdy? Yeo, na miłość boską, zepchnij ten tłum do tyłu. Nie pozwól, żeby słyszeli o czym rozmawiamy.

– To niemożliwe.

– Zatem jauntujmy się stąd.

– Nie – ryknął Foyle – niech słyszą. Niech wszystko słyszą.

– Człowieku, jesteś szalony. Wręczyłeś dzieciom naładowany pistolet.

– Przestańcie ich straszyć tak, jakby byli dziećmi, a przestaną zachowywać się jak dzieci.

Kim wy, u diabła, jesteście, żeby odstawiać mądrzejszych od nich.

– O czym ty mówisz?

– Przestańcie ich straszyć tak, jakby byli dziećmi. Wyjaśnijcie im, czym grozi zabawa naładowanym pistoletem. Wyjawcie im wszystko. – Foyle roześmiał się okrutnie. – Zakończyłem ostatnią w dziejach konferencję w Komnacie Gwiazdzistej. Wyrwałem na światło dzienne ostatnią tajemnicę. Od teraz koniec z tajemnicami... koniec z pouczeniem dzieci co jest dla nich najlepsze... Niech wreszcie dorosną. Najwyższa na to pora.

– Chryste, on oszalał.

– Oszalałem? Zwróciłem życie i śmierć ludziom, którzy żyją i umierają. Przeciętny człowiek już wystarczająco długo był poganiany i prowadzony za rączkę przez ludzi nawiedzonych, podobnych nam... ludzi żądnych władzy... Ludzi-tygrysów, którzy nie mogą się powstrzymać przed pędzeniem świata przed sobą. Wszyscy jesteśmy tygrysami, wszyscy trzej, ale kim, u diabła, jesteśmy, żeby podejmować za świat decyzje tylko dlatego, że pragniemy władzy? Niech świat sam dokona wyboru między życiem, a śmiercią. Dlaczego to zawsze my mamy być obarczeni odpowiedzialnością?

– My nie jesteśmy obarczeni – powiedział Yáng-Yeovil. – My jesteśmy nawiedzeni. Jesteśmy zmuszeni, aby wziąć na swe barki odpowiedzialność, przed którą uchyla się przeciętny człowiek.

– Niech się więc przestaną przed nią uchylać, niech przestaną zwałać swoje obowiązki i przewinienia na barki pierwszego lepszego dziwoląga, który tylko na to czeka. Czy na zawsze mamy pozostać kozłami ofiarnymi świata?

– Niech cię cholera! – Dagenham wściekł się – Czy nie zdajesz sobie sprawy, że ludziom nie można ufać? Nie są informowani o wszystkim dla ich własnego dobra.

– Niech się więc nauczą odpowiadać za swe czyny, albo umrą. To dotyczy nas wszystkich. Żyjmy razem, albo razem umierajmy.

– Czy chcesz umrzeć przez ich ciemnotę? Musisz znaleźć sposób na pozbieranie okruchów, które porzuciłeś, bez wysadzenia wszystkiego w powietrze.

– Nie. Ja w nich wierzę. Zanim stałem się tygrysem, byłem jednym z nich. On wszyscy mogą otrząsnąć się z przeciętniactwa, jeżeli tylko ktoś rozbudzi ich solidnym kopniakiem, tak jak rozbudzono mnie.

Foyle drgnął i nagle jauntował się na brązową głowę Erosa spoglądającą na Piccadilly Circus z wysokości 50 stóp. Usadowił się na niej w niebezpiecznej pozycji i zawył:

– Hej wy tam, słuchajcie mnie! Słuchajcie, kurczę! Teraz będzie kazanie, kurczaki. Cisza! Odpowiedział mu ryk.

– Wy świnię, kurczę. Jesteście tępi jak świnię. Mając w sobie tyle, prawie z tego nie korzystacie. Słyszycie mnie, kurczę? Mając w sobie miliony, wydajecie marne pensy. Mając

w sobie geniusz, rozumujecie jak głupcy. Mając w sobie serce, czujecie w środku pustkę. Wy wszyscy. Każdy z was.

Wygwizdano go. Ciągnął dalej z histeryczną pasją opętanego:

– Trzeba wam wojny, żebyście dali coś z siebie. Trzeba wam nieszczęścia, żebyście zaczęli myśleć. Trzeba wam rywalizacji, żebyście stawali się wielkimi. Resztę czasu wylegujecie się jak leniwe prosiaki, kurczę! Świnie, kurczę! Bo tak jest, cholera z wami! Ja rzucam wam wyzwanie, kurczaki. Żyćcie i bądźcie wielcy, albo zdychajcie. Idźcie tam, gdzie odszedł Chrystus, albo przyjdźcie do mnie, Gully Foyle, a ja zrobię z was ludzi. Ja uczynię was wielkimi. Ja dam wam gwiazdy.

Znikł.

* * *

Jauntował się po liniach hiperdezyjnych czasoprzestrzeni do Gdziekolwiek i Kiedykolwiek. Przybył w chaos. Na moment zawisł w niestałej parateraźniejszości i stoczył się z powrotem w chaos.

– „Można tego dokonać” – myślał. – „To musi być wykonalne.”

Jauntował ponownie płonąca włócznią z nieznanego w nieznanie i znowu stoczył się z powrotem w bezład paraprzestrzeni i paraczasu. Zabłądził w Nigdzie.

– „Wierzę” – myślał. „Ja wierzę.”

Jauntował się znowu i znowu bez powodzenia.

– „W co ja wierzę?” – spytał samego siebie dryfując w otchłani.

– „Wierzę w wiarę” – odpowiedział sobie samemu. – „Niekoniecznie trzeba mieć coś konkretnego, żeby w to wierzyć. Trzeba tylko wierzyć, że istnieje gdzieś coś, w co warto wierzyć.”

Jauntował się po raz ostatni i siła jego woli uwierzenia przekształciła przypadkową parateraźniejszość, w którą trafił, w realną... TERAŹNIEJSZOŚĆ: Rigel w gwiazdozbiorze Oriona, płonący niebieskobiałym blaskiem, odległy pięćset czterdzieści lat świetlnych od Ziemi, dziesięć tysięcy razy jaśniejszy od słońca – energetyczny kocioł, obiegany przez trzydzieści siedem masywnych planet... Foyle unosił się w przestrzeni zamierzając i dusząc się w kosmicznej próżni, oko w oko z niewiarygodnym przeznaczeniem, w które tak wierzył, lecz którego wciąż nie pojmował. Unosił się w przestrzeni przez oślepiającą chwilę, tak bezradny, tak zdumiony, a zarazem tak realny, jak pierwsza skrzelasta istota, która u zarania historii powstającego na Ziemi życia szykuje się do wyjścia z morza i dławi się nadmiarem powietrza na pradawnej plaży.

Kosmojauntał, przekształcając paraterażniejszość w... TERAŻNIEJSZOŚĆ: Vega w gwiazdozbiornie Liry – gwiazda klasy A0, odległa o dwadzieścia sześć lat biegu światła od Ziemi, płonąca światłem bardziej niebieskim niż Rigel, pozbawiona planet, okrążana jednak przez roje ognistych komet, których gazowe warkocze śmigają, sypiąc iskrami, po granatowoczarnym firmamencie...

I teraz znowu wrócił w TERAŻNIEJSZOŚĆ: Canopus – żółty jak słońce, gigantyczny, grzmiący w cichych bezmiarach kosmicznej pustki – któremu wreszcie naruszyła spokój istota jeszcze niedawno oddychająca skrzelałami. Istota ta unosiła się, dławiąc, na plaży Wszechświata, bardziej martwa niż żywa, bliższa przyszłości niż przeszłości. Zachwycała się masami kamieni, meteorów i pyłu, które opasywały Canopusa szerokim płaskim pierścieniem podobnym do pierścieni Saturna, ale szerokim jak promień jego orbity.

TERAŻNIEJSZOŚĆ: Aldebaran w gwiazdozbiornie Taurusa – monstualnej wielkości, czerwona Gwiazda, wchodząca w skład układu podwójnego, którego szesnaście planet wiruje z ogromną prędkością po eliptycznych orbitach, wokół obiegających się nawzajem rodziców.

Rzucał się przez czasoprzestrzeń z coraz to większą pewnością siebie...

TERAŻNIEJSZOŚĆ: Antares – czerwony olbrzym klasy M1, podobnie jak Aldebaran wchodzący w skład układu podwójnego, odległy o dwieście pięćdziesiąt lat świetlnych od Ziemi, obiegany przez dwieście pięćdziesiąt planetoid wielkości Merkurego o rajskim klimacie...

I w końcu... TERAŻNIEJSZOŚĆ.

Został wciągnięty do łona swych narodzin. Powrócił na „Nomada”, wtopionego teraz w bryłę asteroidu Sargasso – domu zagubionych Ludzi Naukowych, którzy uprzętałi szlaki kosmiczne przebiegające między Marsem, a Jowiszem... domu Josepha, który ozdobił tygrysim tatuażem twarz Foyle i skojarzył go z dziewczyną imieniem Moira.

Był z powrotem na pokładzie „Nomada”.

* * *

Gully Foyle me nazwisko

Z Ziemi moje pochodzenie

Kosmos Czarny mym mieszkaniem

Gwiazdy – moje przeznaczenie.

Moira znalazła go w schowku na narzędzia na pokładzie „Nomada”, zwiniętego ciasno w kłębek, z nieobecną twarzą i oczyma płonącymi boskim objawieniem. Chociaż asteroid

dawno już naprawiono i zahermetyzowano, Foyle wciąż przeżywał kurcze niebezpiecznej egzystencji, które rok temu wydały go na świat.

Teraz jednak śnił i medytował, trawiąc i obejmując umysłem wspaniałość, której się nauczył. Z zamyślenia ocknął się w transie i dryfując w powietrzu wypłynął ze schowka, przesuając niewidocznymi oczyma po postaci Moiry, ocierając się niemal w locie o przerażoną dziewczynę, która odstąpiwszy na bok osunęła się na kolana. Wędrował pustymi korytarzami, aż trafił z powrotem do schowka-lona. Zwinął się znowu w kłębek i zasnął.

Dotknęła go raz; nie poruszał się. Wymówiła imię wyrzeżane na jego twarzy. Nie odpowiedział. Odwróciła się i odpłynęła do wnętrza asteroidy, do najświętszego miejsca, w którym rządził Joseph.

– Wrócił do nas mój mąż – powiedziała Moira.

– Twój mąż?

– Człowiek-bóg, który nieomal nas zgładził.

Twarz Josepha pociemniała z gniewu.

– Gdzie on jest? Pokaż mi!

– Nie zrobisz mu krzywdy, prawda?

– Za grzechy trzeba płacić. Pokaż mi.

Poszedł za nią do schowka na pokładzie „Nomada” i przyjrzał się uważnie Foylowi. Gniew malujący się na jego twarzy ustąpił miejsca zachwytowi. Dotknął Foyle’a i przemówił doń; odpowiedzi nadal nie było.

– Nie możesz go ukarać – powiedziała Moira. – On umiera.

– Nie – odparł cicho Joseph. – On marzy. Ja, kapłan, znam te marzenia. Niedługo obudzi się i przekaże nam, swoim ludziom, swe myśli...

– I wtedy go ukarzesz?

– On sam znalazł to już w sobie – powiedział Joseph.

Wyszedł ze schowka i usiadł na podłodze korytarza, opierając się plecami o ścianę. Moira pobiegła krętymi korytarzami i wkrótce powróciła, niosąc srebrną miskę z ciepłą wodą i srebrną tacę z jedzeniem. Obmyła delikatnie Foyle’a i postawiła przed nim, jako ofiarę, srebrną tacę. Potem usiadła obok Josepha... obok świata... gotowa oczekiwać przebudzenia.

KONIEC